

Skandynawska saga

Roza znad fiordów

Głos serca



Bente Pedersen

Tom 27

Fakt saga

Pedersen Bente

Roza znad Fiordów 27

Głos serca

Roza i Jeremy nareszcie są w Nowej Zelandii, ale nie wszystko idzie zgodnie z planem. Okazuje się, że dokument, który podpisali to akt małżeństwa. O ich przyjeździe wie tylko synek Rozy mały Mikey. Przeczuwał to już wcześniej! Chłopiec cały drży z napięcia, słysząc turkot kół powozu na drodze. Ale jak przyjmie Rozę jej dawna rodzina?

Rozdział 1

W Auckland znali Jeremy'ego. Na jego widok urzędnicy w porcie wymienili zdziwione spojrzenia: co też on robi w kolejce imigrantów? Intrygowało ich także czarnoskóre dziecko śpiące na jego rękach, ale ponieważ dzięki bratu Jeremy'ego nazwisko Jordan zaczynało się liczyć na Wyspie Północnej, żadnych pytań nie zadawali. Bacznie jednak obserwowali delikatną, ubraną na szaro kobietę u jego boku. Miała głowę owiniętą jedwabnym, szarym szalem, który chronił przed słońcem i zarazem osłaniał twarz, dodatkowo ocienioną słomkowym kapeluszem z szerokim rondem. Kapelusz był z rodzaju tych, które nosiły żony Anglików, a krój jej sukni wprost krzyczał, że nie została uszyta w domu. Na czoło kobiety spadał rudy lok. Na widok tego koloru aż dech zaparło starszemu z dwóch mężczyzn, któremu życie upływało na stemplowaniu dokumentów zezwalających obcym przybyszom na wjazd do kraju. Prawie nikogo nie odrzucano. Nowa Zelandia potrzebowała ludzi. Białych ludzi. A kobieta, mimo czarnego dziecka, była biała. Uwagę zwracały jej niebieskie oczy, przejrzyste jak kamienie szlachetne, skoro zaś towarzyszył jej młody Jeremy Jordan, musiała być piękną.

- Rodzina cię szukała - powiedział do Jeremy'ego przedstawiciel władz. Siedział za kontuarem wyżej

niż ci, którzy tędy przechodzili, mógł więc patrzeć na nich z góry. Ta wyższość była zamierzona, ale na takich jak Jordan nie robiła wrażenia. Ten młody człowiek urodził się po to, by górować nad innymi, i nikt nie mógł mu tego odebrać. Miał w sobie buńczuczność i wrodzoną arogancję, której nie pozbawiłoby go nawet obdzieranie ze skóry. Ubierał się jak hodowca koni, kapelusz wciskał mocno na czoło, był wysoki i kościsty, a wydawał się jeszcze chudszy w obszernej, skórzanej kurtce, w której w tym upale musiało mu być potwornie gorąco. Ale buty miał najlepszego gatunku. I zachowywał się jak książę. Uśmiechał się kpiąco i nawet przez myśl mu nie przeszło, że mógłby się tu poczuć upokorzony. Widocznie takie doznania były mu najzupełniej obce.

- Mieliśmy opóźnienie w Australii - odparł Jeremy gładko, wesołym tonem, z którego był znany. Spodziewano się po nim takiego zachowania, a on już dawno zrezygnował z chęci pokazania, że wcale nie jest taki twardy, jak się wszystkim wydaje, i zachowywał się tak, jak po nim oczekiwano. - To duży kraj - dodał. Mrugnął przy tym porozumiewawczo okiem i podciągnął kąciki ust w bardzo charakterystycznym dla siebie, łobuzerskim uśmiešku. - Łatwo zabłądzić.

- Słyszałem, że dużo się tam teraz dzieje - powiedział urzędnik i wychylił się nieco znad kontuaru.

Złoto miało w sobie coś wyjątkowego. Potrafiło zagotować krew w żyłach nawet tym najbardziej opanowanym.

- Dużo jest też błota - dodał Jeremy, nie przestając się uśmiechać. Wiedział, że podrażnił tęsknoty tego statecznego ojca rodziny, który porzucił wszystko w dalekiej Anglii, lecz tutaj raczej nie znalazł tego, na co liczył. W każdym człowieku napotykanym

w tej młodej części cywilizowanego świata kryły się tuziny niespełnionych marzeń. - Patrzysz na człowieka, który próbował zdobyć majątek. - I udało mu się?

Jeremy uwielbiał otaczać się mgłą tajemnicy, nie mówić prawdy, ale i nie kłamać, uruchamiać wyobraźnię innych, snuć opowieści, zbyt wiele nie zdradzając.

- Spędziłem kilka miesięcy na złotonośnych polach, sir. Czy to, co mi zostało, było tego warte... - Wyprostował swobodną rękę i uśmiechnął się w sposób, który można było rozumieć różnie. Miał zresztą pewność, że osiągnie zamierzony cel.

Dalsze wypytywanie byłoby nieuprzejmością, więc mężczyzna za kontuarem znów skierował wzrok na kobietę. Stała tak blisko młodego Jordana, że nie mogła być tylko osobą przypadkowo poznaną na statku płynącym przez Morze Tasmana, której uprzejmie zaofiarował pomoc. Wyraźnie łączyła ich jakaś więź. Urzędnik chętnie by się jej przyjrzał, dokładnie przypatrzył osłoniętej twarzy, wyczuwało się bowiem niezwykle oddanie dla niej tego młodzieniaszka, który zdobył w Auckland sławę kobieciarza. Młodzi przystojniacy nie patrzyli w taki sposób na swoje chwilowe miłostki. Za tym musiało się kryć coś głębszego.

- To moja amerykańska przyjaciółka i jej dzieci. - Jeremy skinął głową Rozie, a ta wyjęła zrolowany papier i rozwiązała opasującą go wstążkę. Podała dokument urzędnikowi.

Rozłożył go i gdy zaczął czytać, oczy o mało nie wyszły mu z orbit. Z trudem powściągnął szeroki uśmiech. Ładna mi przyjaciółka z Ameryki! Zagięła parol na tego uwodziciela, i to skutecznie! Nie mógł

się powstrzymać od policzenia dzieci. Aż troje! Jedno czarne! Jej? Nie zapytał, ale już wiedział, że po zejściu z dyżuru będzie miał co opowiadać. Wiele się mogło za tym kryć. Jak nic, młody Jordan połknął i przynętę, i haczyk. Dał się złapać. Ta kobieta musi mieć w sobie coś wyjątkowego. Czas pokaże, o co tu chodzi.

- Moje gratulacje! - powiedział.

Jeremy przelotnie zerknął na Rozę, wyraźnie wystraszony. Wyczytał w jej oczach zdziwienie, więc mrugnął ostrzegawczo. Na szczęście zrozumiała i milczała. On też się nie odzywał, chociaż miał na końcu języka mnóstwo pytań. Najchętniej wyrwałby urzędnikowi dokument i dokładnie go przeczytał, słowo po słowie, sylaba po sylabie, ale nie mógł tego zrobić. Musiał kontynuować grę. Dotrzeć do końca wyścigu, jak koń, który lubi wygrywać. Nie zatrzymano Rozy, nie odesłano jej z powrotem. Wpuszczono ją tutaj. Nowa Zelandia otworzyła przed nią ramiona.

Reszta była już tylko formalnością.

- Nigdy nie sądziłem, że zobaczę cię w roli żonkosia, Jordan - dodał z lekkim uśmiechem górujący nad nimi, ubrany na czarno urzędnik. - Dlatego wybacz mi, że tak ci się teraz przyglądam.

Zaśmiał się z własnego żartu i podał dokumenty Rozy Jeremy'emu. I nic dziwnego, skoro byli małżeństwem.

Roza poczuła się schwytna w pułapkę, jak owad złapany pod szklaną. Nie wiedziała, czy coś ją ominęło, czy czegoś nie zauważyła, a może Jeremy czegoś jej nie powiedział. Może oboje źle coś zrozumieli. Nie mogła go jednak o to spytać tutaj, wobec obcych, a zwłaszcza w obecności tego uśmiechającego

się pod nosem mężczyzny, który miał moc niewpuszczenia do kraju ani jej, ani jej dzieci.

Ten człowiek musiał się pomylić!

Nie zauważyła, którędy wydostali się z ciasnego pomieszczenia. Później nie mogła sobie nawet przypomnieć, jak wyglądało, ale nie zamierzała tam wracać, by odświeżyć wspomnienia. Nie było jej to do niczego potrzebne.

A teraz nie chciała się nawet zastanawiać nad tym, co urzędnik powiedział. Postanowiła na razie o tym zapomnieć. Mogli wyjść z tego budynku i więcej do tego nie wracać. Wiedziała, że i z tym sobie poradzi. Nie zamierzała więcej podróżować. To był początek jej ostatniej ścieżki. Gdy tylko dotrą do Waimauku, znajdzie się w domu. Czuła to i nie miała co do tego żadnych wątpliwości.

- Znam pewien zajazd - powiedział Jeremy ze sztuczną swobodą i nie patrząc na dokument, schował go do kieszeni.

Gwizdnięciem przywołał fiakra i dodatkowo machnął ręką. Ciężkie, gniade konie wolno ruszyły w ich stronę, poganiane batem, którym strzelał w powietrzu woźnica.

-Jutro wynajmiemy powóz - ciągnął Jeremy. - Podróż potrwa nie dłużej niż dzień. Najlepiej byłoby wyjechać wieczorem, kiedy jest najchłodniej, ale drogi na północ nie są najlepsze, więc nie możemy jechać po ciemku. Wyruszymy raczej o świcie i postaramy się dotrzeć jak najdalej, zanim upał zacznie najmocniej doskwierać. Niech sobie pomyślą, że doznałem porażenia słonecznego, kiedy zjawię się z tobą i z dziećmi...

Uśmiechnął się sztywno, nie patrząc na Rozę. Wciąż była najjaśniejsza i najgorętsza pora dnia. Dłu-

gie stanie w spiekocie południa stawało się nie do wytrzymania. Ciało pod ubraniem sphywało potem. Kapelusz Rozy chronił przed palącymi promieniami słońca, ale ostre światło i tak bezlitośnie kłuło w oczy. Musiała przez cały czas je mrużyć. Widziała jednak spojrzenie Jeremy'ego, niepewne jak nogi pijaka.

-A może byśmy wyruszyli już teraz? - zaproponowała.

- Za późno - odparł prędko. Zbyt prędko, bo o mało się nie zakrztusił. Powietrze zaświstało mu między zębami. Westchnął. - Poza tym musimy porozmawiać...

Roza wiedziała, o co mu chodzi, ale nie zamierzała ustępować. Nie chciała tutaj zostać. To miasto, Auckland, nie było dla niej; otaczało je morze i zielony las, a ona dość już się napatrzyła na morze i na lasy. Nie miała tu czego szukać. Była tak blisko celu. Nie mogła znieść myśli o kolejnej zwłoce. Musiała jechać dalej, a po przygnębionej buzi Lily poznawała, że córka czuje tak samo.

-Teraz - powiedziała cicho, żeby nie narażać na wstyd Jeremy'ego i nie pokazać ludziom, że się kłóca. I że on jej ustępuje. Podeszła bliżej i ściszyła głos aż do szeptu. Jeremy miał kapelusz mocno wciśnięty na czoło; Roza wiedziała, że nie chce, by wszyscy go rozpoznali. Zmarszczka między wąskimi, niebieskimi oczami pogłębiła się, ciemne brwi ściągnęły się mocniej.

- Nie będzie aż tak źle, Jeremy. Ja nie mogę tu zostać. Po prostu nie mogę. Jutro rano wcale nie będziemy bardziej wypoczęci. Musimy jechać dalej już teraz.

Prosiła go, a on poczuł się podle, że próbuje odsu-

nać powrót do domu z egoistycznych pobudek. Przebywał w świecie dostatecznie długo, by zdążyć dorosnąć, ale wciąż bał się tego, co o nim pomyśli Ja-red, który zastąpił ojca. Jeremy nie miał ochoty na spotkanie ze starszym bratem i na wysłuchiwanie jego uwag o swojej nieudolności. Chciał zostać w Auckland jak najdłużej, chętnie nawet osiadłby tu na stałe. Miasto leżało wprawdzie nieprzyjemnie blisko osad wojowniczych Maorysów - i właśnie dlatego przejęło rolę stolicy po Russell, położonym na samej północy wyspy, bo stolica miała być miastem i dla Maorysów, i dla Pakeha, białych - ale Jeremy wolał mieszkać w pobliżu hord dzikich Maorysów aniżeli w bezpośredniej bliskości brata.

Rosie tyle zniosła.

Tyle od niej wymagał.

Nie skarżyła się w obozie poszukiwaczy złota, bez względu na pogodę, bez względu na to, jak im było ciężko. Nigdy nie narzekała.

Powinien spełnić jej prośbę.

-I tak musimy porozmawiać - oświadczył. Czuł, jak twardy rulon papieru wciska mu się w pierś, jakby zaczął żyć własnym życiem i przepalał lniane płótno koszuli. Jeremy bał się tego, co może w nim wyczytać. Właściwie już wiedział, był pewien, co tam znajdzie. Przeklinał własną beztroskę i nonszalancję. Nie przyszło mu nawet do głowy, żeby przeczytać ten dokument. Po prostu rzucił tylko okiem na wspaniałą pieczęć. Podziwiał ją i cieszył się, że tacy byli sprytni.

Sprytni, no właśnie.

Komu miał dziękować za ten nieprzyjemny smak w ustach; za to, czego się obawiał? Przede wszystkim przychodził mu na myśl Blix, chociaż wcześniej nie

podejrzewał człowieka, którego nazywał kolegą, o dostateczną bystrość potrzebną do przeprowadzenia takiej intrygi. Równie dobrze jednak mogła za tym stać piękna Catherine. Do diabła, co to za kobieta! I pokochała Rosie prawie jak matka, chociaż trudno ją było posądzać o macierzyńskie uczucia. Rzeczywiście, to mogła być Catherine. Miała do tego i głowę, i niezbędne środki.

- Porozmawiamy po drodze.

- A dzieci? - spytał. Czuł ciężar Jordy'ego. Chłopiec zasnął na jego rękach, więc zrezygnowali ze zniesienia go na ląd w koszyku. Jeremy uświadomił sobie, że odkąd zaczęli się przygotowywać do zejścia na nowozelandzką ziemię, przestali go ukrywać.

- Dzieciom i tak trzeba wyjaśnić, co mają mówić

- odparła Roza. Kark tak jej zeszywniał, że ledwie mogła go zgiąć. Bolały ją ręce, dokuczliwy ból usadowił się też w krzyżu. Bardzo chciałyby już się położyć i zasnąć, ale wiedziała, że jeszcze na to nie pora. Jeszcze nie koniec podróży. Jeszcze nie była w domu.

Powóz czekał, rzucając upragniony cień. Woźnica zwrócił ku nim opaloną twarz. Jeremy stwierdził, że nigdy nie widział tego człowieka; pewnie więc nie należał do żadnej z rodzin znanych mu z Auckland. Był młody i najwyraźniej też nie rozpoznawał Jeremy'ego. Może przybył do Nowej Zelandii niedawno?

- Daleko się wybieracie? - spytał.

- Do Waimauku - oświadczył z mocą Jeremy. Zerknął na Rozę i ucieszył się, widząc wdzięczność w jej oczach. Czuł się jednak podle, że tak długo dręczył ją niepewnością i do ostatniej chwili nie powiedział jej o swojej tak ważnej decyzji.

- Przed wieczorem za nic nie da się tam dojechać

- stwierdził woźnica ze szkockim akcentem.

Ani myślał zejść z kozła i pomóc im przy bagażach. Nie mieli ich wprawdzie dużo, ale Jeremy był przyzwyczajony do tego, że woźnice się tym zajmują. To znaczy był do tego przyzwyczajony tutaj. Australia to co innego. Po drugiej stronie Morza Tasma-na nie oczekiwał takich zachowań. Tam był tylko pierwszym lepszym, obdartym poszukiwaczem szczęścia. Tutaj zaś należał do grupy, która pięła się coraz wyżej. O tym jednak woźnica najwyraźniej nie wiedział. Patrzył przecież na mężczyznę w butach do konnej jazdy, znoszonych, wytartych niemal do białości farmerkach i jasnej, skórzanej kurtce, narzuconej na lnianą koszulę. A w takim stroju Jeremy nie wyglądał na kogoś, z kim należy się liczyć. Z pewnością w porcie woźnica widział kilkuset mężczyzn do niego podobnych. Przyłączyli się na każdym ze statków, jakie tu zawijały. Jedynie wygląd Rozy powinien go zastanowić. Nie miała przecież w sobie nic prostackiego; wyglądała jak prawdziwa lady.

-Dostaniesz dziesięć funtów, jeśli dowieziesz nas na miejsce przed północą - oznajmił Jeremy Jordan, patrząc woźnicy prosto w oczy. Raziło go słońce, ale nie odwrócił wzroku. Bo warto było zobaczyć chciwy błysk w oczach tamtego. Jeremy natychmiast wiedział, że zyskał respekt. A więc wystarczą pieniądze, pomyślał ze smutkiem, choć właściwie zawsze miał tego świadomość. Jako najmłodszy syn Jareda Jorda-na seniora oddychał tą prawdą, jeszcze zanim nauczył się wyraźnie mówić.

Wszystkich można kupić. Każdy ma swoją cenę.

-Dziesięć funtów? - Woźnica obliznął usta. Mało brakowało, a zeskoczyłby z kozła i otworzył im drzwiczki powozu. Dziesięć funtów było sumą, jakiej nie zarabiał nawet w miesiąc, i Jeremy doskonale

o tym wiedział. - Ale najpierw chcę zobaczyć te pieniądze - dodał mężczyzna ochryple. Jeremy wcisnął wolną rękę do kieszeni; na drugiej wciąż trzymał Jordy'ego. Pieniądze były tam, gdzie je schował. Wyjął plik banknotów i podsunął go woźnicy pod nos. Na samym wierzchu leżały dziesięciofun-tówki. Nie pozwolił jednak Szkotowi przyglądać się zbyt długo fortunie, którą tak nonszalancko nosił w kieszeni, i szybko schował pieniądze z powrotem. Postarał się także powściągnąć uśmiech triumfu, bo wtedy woźnica znów zyskałby nad nim przewagę, a do tego Jeremy nie chciał dopuścić. Wciąż lubił wygrywać. Im bardziej zbliżał się do brata, tym silniejsze stawało się to uczucie. Nie umiał przegrywać i nic na to nie mógł poradzić. Nie pozwoli, by Jared jeszcze raz przejął władzę nad jego życiem, postanowił. Teraz to on będzie wyznaczał własne granice.

- Przed północą! - Zdyszany woźnica już przywiązywał z tyłu ich walizy. W jego głosie pojawił się szacunek, ale jak tu nie czołgać się na kolanach, kiedy zaplata ma wynieść dziesięć funtów! Sakwojaże wstawił do środka powozu. Nie pozwolono mu tylko tknąć haftowanej torby Rozy. Jeremy aż się uśmiechnął, widząc, jak nieszczęsny woźnica za nią szarpie, a Roza nie chce wypuścić uchwytu z dłoni. Tej torby nie oddałaby nikomu. Miała w niej dwa stare kieliszki, których gotowa była bronić za cenę własnego życia. Wreszcie woźnica zrozumiał, że musi ustąpić. Jeremy natomiast ocalił koszyk Jordy'ego przed przywiązaniem go z tyłu powozu.

- Nie ma sensu stać tutaj, jeśli mamy dziś dotrzeć na północ - powiedział woźnica do Matta i Lily, żeby ponaglić ich do zajęcia miejsc w powozie.

Jeremy puścił Rozę przodem. Ustawiła swoją dro-

gocenną torbę przy nogach, a dla koszyka zrobiła miejsce na siedzeniu. Był to dobry sposób na rozdzielenie Matta i Lily. Kazała im usiąść po obu stronach koszyka, żeby nie skakali sobie do oczu. Podróż wyraźnie zaczynała ich męczyć.

Lily już od wyjazdu z Sydney zamknęła się w sobie. Nie zwracała uwagi na Matta, ale sprawiała wrażenie, jakby rozmawiała z kimś, kto cały czas siedł obok niej i wystarczał jej za całe towarzystwo, jakiego potrzebowała.

Matt miał ponurą minę. Złościł się na Lily i z zazdrości wykorzystywał każdą okazję, żeby jej dokuczyć. Jeremy po cichu zadawał sobie pytanie, czy dziewczynka prowadzi rozmowy z Mikey'em. Ciekaw był, jak to będzie, kiedy Lily i Michael się spotkają. Trzeba uważać na Matta. Nowa Zelandia to obcy świat dla tego sympatycznego chłopca, a w Wa-imauku straci nawet Lily.

Jeremy oddał Rozie Jordy'ego, który obudził się wyraźnie niezadowolony, że traktuje się go jak paczkę, a sam wszedł do powozu i zdjął kurtkę, bo w środku panowała duchota, mimo że w oknach nie było szkła, lecz jedynie zasłonki, które choć trochę chroniły od kurzu i upału. Zarówno jednak Lily, jak i Matt chcieli, żeby je rozsunać. Jeremy musiał więc zadziałać zdecydowanie i przesunąć koszyk Jordy'ego na to miejsce, które miała zajmować Lily.

- Czy ja muszę siedzieć razem z nim? - zaprotestowała dziewczynka.

- Tak - odparł Jeremy, nie zważając na piorunujące spojrzenia Rozy. Owszem, to jej dzieci, ale to on był głową tej rodziny, którą w pewnym sensie tworzyli już od dość dawna. Nie musiał o wszystko jej pytać i stale prosić o pozwolenie.

- Od strony Matta nie będzie słońca, możecie więc wyglądać przez okno. Tylko żebyście nie powypadali! Nie mamy czasu na zatrzymywanie się i zbieranie tych, których zgubimy po drodze. Musimy dotrzeć do domu, zanim zrobi się ciemno.

Usłyszał, że Rosie głęboko nabiera powietrza. Zabrzmiało to jak szloch. Chciałby jej obiecać, że będzie tam szczęśliwa, ale nie mógł. Zresztą, nie lubił składać obietnic. Nie miał do siebie zaufania na tyle, by wierzyć, że jest w stanie je spełnić. Sam od nikogo też nie żądał przyrzeczeń.

To, że ostatnio zatęsknił za czymś innym, bardziej stałym, co mogło oznaczać zobowiązania i mocne więzy, starał się zepchnąć głęboko, na samo dno świadomości. Nikomu o tym nie wspomniał. To pragnienie wciąż pozostawało wyłącznie w jego myślach. Nazywał je zresztą jedynie przelotną słabością. Każdy ma swoje słabe punkty. Nie muszą od razu oznaczać klęski.

- Dojedziemy na miejsce przed nocą? - spytała Lily i czekała na odpowiedź Jeremy'ego, wstrzymując oddech. - Do Mikey'a? Będziemy tam przed nocą?

- Dlaczego o to pytasz? Nie wiesz? Przecież z nim rozmawiasz! - obruszył się Matt, na pół drwiąco, na pół z urazą. Lily go zignorowała.

- Obiecałem woźnicy dziesięć funtów, jeśli dowiezie nas przed zmrokiem - odparł Jeremy. - Jak sądzisz, ma ochotę na te pieniądze, księżniczko?

-Ja bym miała - rzuciła przemądrzale Lily, przyciskając brodę do framugi okna. Poddała się ruchom powozu, chociaż jeszcze nim porządnie nie trzęsło.

- Dam pięć funtów tobie i pięć Mattowi, jeśli nie dotrzemy na miejsce przed nocą - zapowiedział Jere-

my z nadzieją, że dla dzieci będzie to pewna pociecha, jeżeli nie dotrą do Waimauku o czasie, co właściwie im obiecał. Niestety, Rosie nie można było przekupić pięcioma funtami. Lily zresztą też nie wydawała się za bardzo tym zainteresowana. Waimauku i nieznana jeszcze rodzina, a także brat, którego tak naprawdę nie pamiętała, stanowili pokusę większą niż pięć marnych funtów. Matt się nie odezwał.

Jeremy patrzył, jak Rosie karmi Jordy'ego. Wciąż uważał, że to przepiękny obrazek: dziecko podobne do niego, chociaż o innej barwie skóry, przy jej piersi. Zastanawiał się, czyje dziecko straciła, ale wciąż nie zamierzał jej o to pytać. Niech to pozostanie jej tajemnicą, tym bardziej że ta strata okazała się błogosławieństwem dla Jordy'ego. Rosie powinna jednak zacząć odstawiać go od piersi. Jest już przecież duży, a ona zestarzeje się przedwcześnie, jeśli będzie go karmić, dopóki chłopiec nie pójdzie do komunii. A swoją drogą, ciekawe, czy w tym kraju czarne dzieci mogą iść do komunii razem z białymi. Nie wiedział tego, bo wcześniej w ogóle się tym nie interesował. Na tyle pytań nie umiał odpowiedzieć.

Jordy z zadowoleniem wrócił do swojego koszyka, rozebrany prawie do naga. Potrafił się długo bawić własnymi palcami. Obserwował paluszki u stóp, jakby były najciekawszą rzeczą na świecie. Jeremy nie przypominał sobie, jak sam się zachowywał, będąc dzieckiem. Pamiętał za to, że Jennifer stale płakała, myślał więc, że wszystkie małe dzieci są takie: kłopotliwe i wiecznie zapłakane, z brzydkimi, pomarszczonymi buziąmi i stale pełnymi, cuchnącymi pieluchami. Tymczasem Jordy był śliczny. Przyjemnie pachniał i dużo się uśmiechał, jak mały promyk słońca.

- Chcę zobaczyć ten dokument, Jeremy!

Wyjął sztywny rulon z wewnętrznej kieszeni kurtki i przysunął się do Rozy na wytartym siedzeniu, na całe szczęście obitym płótnem, nie skórą. Rozwinęła papier, a on pomógł jej go przytrzymać. Przynajmniej czuł, że do czegoś się przydaje.

- Co tam jest napisane? - spytała Roza, która niezbyt dobrze radziła sobie z czytaniem po angielsku, zwłaszcza że litery nakreślono z ozdobnymi zawijasami.

- Rozpoznajesz chyba swoje nazwisko? - Jeremy wskazał palcem na jej okrągły podpis. „Rose Samuels”.

- To jest ten papier, na którym się podpisaliśmy - potwierdziła. - Twoje kulfony wyglądają tak samo paskudnie jak wtedy, gdy je stawiałeś. Gdzie się nauczyłeś tak brzydko pisać?

Jeremy również to widział. Widział swoje fałszywe nazwisko, którym się posłużył: „Howard Jones”, chociaż druga pionowa kreska w H była prawie niewidoczna, a pierwsza tak fantazyjnie zakręcona, że literę można było odczytać jako J. Każdy jednak, kto zakładał, że podpis jest prawdziwy, odczytywał go jako „Howard Jones”. Ale dla tych, którzy nigdy nie słyszeli o żadnym Howardzie, było oczywiste, że podpisał się Jeremy Jordan.

Szybko przesunął po dokumencie wzrokiem: papier był czysty, kiedy się na nim podpisywali, to potem czyjaś wprawna ręka dopisała resztę. Jeremy przestał podejrzewać Blixa. Kolega umiał się obchodzić z rewolwerami, ale nigdy nie zdołałby z taką elegancją poprowadzić pióra.

Ten dokument wyszedł spod ręki Catherine!

- ...*niniejszym zaświadcza się, że w dniu dzisiejszym małżeństwo zawarli Howard Jeremy Jordan Jones i Rose Samuels* - odczytał z trudem. W ustach mu zaschło.

- Co? - spytała Roza szeptem.

- ...*Howard Jeremy Jordan Jones i Rose Samuels* -powtórzył Jeremy.

- Ty tego nie napisałeś?

Pokręcił głową. Grzywka spadła mu na oko, a miałby ochotę zasłonić nią całą twarz, żeby nie musieć patrzeć na Rozę, nie widzieć jej pełnego wyrzutu spojrzenia. Powoli zaczynała do niej docierać prawda.

- Co to znaczy, Jeremy?

- Oni cały czas to robią - powiedział i puścił koniec arkusza, który natychmiast sztywno się zwinął, lekko uderzając w palce Rozy. - To przekłeta zabawa, w którą się bawią za każdym razem, gdy przybywają do Melbourne albo Geelong. Żenią się raz dziennie. Urządzają niebywale przyjęcia, a potem nikt nie pamięta, kto z kim wziął ślub. Na ogół mężczyźni są już żonaci. Gdzieś siedzi i czeka na nich prawdziwa żona, ale to się nie liczy. Są pijani, wariują i chcą wydać jak najwięcej pieniędzy w jak najkrótszym czasie. - Zawiesił głos. - Ale ta zabawa nigdy nie ma większego znaczenia - powtórzył i spuścił głowę. Dłonie złożył na kolanach.

-No dobrze, ale jakie znaczenie ma ten dokument? - zapytała Roza i lekko poklepała rulon, który wciąż trzymała w rękach. - Co on oznacza dla nas, Jeremy?

Podniósł wzrok. Przecież tak naprawdę tego pragnął. Pragnienia są niebezpieczne. Ktoś może przypadkiem spełnić marzenia durnia. Potajemne, niewypowiedziane pragnienia.

Popatrzył na nią i tak cicho, by dzieci nie mogły go usłyszeć, powiedział:
- To oznacza, że ty i ja, Rosie, jesteśmy małżeństwem.

Rozdział 2

- Musimy o tym porozmawiać - powiedziała Roza tak spokojnie, jak potrafiła, chociaż wszystko się w niej gotowało.

Zaczynała się domyślać, że została schwytana w pułapkę, z której nie będzie mogła uciec. Miała ochotę głośno się roześmiać, ale wiedziała, że ten śmiech zaraz przejdzie w płacz, postanowiła więc odciąć się od wszelkich uczuć. Przez głowę przeleciała jej myśl, że może jest w tym jakaś sprawiedliwość. Miała za sobą dwa dobre małżeństwa - w punkcie wyjścia oba takie były - i dwa całkowicie złe. Grzeszyła; popełniła wiele różnego rodzaju grzechów. Może więc powinna zostać za nie ukarana w taki właśnie sposób. Poprzez jeszcze jedno małżeństwo, którego nigdy nie pragnęła i w które została wciągnięta oszustwem. Szkoda jednak, że miało to również uderzyć w Jeremiego, jemu zniszczyć życie. Może dałoby się to cofnąć...

-Ale nie teraz - dodała. - I nie tutaj. Pomówimy o tym jeszcze dzisiaj, zanim pójdziemy spać, Jeremy.

- Dobrze. - Wziął głęboki wdech, zanim spojrzał na nią. - Przypuszczam, że nie będziemy spać razem, wife?

- To już się skończyło - zapewniła. - Z tym już koniec.

Bał się tego, ale przecież wiedział, że tak będzie. Wcześniej zapewniali sobie rozrywkę. Lubili się. Miłość to co innego. Rosie na pewno by ją rozpoznała, przecież kochała już wcześniej. A skoro twierdziła, że to nie miłość, to nie mogło nią być. Jemu nie zależało na miłości, na razie dawał sobie radę i bez niej. Miłość tylko przeszkadzała. Wiązała się z odpowiedzialnością, a jemu niepotrzebny był taki ciężar. Już i tak dźwigał dostatecznie ciężkie brzemie. Jeremy Jordan musiał się nauczyć dbać o siebie. Nie potrzebował dodatkowo żony ani rodziny.

Żona...

Właśnie ją teraz miał, czy tego potrzebował, czy nie. Nieoczekiwanie stał się człowiekiem żonatym. A przecież wcale nie o to chodziło.

- Blix myślał, że wyświadcza nam - tobie - przysługę - powiedział tak cicho, że jego słowa przeszły w mamrotanie.

Matta i Lily nie interesowała rozmowa dorosłych; wisieli w oknach powozu i do ich uszu dochodził jedynie świst powietrza, wywoływany przez powóz mknący tak szybko, jak tylko to było możliwe. Dzieci zapomniały o swoich sporach; Jeremy słyszał ich śmiech. Mimo to wolał być ostrożny, nie powinny się o niczym dowiedzieć.

-Nie chcę rozmawiać o tym tutaj - oświadczyła Roza zdecydowanie i się odwróciła. Nie chciała, żeby się do siebie zbliżyli, a on czuł, jak bardzo to wszystko jest nie w porządku. Nie powinni wiązać się ze sobą w ten sposób. Nic nie powinno ich łączyć. Nic oprócz przelotnych, wspólnych radości, których się nie wstydził. Oczywiście, nie mogło tu być mowy

o żadnym wykorzystaniu. Wcale się nawzajem nie wykorzystywali; przecież byli sobie potrzebni, czuli do siebie pociąg i było im ze sobą dobrze. Na krótką chwilę potrafili ofiarować sobie część siebie. Tego Jeremy się nie wstydził. Wstyd mu było tylko za ten kawałek papieru, który ich ze sobą wiązał. Widział, że Rosie też jest zakłopotana. Żadne z nich nie chciało tego małżeństwa.

- Później, Jeremy - poprosiła. Przełknął wszystkie słowa, które cisnęły mu się na usta. W duchu myślał, że po Auckland zaczną krążyć plotki. Niedługo dotrą też na północ i ich rodziny dowiedzą się o wszystkim. Nie zdołają tego długo ukryć przed O'Connoram i Jaredem. Prawda ich doścignie. Muszą mieć przygotowane dobre wytłumaczenie. Powinni sobie ułożyć plan na te lata, które mieli przed sobą. Byli połączeni łańcuchem i mogli żyć tak, jakby on istniał naprawdę, albo też udawać, że go nie ma, dopóki się da. Mogli przymknąć oczy albo stawić czoło prawdzie. Prawda.

Prawda ciążyła mu jak kamień młyński. Prawdą było to, że został mężem Rosie, a ona jego żoną. On, Jeremy Jordan, stał się żonatym mężczyzną. Mógł temu zaprzeczać aż do ochrypnięcia, twierdzić, że to tylko oszustwo, ale w ten sposób na pewno nie poprawi swojej sytuacji. To małżeństwo nie przynosiło zaszczytu ani jej, ani jemu. Ale byli mężem i żoną.

- Nie chcę spać! - Michael potrząsnął gęstą grzywą włosów. Stał na szeroko rozstawionych nogach, tak jak Adam, kiedy chciał dodać powagi swoim słowom. - Nie pójdę spać!

- Wszyscy już się położyli - powiedział Adam łagodnie. Okazałby o wiele większą surowość, gdyby to jego rodzony syn tak się buntował; Aidan usłyszałby, kto w tym domu rządzi, ale Mikey'a Adam nie potrafił traktować tak szorstko. - Aidan jest od ciebie starszy, a położył się bez marudzenia.

- Nie chcę spać, kiedy przyjadą!

Chłopiec zwrócił do stryja okrągłą, zagniewaną buzią. Adam widział, że bratanek jest zmęczony. Dni były dla dzieci długie, pełne wydarzeń. Ostatnio ujeżdżali kilka młodych koni. Adam był tak zeszywniały, że ledwie się trzymał na nogach. Młodszy lepiej sobie radził z najtrudniejszymi pracami w gospodarstwie. On czuł mijający dzień w każdym stawie; miał wrażenie, jakby połamał sobie wszystkie kości. Chciał trochę posiedzieć w samotności po ciemku, na schodach przed własnym domem, w ciszy towarzyszącej nocy. Sam, z małym kieliszkiem alkoholu prawie takiego jak w domu. Nie z whisky, ale przynajmniej z brandy. Pragnął poczuć ciepło w żołądku po kolejnym dniu, który tak źle się z nim obszedł.

-Nie grymaś, Mikey - westchnął, przymykając oczy i modląc się o cierpliwość. Wychowanie dzieci wymaga mnóstwa cierpliwości, a jemu jej brakowało. Miał dużo dobrej woli, ale to nie wystarczało.

-Oni przyjadą - oświadczył Michael, a na jego twarzy pojawił się uśmiech, jaki Adam rzadko u niego widywał. Nie mógł się powstrzymać i zmierzwił chłopcu gęste włosy, szepcząc, że jest spryciarzem. Nie miał pojęcia, co mówić, żeby osłabić nieco oczekiwania Mikey'a, ani jak go zwabić do łóżka. Nie wiedział też, jak go pocieszyć na dobranoc. I już się martwił tą chwilą, gdy rano spojrzy mu w oczy.

- Przyjadą! Na pewno - przekonywał Michael, syn Seamusa. - Przyjadą jeszcze przed północą!

-Dobrze, do północy możesz się nie kłąć - zgodził się Adam, bo tak było łatwiej, niż się z nim kłócić. Łatwiej, niż sprzeciwiać się chłopcu i zbyt wcześnie narażać go na rozczarowanie. - Mogę z tobą posiedzieć, stryжку Adamie?

- Tak - westchnął Adam.

- Nie będę się odzywał!

- To dobrze!

Roza nie mogła zasnąć, chociaż próbowała, odkąd Jeremy przesiadł się na kozioł do woźnicy, żeby wskazywać mu drogę w ciemności. Gdyby tego nie zrobił, Szkot chyba nie pojechałby dalej, nie zważając na dziesięć funtów. Ciemność zapadała tutaj w taki sam sposób jak w Australii i Georgii. Budowała ściany. Woźnica bał się i o konie, i o powóz. Jego skargi dochodziły aż do Rozy, ale za każdym razem zaraz odzywał się przekonujący głos Jeremy'ego. O, tak. On umiał posługiwać się słowami; potrafił nimi uwieść i niejednemu zamącić w głowie. Może kusił kolejnymi banknotami? Nie wiedziała. Ciężko oparła się o siedzenie. Lily i Matt zasnęli w plątaninie rąk i nóg. We śnie zawsze się nawzajem szukali, a po obudzeniu zaczynali walczyć. Ale we śnie jej dwa trolle wydawały się takie spokojne i dobre. Kiedy patrzyła na śpiącego Matta, myślała o Mattiasie. I niemal zawsze przychodził jej na myśl Seamus, bo Lily łączyła ją z nim jak żywy łańcuch.

Wkrótce zobaczy Michaela. Mikey'a.

Bała się o tym myśleć. Nie śmiała sobie wyobrazić, jak to będzie. Ta chwila po prostu musi nadejść.

Nie chciała jej niszczyć przedwczesnymi wyobrażeniami. Później będzie mogła ją wyjąć z pamięci i pieścić. Teraz po prostu musiała na nią czekać. Mikey.

Nie było już tak gorąco. Powietrze stało się przyjemnie ciepłe. Nic więcej. Po zapadnięciu ciemności Roza zdjęła kapelusz i jedwabny szal. Nikt jej nie widział, nie mogła wystraszyć woźnicy, nawet gdyby przyszło mu do głowy zatrzymać powóz i zajrzeć do środka. Usiadła wygodnie; próbowała odpocząć. Przymknęła oczy i poddała się kołysaniu powozu. Czuła się trochę jak na statku, ale zasnąć nie mogła.

Powóz?

Adam mocniej zacisnął palce na szklance. Ciemność była gęsta i milcząca. Tylko ten odległy dźwięk, którego nie powinno w niej być. Za późno na turkot kół. Michael zasnął już jakiś czas temu, u Jareda zgasły światła, ale u Fiony paliły się jeszcze lampy. Przypuszczał, że to nie siostra wciąż czuwa, ale raczej któryś z chłopaków Connelly, albo może Siobhan. Wykluczył, by trójka młodych siedziała razem. Siobhan od Bożego Narodzenia unikała Danny'ego; to rzucało się w oczy. Adam był pewien, że coś musiało między nimi zajść, ale na razie nie zdążył się dowiedzieć, co. Miał jednak pewne przypuszczenia. Przecież nie tak dawno sam był młodym chłopakiem w Irlandii. Nie wierzył, by Danny odważył się tknąć piętnastoletnią córkę Fiony. To raczej Siobhan próbowała zwrócić na siebie jego uwagę. Ją stać na taką śmiałość. Adam nie lubił nierozwiązanych zagadek. Prędzej czy później dowie się tego. To naprawdę powóz.

Kto, u diabła, podróżuje czarną nocą?

Mikey ciążył mu na kolanach. Adamowi przemknęły przez głowę słowa chłopca. Szansa na to, co niemożliwe, była tak maleńka, że prędzej trafiłaby go w głowę spadająca gwiazda. Spojrzał w niebo i zobaczył, że i gwiazd brakuje. Ciemność jeszcze zgęstniała. Przed wieczorem się zachmurzyło, co w tych okolicach zdarzało się wcale nie tak rzadko. Chmury nadciągnęły od morza i okryły zieloną, bujną krainę grubą kołdrą.

Nie, nie przesłyszał się.

To naprawdę turkot kół.

Obudził Mikey'a. Chłopiec nie był ani trochę zaskoczony.

- Wiedziałem, że przyjadą - powiedział, wycierając sen z oczu, i dalej spokojnie siedział na kolanach stryja.

Adam zwilżył językiem wargi i ugryzł się w policzek, by się upewnić, że to nie jest tylko jakiś dziwny sen. Nie powinien wypijać tak dużej szklanki brandy. Ulotne uczucie odpoczynku i rozluźnienia nie było warte halucynacji. Ale wciąż słyszał powóz. Kola turkotały na drodze, którą po przyjeździe tutaj zbudowali własnymi rękami. Słyszał tętent kopyt i jakiś głos, chwilami przebijający się przez wszystkie inne dźwięki. W końcu zaczął wierzyć Mikeyowi. To było najgroźniejsze. Wierzył, że w wizjach Michaela coś jest. W zasadzie nigdy tego nie odrzucał, gdy tylko pierwsze wątpliwości ustępowały. W jakimś momencie przestał uważać, że to niemożliwe. Przecież rzeczy niemożliwe zdarzały się codziennie. Nawet jeśli nie tutaj, to w innych miejscach wielkiego świata. To, co niemożliwe, istniało i ukazywało się co dnia zwykłym ludziom, niczym przepięknie pachnące ró-

że. Musieli jedynie wierzyć, że je widzą. Wierzyć i nie nazywać kwiatu ostem albo chwastem.

Potrzebne były tylko zaufanie i wiara.

Adam nie wiedział, co mówić bratankowi. W świadomości miał jedynie niemą prośbę o to, by chłopiec nie doznał rozczarowania!

Kiedy powóz wreszcie się ukazał, Adam wstał i bardziej poczuł, niż zobaczył, że Mikey poszedł w jego ślady. Chłopiec stał teraz przy nim, Adam słyszał jego oddech. Było tak ciemno, że zobaczyli powóz wyraźnie, dopiero gdy minął wewnętrzną bramę. Musiał nim jechać ktoś znajomy, bo wiedział, którądy wjechać. Pojazd zwolnił w porę, ktoś zeskoczył z kozła, by otworzyć bramę. Potem ją zamknął i wskoczył na stopień. Już wtedy Adam rozpoznał go po ruchach. Był pewien, że Mikey też wie, kto to jest. Dzieciaki zwracają uwagę na więcej szczegółów niż dorośli. Łatwiej teraz wierzył, że chłopiec przez cały czas miał rację. Poczuł, że puls mu przyśpiesza. Miał takie wrażenie, jakby Seamus stał tuż za nim i dmuchał mu w kark. Jakby brat także brał w tym udział. Nie chciał tak czuć, lecz nie mógł się od tego uwolnić. Nigdy nie uwolni się od Seamusa.

Ręka Michaela delikatnie wsunęła się w wielką dłoń stryja. Adam leciutko ją uścisnął. Uśmiechnął się do chłopca po ciemku, chociaż Mikey nie mógł tego zobaczyć, ale może usłyszał to w jego w głosie, kiedy powiedział wzruszony:

- Chyba miałeś rację, synu. Chyba wreszcie przyjechali.

- Tak myślisz? - szepnął Michael.

Adam kiwnął głową, ale tego Mikey też nie widział. Nie odrywał oczu od zakurzonego powozu, który zatrzymał się tuż przed wejściem do ich domu,

przy schodach, na których stali, jakby wiedzieli, że przyjadą, i dlatego na nich czekali. Michael wiedział.

On czekał.

Lily obudziła się sama. Szturchała Matta, dopóki i on nie oprzytomniał. Zaraz jednak zrobił obojętną minę, choć ona aż drżała z napięcia. Rozsunęli zasłonki i przylgnęli do okien. Roza się zlekła, że cos' przy okazji zepsują, wiedziała jednak, że hojna zapłata Jeremy'ego pokryje też wszystkie możliwe szkody.

Poczuła zapachy dochodzące z zewnątrz. Po ciemku wszelkie wrażenia nabierały podwójnej mocy. Słyszała i czuła wyraźniej. Pachniało kwiatami. Już cieszyła się na wszystko to, co zobaczy, gdy tylko się rozwidni. Musiało tu być mnóstwo roślin nieprzypominających niczego, co widziała do tej pory. Czuła też zapach końskiego łajna. To był miły zapach, swojski. Zrobiło jej się smutno, bo ten zapach zawsze przypominał jej o Seamusie. Tu, tak blisko Michaela, znów mocniej zatęskniła za Seamusem. Tęsknota za nim, ów cichy krzyk, który nosiła w sobie po tej najbliższej bliskości, jaką ze sobą dzielili, ucichła nieco po pierwszych latach rozpacz. Musiała żyć dalej. Seamus by tego chciał. Roza wierzyła, że pozwoliliby jej robić to, co musiała. Wierzyła, że jej serce, chociaż należało do niego, mogło należeć także do innego.

Nie do Mattiasa, bo on był bardziej przyjacielem niż kimś, kogo mogłaby kochać tak mocno, aż pod niebo. Również nie do Joego, chociaż jego kochała i wciąż miała dla niego ciepłe uczucia. Joe też był przyjacielem. I był blisko związany z Seamusem. W przeciwieństwie do Jeremy'ego.

Być może istnieje człowiek, który mógłby znaczyć dla niej tyle, ile znaczył Seamus. Przypomniały jej się słowa Natalii. Była już bardziej skłonna w nie uwierzyć, ale nadal nosiła w sercu Seamusa. Lubiła myśleć o tym, że wciąż dzieli z nim to, co piękne i dobre. Lubiła myśleć, że on jest z nią, chociaż dał jej wolność.

Chciała wierzyć, że teraz też nie jest sama. Pomyślała, że przybyli tak późno, więc nie będą musieli budzić jej synka.

Jeremy stanął na stopniu powozu, przytrzymując się dachu i framugi okna.

-Już trochę po północy - przyznał. Roza widziała jego błyszczące oczy i coraz szerszy uśmiech. - Ale dojechaliśmy na miejsce.

-Jeśli już po północy, to jesteś nam winien po pięć funtów - odezwał się Matt.

Lily nic nie mówiła. Wychylała się tak mocno, że mało brakowało, a wypadłaby z powozu. Czubkami butów ledwie dotykała siedzenia.

- Chcecie mnie puścić z torbami? - spytał wesoło Jeremy, lecz Roza usłyszała też w jego głosie nutę powagi, która przebijała wśród śmiechów i żartów coraz wyraźniej, w miarę jak zbliżali się do Waimauku. Roza wyczuwała ten jego lęk i nie mogła zrozumieć, dlaczego on się boi swojej rodziny. Jej własny lęk miał przynajmniej uzasadnienie. Przecież jechała do rodziny Seamusa, nie do własnej. Mimo że większość O'Connorów traktowała ją o wiele lepiej niż jej krewni, to jednak mogli ją odrzucić. Adam mógł oświadczyć, że ona nie ma już żadnych praw do Michaela. Oddała go przecież z pełną świadomością.

A Michael mógł ją odtrącić.

Miała się czego bać. Czuła, że wkrótce albo się

spełnią jej marzenia i tęsknoty, albo całkiem zgasną. Nic już nie zależało od niej.

Poprawiła włosy. Nie miała na to zbyt wiele czasu, bo byli już prawie na miejscu. Powóz zwolnił. Wygładziła dłońmi spódnicę, by rozprostować za-gniecienia, ale nie na wiele się to zdało. Zaczęła szukać szala, lecz nie znalazła. Przejęła się, że syn i inne dzieci, za małe, by ją pamiętać, albo wręcz urodzone już tutaj, to jedyne osoby, które nie widziały jej twarzy. Mogła je więc wystraszyć swoim oszpeconym policzkiem. W każdym razie wiedziała, że będą musiały się do niej przyzwyczaić. To było nieuchronne, jeśli miała tu żyć razem z nimi.

Zostawiła i szal, i kapelusz. Niechże ją przyjmą taką, jaka jest. Zmienić się nie może.

Jeremy zeskoczył ze stopnia; Roza usłyszała chrzęst żwiru pod jego butami. Chwilę później, jeszcze zanim powóz całkiem stanął, ze środka wyskoczyli Matt i Lily. Roza na krótką chwilę zamknęła oczy i usłyszała, że do głosu Jeremy'ego dołączył inny głos, z irlandzkim akcentem. Ucieszyła się, że Adam go nie stracił.

- Czekaliśmy na was. Możecie wierzyć albo nie -powiedział Adam, patrząc ponad ramieniem Jeremy'ego. Nie musiał mu się długo przyglądać, żeby go rozpoznać. A kiedy drzwiczki otworzyły się na oścież i wyskoczyła z nich dwójka dzieci, Michael wyrwał się stryjowi. Nie wahał się nawet przez sekundę. Ruszył prosto ku dziewczynce, która powoli szła w jego stronę.

Patrzyli na siebie. Chłopiec, z miodowozłotymi włosami, w których przebłyskiwały również miedziane pasma, z oczami ciemnymi jak sadza i brwiami przypominającymi ptasie skrzydła, był podobny do

matki. Miał pełne wargi, jak Adam, jedyny z O'Con-norów obdarzony podobnymi ustami, ale uśmiechał się inaczej niż stryj. Dziewczynka była równie wysoka jak brat, lecz szczuplejsza. Miała owalną twarzyczkę z ostrym podbródkiem Seamusa i jego wysokie czoło. Usta z wąską górną wargą też odziedziczyła po ojcu. Uśmiechała się jak łasiczka. Była tak podobna do Seamusa, że Adamowi aż dech zaparło w piersiach. Miała wszystkie jego rysy, ale koloryt Rozy: jasną, delikatną cerę i te niesamowite, rude włosy. Fiona też była ruda, lecz jej skóra lepiej tolerowała słońce.

Dzieci przyglądały się sobie. Stały w milczeniu o krok od siebie i każde z nich wpatrywało się w to drugie, tak dobrze znajome, a zarazem obce. Oboje wiedzieli, że zawsze było ich dwoje. I nawet rozdzieleni, zawsze będą razem.

-Ty jesteś Lily - stwierdził Michael. - A ty, Mikey.

Oboje skinęli głowami, ale wciąż się nie ruszali. Spojrzenie Michaela powędrowało dalej, do chłopca, który stał obok Jeremy'ego i próbował udawać, że nic go to nie obchodzi.

- Kto to jest?

- Matt - odparła Lily, nie spuszczać z brata oczu. - Jesteśmy prawie rodzeństwem.

- Prawie?

-Jego ojciec był mężem mamy - wyjaśniła Lily. -Już nie żyje.

Mikey spojrział na Matta, uśmiechnął się szeroko, a jego serdeczność najwyraźniej udzieliła się drugiemu chłopcu, który niczego nie przyjmował za pewnik, ale i Matt w końcu lekko się uśmiechnął.

-Wobec tego jesteś też prawie moim bratem -uznał Mikey. - Bo jej mama, to moja mama.
Mam

kuzyna, rodzeństwo cioteczne, ale nigdy dotąd nie miałem brata. Świetnie!

-Ja mam tylko Lily - powiedział Matt.

-I mnie - stwierdził Mikey. - Zawrzemy braterstwo krwi i będziemy jak prawdziwe rodzeństwo.

Matt uległ jego zachwytowi.

- Lily i ja też możemy to zrobić! Dziewczynka pokiwała głową. -Ale Mikey i ja nie musimy.

- To prawda - przyznał brat.

Rozmawiali ze sobą tak, jakby nigdy się nie rozstawali.

Adam mrugał i cieszył się, że jest ciemno; Dawno już nie płakał, a wzruszenie tłumaczył sobie zbyt dużą ilością wypitej brandy. Co też ten alkohol z nim robi!

Już chciał podejść do dzieci, ale zatrzymał się, bo dostrzegł jakiś ruch w powozie.

Jeremy natychmiast podskoczył do otwartych drzwiczek, co Adama tak zdziwiło, że aż zmarszczył brwi. Nie znał go od tej strony. Młody lekkoduch z całą pewnością słyszał o dobrych obyczajach, lecz z tego, co Adam pamiętał, nigdy zbyt chętnie ich nie przestrzegał. A teraz pomagał wysiąść z powozu ubranej na jasno kobiecie. Ujął ją w pasie. Widoczna między nimi bliskość wzbudziła w Adamie podejrzliwość. Nie wiedział, czy podoba mu się to, co widzi. Miejsce Rosie było przy O'Connorach. Nazwisko Jordanów rzucało cień, który być może on jedyny dostrzegał, lecz miał tego świadomość i niezbyt mu była w smak taka zażyłość Rosie i Jeremy'ego.

Roza z absolutną naturalnością wysunęła się z objęć Jeremy'ego, nawet mu nie dziękując, co zdradzało, że nawykła do jego troski. Adam zanotował to so-

bie w pamięci. Długo na nią patrzył. Miał wrażenie, że minęła wieczność. Ale osiem lat niewiele ją zmieniło, dalej była miękka i twarda zarazem. Miała przejrzyste spojrzenie, jednocześnie bliskie i dalekie. Na Boga, chyba Mikey nie przejmie się jej oszpeconym policzkiem! Chyba się przed nią nie cofnie...

A Michael patrzył ponad Lily i Mattem. Dzieci odsunęły się na bok, jakby je o to prosił. Teraz nikt już nie oddzielał go od matki. A on stał.

Jest podobny do mnie.

Zawsze sądziłam, że będzie taki jak Seamus. Nawet kiedy Jeremy mi go opisał, zawsze miałam przed oczami niemowlę, które oddałam. Nigdy nie umiałam sobie wyobrazić, jak wygląda naprawdę.

Ale teraz widzę. Moje piękne dziecko! Nie boi się. Nie wiem, ile uderzeń serca czekam, ale on się wcale nie boi. Patrzy na mnie. Widzi mój policzek. Widzi to, co piękne, i to, co brzydkie. Kącik ust leciutko mu drga, ale nie ze strachu, nie z obrzydzenia. Patrzy na mnie z ciekawością, a ja czuję, że nie jest ani trochę zaskoczony. Czuję, że pamięta; wie, że już mnie kiedyś widział.

- Ma? - pyta.

Nie czekam dłużej. Biorę go w objęcia, a jego dziecinne, lecz silne ręce obejmują mnie za szyję. Czuję jego miękki policzek przy swoim, tym zdrowym, i czuję, że płacę, ale to nic nie szkodzi. Dotykam żywego ciała mojego syna. Nie widziałam go od prawie ośmiu lat.

Adam spuścił głowę, kiedy Liły *przyłączyła* się do matki i brata. Stali tak we troje i obejmowali się nawzajem. Widać było, że nikomu nie pozwolą się rozdzielić. Odwrócił się więc do Jeremyego i zobaczył, że ten trzyma rękę na ramieniu drugiego chłopca -syna mężczyzny, którego Rosie poślubiła w Norwegii. Adam nigdy wcześniej nie widział, by Jeremy komukolwiek okazywał taką troskę. Owszem, bawił się z dziećmi, ale głównie dlatego, że jego samego to bawiło. Nie obchodzili go inni ludzie. Teraz wyraźnie się zmienił. Adam był ciekaw, co jeszcze Australia zrobiła z Jeremym Jordanem.

- Długo bawiłeś za morzem - zauważył.

Jeremy kiwnął głową.

-Rzeczywiście, to długa historia. Moje drogi skrzyżowały się z drogami Rosie...

-Znaleźliśmy złoto - dodał chłopiec, Matt. Mówił z jankeskim akcentem.

Adam wyciągnął do niego rękę i się przedstawił.

-Jestem dla ciebie jakby wujem. Tak jak Jeremy.

-Jeremy, to Jeremy - oświadczył Matt z powagą w ciemnych oczach. Nie zachęcał do bliskości, ale miał w sobie coś, co Adam od razu polubił. Jakaś prawdziwą szczerą. Adam żałował, że sam nie jest ulepiony z takiej gliny. Chyba nie był tak szczery nawet w wieku tego chłopca.

- W porządku. Możesz mi mówić Adam.

Chłopiec kiwnął głową. Patrzył na niego zmrużonymi oczami, w końcu pojawiło się w nich coś w rodzaju uznania. Adam domyślił się, że został zaakceptowany.

Wreszcie dzieci oderwały się od matki, a ona wypuściła je z objęć. Albo odwrotnie, Adam nie był tego pewien. Znów na nią patrzył. Łączyło ich wiele

spraw z przeszłości; miał nadzieję, że Rosie nigdy się nie dowie, jak wiele. Nie może się dowiedzieć! Przełknął ślinę, odpędzając wspomnienie śmiertelnego grzechu, który, popełnił, sprzedając życie rodzonego brata.

Rozłożył ręce, a ona zrobiła kilka kroków i już była w jego ramionach. Spierzchniętymi wargami całował jej skroń.

- Tak bardzo na was czekałem - powiedział. - Nie masz pojęcia, jak bardzo!

Rozdział 3

Rose Garden, 2 października 1849 Adamie, mój Bracie!

Piszę do Ciebie, by prosić Cię o wzięcie na siebie tej odpowiedzialności, która do Ciebie należy, i o to, byś zachował się jak mężczyzna i nie przynosił już wstydu naszemu nazwisku. O'Connorowie nie muszą wpadać do rynsztoka z powodu takich czynów jak ten, który popełniłeś z czystej chciwości.

Wiem o tym.

Nie ma znaczenia, w jaki sposób się dowiedziałem. Doniósł mi ktoś, kto wiedział, jak głęboko mnie to zrani. Użył tego jako broni przeciwko mnie i tym wszystkim, których kocham i których - jak sądziłem - kochasz również Ty. Ale Tobie być może uczucia nie wystarczyły. Nie chcę spekulować, co Cię do tego

skłoniło, lecz mam swoje przemyślenia na ten temat. Ty najlepiej znasz prawdę. Musisz z tym żyć.

Być może spośród osób, które wiedzą o wszystkim, zostałem już tylko ja, oprócz Ciebie samego, Adamie. Mam nadzieję, że uchroniłeś swoją żonę przed udziałem w grzechu. Deidre jest więcej warta i nie zasługuje na dzielenie się z nią takimi tajemnicami. Chyba jej tak nie skrzywdziłeś, Bracie?

Wciąż jesteś moim bratem.

Myślałem o przyjeździe. Chciałem postawić Cię przed sądem za to, co zrobiłeś. Wiele razy to rozważałem. Ten drugi list, adresowany do Was wszystkich, wyjaśnia, dlaczego nie przyjadę. Rosie też Wam to wytłumaczy.

Niektóre upiory prześladują człowieka przez całe życie, prawda, Adamie? Znajdą Cię bez względu na miejsce na ziemi, w którym się ukryjesz. To coś więcej niż los.

Ona o niczym nie wie.

Nie mogę Ci zagrozić, że jej o wszystkim powiem, jeśli nie zachowasz się wobec niej przyzwoicie. Wszystko zależy od Ciebie, Adamie, mój Bracie.

Proszę Cię, żebyś się o nią troszczył, żebyś był dla niej rodziną. Stryjem dla jej dzieci. Poczuj tę odpowiedzialność. Jesteś jej to winien bardziej niż ktokolwiek inny.

Więcej zrobić nie mogę, Adamie. Nie potrafię Ci wybaczyć, ale sądzę, że Ty również nie będziesz ode mnie tego wymagał. Szanuj nasze wspólne nazwisko, nasz wspólny ród, Bracie. Wciąż bardzo Cię kocham.

Twój brat, Joseph

List potrzebował ponad dwóch lat, żeby dotrzeć do adresata. Był trzynasty stycznia tysiąc osiemset pięćdziesiątego drugiego roku. Noc nad Waimauku była miękka jak aksamit. Napisany w Georgii list wygniótł się po drodze, ale atrament rozpląnął się trochę jedynie na kopercie. Na sztywnych, kremowych arkusikach pismo brata kłuło w oczy lekko tylko zblakłą czernią. Słowa były wyraźne, a ich sens w pełni jasny.

Joe wiedział!

Ta świadomość gryzła Adama jak termity. Brat wiedział, kiedy przyjechał z wizytą, szukając Rosie. Wiedział, ale ani słowem o tym nie wspomniał.

Może więc jednak wybaczył?

Adam nie rozumiał, dlaczego Joe nic nie powiedział. Ten list jednak rzucił światło na wiele chwil spędzonych razem, kiedy prawda ciążyła Adamowi; kiedy czuł, że powinien się przyznać, a oparcie się tej pokusie wymagało od niego ogromnego wysiłku. W Joem bowiem było coś niewypowiedzianego; jakby brat usiłował skłonić Adama do wyznania tego, co na zawsze miało pozostać jego tajemnicą. Ale on uznał, że tylko mu się tak wydaje, bo nikt już o tym nie mógł wiedzieć. Nie pomyślał, że prawda zawsze wychodzi na jaw. Nie da się jej zakopać ani ukryć na długo. Musi się wydostać na powierzchnię.

Ten list pokazał, że wszystkie te chwile, kiedy Adam czuł, iż Joe pragnie, by on coś mu wyjawiał, by się przyznał, by powiedział mu to, co przed nim ukrywał, nie były tylko złudzeniem i bezpodstawnymi fantazjami.

Krew napłynęła mu do twarzy już w momencie, gdy zaczął czytać. Teraz policzki wciąż paliły, podobnie jak kark. Całe ciało płonęło ze wstydu. Nie wiedział, jak rano zdoła spojrzeć w oczy rodzinie.

„W taki sam sposób jak we wszystkie inne poranki, Adamie" - usłyszał.

Ten głos był taki prawdziwy, ale tylko on go słyszał. Wydobywał się z głębi jego sumienia albo ze wspomnień. A może przemawiał tak wciąż dręczący go ból. Nie wiedział. W każdym razie nie mógł to być głos Seamusa, mimo że był bardzo do niego podobny. Ale Adam nie wierzył w duchy. Zmarli żyli jedynie we wspomnieniach i pamięci żywych oraz we krwi swoich dzieci. Nie przedli głosu z gwiazdowego pyłu i nie szeptali do ucha dobrych rad swoim zabójcom.

Adam nie wierzył, że kiedykolwiek zdoła o wszystkim zapomnieć. Miał jednak nadzieję, że mijające lata przyniosą mu pewien spokój i ukojenie.

Dłonie rwały się, by zgnieść kartki w kulkę i podpalić. Adam chciałby unicestwić ten dowód popełnionego przez siebie przestępstwa.

Ale tego nie robi.

Do końca życia zachowa ten list, ukryje go wśród swoich najcenniejszych rzeczy. Zniszczy go tuż przed śmiercią, żeby Aidan nie musiał żyć ze świadomością grzechu popełnionego przez ojca. Chyba wystarczy mu na to sił i rozumu.

Westchnął i przykręcił lampę. Płomień zamigotał i zgasł. Znów otoczyła go ciemność. Siedział pod wysokimi topolami nad stawem, przy płocie ciągnącym się od stajni przez podwórze aż prawie po winnice. W ciemności było cicho. Tylko on, wiatr i te drzewa, rzucające w upalne dni upragniony cień. Oparty plecami o prosty pień, zastanawiał się, dlaczego nie można uciec przed własnym życiem. Utrata pamięci musi być błogosławieństwem. Właściwie pragnął takiego stanu, ale nie wierzył, żeby to było możliwe. W każ-

dym razie jego na pewno to nie spotka. Niebo nie trzymało jego strony.

Zauważył ich, gdy było już za późno, by się odezwać czy pokazać. Nie zdawali sobie sprawy z jego obecności. Usiedli na ławce pod drzewami na podwórzu, pod obficie kwitnącym na czerwono pohutuka-wa i niższym kowhai, obsypanym żółtym kwieciem. Adam zasadził te drzewa obok siebie, bo żółć pięknie współgra z czerwienią. Chciał zrobić przyjemność Deidre, lecz one zaczęły tak naprawdę kwitnąć dopiero wtedy, gdy żona odeszła. Teraz rozpościerały swoje gałęzie nad dwojgiem innych ludzi, a jego osłaniały jako słuchacza. Wiedział, że usłyszy słowa nieprzeznaczone dla jego uszu, ale nie mógł się już ujawnić. Nie mógł ruszyć się z miejsca, a nie byłby człowiekiem, gdyby nie wstrzymał oddechu, słysząc ściszone głosy, i nie wyteżył słuchu tak, by dotarło do niego każde wypowiedane słowo.

- Spóźniłam się.

Jeremy podał jej rękę i zaprowadził ją na ławkę pod wielkimi drzewami. Po ciemku Roza widziała jedynie zarys pni i koron.

- Wiedziałem, że tak od razu cię nie wypuszczą - rzucił Jeremy lekko. Nie uśmiechał się; Roza wyczuwała to po jego głosie.

- Nie wiem, czy rozpoznam ich przy dziennym świetle - powiedziała rozbawiona. - Nie przypuszczałam, że tak mnie powitają.

Jeremy nie siadał. Był niespokojny; zakłócał nocną ciszę, chodząc od ławki do zagrody dla bydła i z powrotem. W końcu stanął, odwrócony do niej plecami, i powiedział nieco podniesionym głosem:

- A ja wiedziałem, że tak będzie. Jesteś jedną z nich, czy tego chcesz, czy nie, Rosie. Należysz do nich. Przyjechałaś do swoich, do O'Connorów. Nie mówiłem? Wiedziałem, że nie masz się o co martwić. Jesteś w domu, Roz.

- Tak mówiłeś...

Jeremy zorientował się, że mimo wszystko Rosie czuje się osamotniona. Jeszcze nie była pewna, jak ją przyjmą. Zrobiło mu się jej żal, ale nie chciał jej krzywdzić, splatając jej życie ze swoim. Już nie. To nie on będzie ją pocieszał czy przekonywał, że nie musi być sama. - Powitanie jeszcze się nie skończyło, przecież wiesz - dodał ciepło. - Jutro dalszy ciąg. New Favourite stanie na głowie. Na stół wjedzie to, co najlepsze. Jeśli słońce nie wyjrzy zza chmur, to niech żałuje.

- Taka zazdrość jest do ciebie niepodobna, Jeremy. Roześmiał się i znów przeszedł po ciemku drogę

między ławką a płotem, po czym usiadł koło niej. Widziała jego białą koszulę. Podwinął rękawy, rozpiął też kołnierzyk i zdjął fular. Jak ten Jeremy, którego знаła z Australii. Po zamknięciu oczu mogła uwierzyć, że wciąż tam są, w ciemności, przy zgasłym ognisku, nad Pine Creek w australijskim outbacku. Słyszała w duszy, jak wiatr szarpie brezentem i jak żaby kumkają na bagnach, kawałek za lasem.

-Co tak pachnie? - spytała, wdychając ciężki aromat.

- Orchidee - odparł. - Tak mi się wydaje. Kiedyś było ich tu mnóstwo. Fiona i Colleen się na tym znają.

outback - suche tereny w Australii poza obszarami zamieszkanymi, busz (przyp. red.).

Szaleją na punkcie tutejszych kwiatów. Ja po prostu na nie patrzę i czasami zrywam...

- Dla kobiety? - spytała.

- Nie sądziłem, że będziesz zazdrosną żoną - odparł z lekkim uśmiechem.

- To nie jest temat do żartów.

- Przepraszam.

Wsunął rękę pod prawie rozpleciony kok i lekko potarł jej kark. Jego palce miały wprost magiczne działanie. Roza czuła, jak ucisk ustępuje, jak masaż rozluźnia napięte ścięgna szyi, zeszywniałe przez całą tę długą podróż do miejsca, które być może nauczy się nazywać domem.

- Dzieci się polubiły. Kiwnęła głową.

- Bardzo się bałem o Matta - przyznał Jeremy. -Ze względu na Lily. Ona ma wiele dobrych cech, ale jest taka zachłanna. Bałem się, że porzuci Matta, nawet nie zdając sobie sprawy, że robi coś złego. Obawiałem się, że ona i Mikey świata poza sobą nie będą widzieć.

Jego troska wzruszyła Rozę. Nie była na pokaz. Nie udawał, żeby lepiej przed nią wypaść. Jego słowa były szczerze, płynęły prosto z serca. Jakby mimowolnie. Domyślała się, że jest równie zaskoczony swoimi uczuciami i reakcjami jak ona. Polubiła go właśnie za tę wrażliwość, a jeszcze bliższy stał się jej, kiedy odważył się ją okazywać. Robił to trochę wbrew sobie, bo przecież wolałby nie zawracać sobie niczym głowy. Łatwiej by mu się żyło, gdyby się nie przejmował.

- Poszło naprawdę dobrze - przyznała.

- Nie odgryziesz mi głowy? - W ciemności pieścił ją uśmiechem jak palcami.

- Czy jestem aż taka zła?

- Tak, kiedy ktoś atakuje twoje pisklęta. -Wiem, jaka jest Lily - odparła. - Wiem, co w niej

siedzi. Chociaż to moje dziecko i ją kocham. Ona jest nie tylko...

- Kwiatem? - podsunął.

- Nie tylko kwiatem - powiedziała. - Lily pragnie mieć wszystko. Taką już ma naturę. Jest podobna do... Seamusa. Jeremy wychwyił cichy żal w jej głosie i zrozumiał, że można kochać również to, czego się nie lubi. Niektórzy musieli mieć własne dzieci, żeby to pojąć. Jemu pchnięto w objęcia matkę cudzych dzieci i dzięki temu wydorósł czy tego chciał, czy nie. Zajęło mu to mniej niż rok, a zauważyli to tylko on i Rosie. Tutaj powitano go i przyjęto jak dawnego Je-remy'ego. Jego najbliżsi nie wiedzieli jeszcze, że pod dawną skorupą ukrywa się zupełnie inny człowiek.

- Zapomniałem, że Mikey jest tak do ciebie podobny - powiedział ciepło, z oddaniem. - Michael to dobre dziecko, Roz. Lily także, ale ona długo była księżniczką. Może z dziewczynkami jest inaczej.

-Lily taka już jest - stwierdziła Roza cierpko. -Trudno jej będzie dorosnąć. Być jedną z wielu. Ludziom o takim usposobieniu jak jej niełatwo jest w życiu. Ale człowieka nie da się zmienić, Jeremy. To niemożliwe. Wszystko jedno, czy chodzi o kogoś, z kim masz żyć, czy o dziecko... Przez chwilę milczeli. Jeremy zdjął dłoń z jej karku i palcami musnął policzek. Odgarnął lok z jej twarzy i założył go za ucho.

-Jesteś zmęczona, Roz. Możemy o tym porozmawiać później.

- Nie możemy tego bez końca odkładać!

- No, dobrze...

- Musiałam mieć ten dokument, żeby dostać się do Nowej Zelandii - powiedziała. - Wszystko jedno, czy było w nim napisane „Rose Jones”, „Rose Jordan” czy cokolwiek innego...

Westchnęła.

-Mogłaś wyjść za Blixa! - zaśmiał się Jeremy. Uśmiechał się zawsze, nawet w najtrudniejszych chwilach. Nie potrafił stawić czoła trudnościom, zanim nie roześmiał im się w twarz. - Wyszłoby na to samo, a nie wywołałoby plotek w Auckland.

Zastanowiła się.

-Chcesz powiedzieć, że ludzie się o tym dowiedzą?

-Z całą pewnością już się dowiedzieli - odparł gniewnie. - A wkrótce ta wiadomość dotrze i tutaj. Rano woźnica wraca do Auckland. Wyobraź sobie, ile będzie miał do opowiadania! Świetne uzupełnienie tego, co ludzie już podają sobie z ust do ust.

Roza milczała.

-Mało nas tutaj, Roz. Adam i mój brat, no cóż, też nie są niewidzialni, prawda? Na takich jak oni ludzie zwracają uwagę. Oni się wyróżniają. Ja żyję w ich cieniu, ale przez nich wszystkie oczy patrzą i na mnie. Jestem dobrą partią, jako młodszy brat mojego brata.

Poczuła, że się dusi. - Przecież między nami nic takiego nie ma - stwierdziła.

- No, nie. - Jeremy objął ją ramieniem i przytulił policzek do jej włosów. - Między nami tak nie jest, Roz. - I to będzie wiarygodne?

- Obawiam się, że tak. Poszukiwacze złota często są już żonaci, a niektóre dziewczyny pewnie też ma-

ją mężów. Dlatego to dla nich zabawa. Takie święto.

- A nam nawet zabawa przeszła koło nosa - zauważyła ponuro.

- Możemy to rozgłosić i uczcić tutaj - zaproponował i się roześmiał.

- Chciałbyś? - spytała. W ciemności próbowała pochwycić jego spojrzenie, ale było to trudne. Cały czas widziała wyraźnie jedynie jego zęby, kiedy się uśmiechał, i chwilami białka, gdy nie mrużył oczu.

-Nie.

-A czego ty chcesz, Jeremy? - zapytała z naciskiem. - Co byś zrobił, gdybyś nie znalazł się wbrew sobie w takiej sytuacji?

Według prawa był teraz odpowiedzialny za nią i za dzieci. Nagle to sobie uświadomił. Do tej pory o tym nie myślał. Rosie była od niego bogatsza, ale to na nim spoczywał obowiązek utrzymania rodziny. W następnym zdradliwym momencie uświadomił sobie, że zaraz po ślubie cały majątek kobiety przechodzi na własność mężczyzny.

Teraz to nie Rosie była bogata.

Bogaty był on. To znaczy byłby, gdyby nie miał skrupułów

- Czego ja chcę? - zastanowił się, starając się zapomnieć o swoich najnowszych odkryciach. Nie chciał, by wiodły go na pokuszenie. Ale przecież był tylko człowiekiem, po którym nikt niczego szczególnego się nie spodziewał. Może to jego ostatnia szansa na spalenie wszystkich mostów: pokazać się od tak podłej strony tym, którym choć trochę na nim zależało, by raz na zawsze go odtrącili, by dali mu pretekst do zerwania z nimi na dobre.

- Chcę zbudować dom, który będzie należał tylko do mnie - powiedział, bo naprawdę o tym marzył. - Nie tutaj. I chcę pojechać na półwysep Coromandel.

- Po złoto? - zaśmiała się cicho, wyrozumiale.

-Wiesz, jak to jest, Roz. Wiesz, jak można oszaleć, kiedy się coś znajdzie. Znasz trochę to oszołomienie, które napędza człowieka. Widziałaś nas. Sama stałaś w tym po kolana. Musiałaś coś czuć...

-Ja nie pożądam złota, Jeremy - odparła cicho i szczerze.

- Bo jesteś za bogata - mruknął jej w skroń. Wargi miał wilgotne, zmysłowe. Rosie tak przyjemnie pachniała, mimo wielodniowej podróży bez porządnej kąpieli.

Potrafiła obudzić w nim coś, z czym nie zdążył się jeszcze w pełni oswoić. Nie chodziło tylko o pożądanie. To coś miało czyste, przejrzyste dno, ale mogło być równie niebezpieczne jak namiętność. Lekko obróciła ku niemu twarz, a on nie mógł się powstrzymać. Pocałował ją. Całował długo i czuł jej palce na swoich nieco już za długich włosach na karku. A może to ona całowała jego? Kiedy ich usta wreszcie się rozdzieliły, odsunęli się oboje na przeciwne końce ławki. Potrzebowali dystansu, ale jej ręka została na oparciu, podobnie jak jego, a ich palce wciąż były splecione. Nie wiadomo, czy tego chcieli, czy nie. - Pożądanie z czasem zniknie - oświadczył, siląc się na rozsądek. - Wypali się. Zawsze się wypala.

-Mówisz tak, jakbyś miał już za sobą tysiąc małżeństw - zauważyła.

- Mam oczy na swoim miejscu. Patrzę na ludzi dokoła siebie. Namiętność mija. Ludzie spalaliby się, gdyby tak nie było. Widzę, że przestaje być dla nich ważna. Myślą o innych rzeczach, nie tylko o fizycz-

nej miłości. A ja tych innych rzeczy nie chcę. Mnie zależy na pożądaniu, na żarze, na tym, co niebezpieczne. - Ścisnął jej palce. - Ale i we mnie ogień zawsze się wypala. Dlatego wiem, że to nie potrwa długo. To już prawie koniec.

- Nie „prawie” - powiedziała. - To koniec. Tak jak mówiłam wcześniej. To nie było tylko takie tam gadanie. Ale węgle na palenisku wciąż się jeszcze żarzyły.

- Uważam, że powinieneś jechać do Coromandel, Jeremy. Tamtejsze złoto czeka na ciebie. Czekają, aż zdążysz się wyszkolić w Viktorii, aż staniesz się prawdziwym poszukiwaczem złota.

- No, właśnie - przytaknął z uśmiechem.

- Może znajdziesz tam coś, o czym nawet nie marzysz...

Chciałby, aby tak było.

- Z domem możesz poczekać do powrotu. Zbudujesz go, gdzie zechcesz. Nic nie będzie cię wiązać.

Ani nikt.

Nie powiedziała tego głośno, ale zwracała mu wolność. Jeremy nie musiał nawet jej o to prosić. Wielkoduszność Rozy ani trochę go nie zdziwiła. Od dawna o niej wiedział. Zauważał ją nawet wtedy, gdy go nie interesowała, kiedy był o wiele większym lekkoduchem. - A co z tobą? - spytał. - Co z Lily, Mikey'em i Mattem? I z Jordym?

- Damy sobie radę. Mam tyle, że sobie poradzimy.

Miała tyle, że sobie poradzą. Owszem, pod warunkiem, że on się o to nie upomni. Pod warunkiem, że nie powoła się na obowiązujące prawo i nie oświadczy, że wszystko jest jego własnością. Ze prawnie mu się należy...

- A co z plotkami? - spytał.

- Oczywiście, musimy powiedzieć, jak jest naprawdę.

Nie myślał o tym. Próbował raczej snuć w głowie wiarygodne kłamstwa.

- Moglibyśmy powiedzieć, że papiery są fałszywe - zaproponował. - Ze straciłaś większość swoich dokumentów. To przecież prawda. Uwierzą nam, jeśli powiemy, że musieliśmy to świadectwo kupić, żeby cię wpuścili do kraju.

- Chcesz okłamywać swoich najbliższych, Jeremy?

- Chyba bardzo się od siebie różnimy, Roz. Owszem, mógłbym ich okłamać. Ty nigdy tego nie robiłaś?

Roza zamilkła na dłużej. Jeremy nie wiedział, co myśli. Nie umiał sobie tego wyobrazić. Domyślał się jednak, że również ona miała bliskie kontakty z kłamstwem. Trzymała je za rękę i w objęciach, sypiała z nim już dostatecznie długo, by pozostawiło po sobie trwałe ślad.

- Nie chcę więcej kłamać, Jeremy.

-Przecież można się rozwieść. To nie jest łatwe, ale możliwe.

- Można też zostać wyrzuconym z tego kraju - zauważyła.

- Pojadę do Coromandel. Będę się tam bardzo źle prowadził. Nikt nie będzie tolerował takiego zachowania u żonatego mężczyzny. Może się wzbogacę. Zbuduję własny dom i dalej będę postępował tak, jakbym był kawalerem...

-Chciałabym, żebyś tak właśnie żył. Nie chodzi mi o nieodpowiedzialność, ale o to, żebyś miał własne życie. Nie rozumiesz mnie, Jeremy? Nie słyszałeś ani słowa z tego, co mówiłam?

- To ty nie słuchasz, Roz - powiedział z czułością. - Ja ci tłumaczę, co zamierzam zrobić, żebyś mogła się ze mną rozwieść. Nikt wtedy nie pomyśli, że to twoja wina. I nikomu nie przyjdzie do głowy, że nie masz prawa tu mieszkać.

- Na to nie mogę ci pozwolić. Chcesz splamić swoje nazwisko? Czy ono nic dla ciebie nie znaczy?

- Nie - odparł po chwili milczenia. Siedział z pochyloną głową i czuł, jak rośnie w nim pogarda, jak podnosi się z żołądka i przyprawia go niemal o mdłości. - Nazwisko nic dla mnie nie znaczy, Roz. Może kiedyś je zmienię, jak już dostatecznie je zhańbię. Zrobię to dla ciebie. Bo to ja cię w to wciągnąłem. To z mojej winy wynikło całe to zamieszanie. Tak będzie sprawiedliwie. Muszę to załatwić. Przynajmniej tyle jestem ci winien, Roz.

Przynajmniej tyle...

-Zastanów się jeszcze - poprosiła. -Jak długo mam się zastanawiać?

- Długo.

- A ty wciąż masz zamiar im o tym powiedzieć? Potwierdziła.

-Jutro?

- Chyba będę musiała - odparła słabym głosem. -Przecież oni wszyscy to...

- ...moja rodzina - dokończył z uśmiechem.

- ...moja rodzina - powtórzyła i też się uśmiechnęła. Przy Jeremym nie dało się tylko płakać. Miał tyle dobrych cech, było za co go lubić. Na pewno pojawi się jakaś kobieta, która może z nim być bardzo szczęśliwa, ale to nie będzie ona.

-Żadnego okłamywania rodziny - zacytował ją poważniej, niż zamierzał. - Może ja też powinienem zacząć żyć według tej zasady. Może nie od razu, ale

za jakiś czas. Może to jest cel, o który warto walczyć. Uczciwość. Przyzwoitość.

- Ty już jesteś przyzwoitym człowiekiem, Jeremy Jordanie.

-Ale nie na tyle przyzwoitym, żeby chcieć mnie za męża?

- Przyzwoitości ci nie brakuje. Chodzi o coś innego.

- Moglibyśmy spróbować - zaproponował nieoczekiwanie. Zaskoczył tym równie mocno siebie, jak i ją. - Moglibyśmy spróbować żyć razem.

- W domu twojego brata?

- Albo u Fiony. Albo u Adama! Nie ma to dla mnie większego znaczenia. Na razie.

Potem zbudowalibyśmy własny dom!

- A co będzie, jeśli zechcesz wyjechać? Jak już ci się to znudzi? - spytała cicho.

- Zostanie ci dom. - A tobie?

-Ja nie przywykłem do posiadania. Wystarczy, jak mi wydzielisz jakiś kąt. Przecież nie stalibyśmy się wrogami, prawda?

-Owszem, może nawet by się nam udało. Przez jakiś czas. Gdybyśmy byli tylko we dwoje. Ale nie jesteśmy sami...

- Dzieci nie potrzebują kogoś, kto się pojawia i znika - dokończył Jeremy. - Pozwoliłem sobie o tym zapomnieć. To pokazuje, jaki jestem niepoważny, prawda? Rzeczywiście, najlepiej zrobisz, jeśli się mnie pozbędziesz, moja Rosie.

- Ty mnie nie kochasz.

- Ale ogromnie cię lubię, do diabła, wifę. -Chcę, żebyś pewnego dnia przekonał się, jak to jest, kiedy kochasz tak mocno, że nie boisz się cały oddać tej drugiej osobie. Tak się wcale nie dzieje, ale

dopóki się o tym nie przekonasz, będziesz się tego bał. Ten lęk jest jak najcudowniejsze odurzenie, Jeremy. A to, co przychodzi później, jest tak wspaniałe i piękne, że życzę ci tego z całego serca. Jesteś moim najlepszym przyjacielem.

Jeremy cieszył się, że jest ciemno. Nie chciał, żeby Rosie widziała, jak pozbawiony skrupułów, dorosły mężczyzna płacze.

- Mógłbym cię pokochać - powiedział z przekonaniem, nie do końca rozumiejąc, o czym ona mówiła. To brzmiało jak baśń. - Myślę, że to by nie było trudne. Potrzebuję jedynie czasu. I chyba nie jestem też jakiś ostatni. Nie mogłabyś się zakochać w kimś takim jak ja? Przecież już łączy nas przyjaźń. Jest nam ze sobą dobrze, pożądamy się nawzajem, lubię dzieci, a one mnie. Z naszymi rodzinami nie będzie żadnych kłopotów.

-Ja nie kocham ciebie, a ty nie kochasz mnie. I nigdy nie planowaliśmy małżeństwa.

- Twarda z ciebie kobieta, Rosie Jordan - westchnął.

Rozie przebiegły ciarki po plecach. Dopiero w tej chwili uświadomiła sobie, że naprawdę nazywa się teraz Rose Jordan, i zrozumiała, tak jak Jeremy, że można gardzić nazwiskiem.

- Nie nazywaj mnie tak!

Jeremy wyczuł jej ból; posadził ją sobie na kolanach i mocno objął. I tulił tak długo, aż przestała drzeć.

-Mamy za sobą ciężki dzień, Roz - szepnął jej z czułością do ucha. - Uważam, że powinnaś się już położyć. Jutro uporządkujemy wszystko, co się wydaje zawile i skomplikowane. To znaczy dzisiaj. Ale najpierw się wyśpijmy.

- Powiemy prawdę - oznajmiła.

- Dobrze, powiemy prawdę - obiecał.

- Przecież mogę iść sama - zaprotestowała, kiedy wziął ją na rękę i zaczął nieść w stronę domu Adama, który stał najbliżej i gdzie spały już jej dzieci.

- Ale tak jest przyjemniej - odparł. - Nie lubię tych małżeńskich kłótni. Nikt mnie nie uprzedził, że tak wygląda życie żonatego mężczyzny.

- Nie żartuj sobie z tego, Jeremy! - Wolałabyś, żebym płakał? - spytał.

- Nie, ale takich żartów też nie chcę słuchać...

Po ich odejściu Adam długo jeszcze siedział jak skamieniały. Zastanawiał się, czy nie powinien obić Jeremy'emu gęby. Ale nie był bratem Rosie, a poza tym ona najwyraźniej nie czuła się obrażona czy dotknięta. Przeciwnie, nazwała Jeremy'ego swoim najlepszym przyjacielem.

Seamus by go zabił.

Ale przecież gdyby Seamus żył, w ogóle by do tego nie doszło. To on byłby mężem Rosie i jej najlepszym przyjacielem. Nie przyjechaliby do New Favourite i na barkach jego brata nie ciążyłaby tak wielka odpowiedzialność.

Adam nie mógł zrobić nic innego, niż czekać na to, co przyniesie dzień. Zobaczy, jak się zachowają i co powiedzą.

Rozdział 4

-...tak więc właściwie Roz i ja jesteśmy małżeństwem - zakończył Jeremy, a na jego twarzy pojawił się szeroki, rozbrajający uśmiech. Przesuwał wzrokiem po wszystkich, i dużych, i małych mieszkańcach New Favourite. Jego ręce spoczywały na ramionach Rozy. Zdecydował, że ujawniając to, czym postanowili podzielić się z innymi, będzie stał przy niej. Gdy więc powiedział już wszystko, stanął za nią tak, aby tworzyli wspólny front.

Zebrali się na wspólnym dziedzińcu między trzema budynkami mieszkalnymi na farmie. Duży, piętrowy dom Jareda, z kolumnkami i balkonem, był usytuowany po północnej stronie. O wiele mniejszy, lecz również piętrowy dom Fiony stał pod kątem prostym do domu Jordanów, frontem do dziedzińca, a tyłem do stajni od wschodu. Natomiast parterowy dom Adama w kształcie litery L zajmował południowy bok podwórza. Z tyłu była zagroda dla bydła i biegła droga na farmę. Wejście znajdowało się od wschodu, blisko stajni. Adam nie miał ogrodu, tylko dwa drzewa przed domem, które kwitły kolorowo na wyścigi. Z kolei Fiona założyła za domem warzywnik, przylegający do krótszej ściany stajni, oddzielony od bujnie kwitnącego ogrodu Jordanów rzędem topoli. Na dziedzińcu rosły kwiaty i drzewa, głównie dzięki aktywności Colleen i jej zdolnościom nama-

wiania młodszych członków rodziny do pracy na rzecz upiększania obejścia. Dzięki niej zbili nawet kilka ławek. Podwórze stało się ulubionym miejscem wszystkich; rodzina zbierała się tu, kiedy chciała lub musiała być razem.

Po przyjeździe Jeremy'ego i Rozy z dziećmi było ich wszystkich dwadzieścioro troje. Dzieciaki nie zdołały jednak długo usiedzieć w miejscu. Niemal od razu zniknęły na rozległych polach otaczających farmę. Nowi towarzysze zabaw zaadaptowali się bez trudu. Łatwo się zaprzyjaźnić, gdy można razem biegać i skakać, bez konieczności prowadzenia długich rozmów. Dużo o sobie wiedzieli, jeszcze zanim nauczyli się nowych imion i zdołali powiązać je z twarzami.

-To znaczy, że jesteście trochę małżeństwem? -spytał Jared Jordan, starszy brat Jeremy'ego.

- Na papierze - uściślił Jeremy.

- A już sądziłem, że wreszcie dorosłeś - powiedział Jared, wbijając w brata jasne oczy.

Z wyglądu nie byli do siebie zbyt podobni. Obaj mieli wysokie czoła i identycznie zarysowane brwi, ale rysy Jareda były ostrzejsze, Jeremy'ego zaś bardziej miękkie, lalkowate. Błysk w oku i śmiech, który zawsze czał się u młodszego z braci, u starszego zastępowała powaga. Jared mocniej czuł ciężar odpowiedzialności i wszystko traktował poważnie, choć oczywiście i on potrafił się śmiać.

- Nawet nie pomyślałem, że coś podobnego może ci przyjść do głowy.

-Oboje jesteśmy temu winni - oświadczyła Roza, twardo patrząc na Jareda. Była równie poważna jak on. W wykrochmalonej, białej bluzce z wysokim, prostym kołnierzykiem, bez koronek i zbędnych ozdób, w jas-

noniebieskiej spódnicy pożyczonej od Fiony, z włosami upiętymi w kok ujęty w siateczkę, wyglądała bardzo dostojnie i odpowiedzialnie. - Tam i wtedy nie mieliśmy wyboru. Moje dokumenty przepadły kilka miesięcy wcześniej, bo zostaliśmy obrabowani. Wszystkie wartościowe rzeczy, jakie nam pozostały, Jeremy zdeponował w banku pod fałszywym nazwiskiem Howard Jones. I w ten sposób stałam się panią Howardową Jones. - Wysunęła podbródek. - Następnym razem postąpiłabym tak samo. To były moje pieniądze. Pieniądze Lily i Mikey'a. Ich spadek. Miałam do nich prawo. A o to, że oszukali nas ludzie, którym zaufaliśmy, w żadnym razie nie można winić Jeremy'ego. Jared westchnął.

- A więc jesteście trochę małżeństwem. Co to dla was znaczy? Co zamierzacie zrobić? Gdzie będziecie mieszkać? Czy możemy się spodziewać jeszcze innych niespodzianek?

- Roza nie jest ani trochę w ciąży. - Jeremy wciąż próbował żartować. - Całkiem też nie, o ile mi wiadomo.

- Dziękujemy panu za te drobne radości - mruknął Jared.

- Wyjeżdżam do Coromandel - oznajmił nagle Jeremy.

Wszyscy ci, którzy do tej pory jeszcze na nich nie patrzyli, od razu wbili w niego wzrok.

- Nie wystarczy ci, że w Australii ciągałeś ich za sobą od jednego złotonośnego pola do drugiego? - Jared pierwszy opanował się na tyle, by zareagować. - Chcesz tutaj zrobić to samo?

- Nie rozumiesz... - zaczął Jeremy.

- Rozumiem świetnie! - zagrzmiał Jared. - Rozumiem, że nie jesteś w stanie podjąć się odpowiedzial-

ności. Że wciąż jesteś tak samo bezmyślny i rozpieszczony jak wtedy, gdy byłeś dzieckiem...

- Rozpieszczony? - zaśmiał się gorzko Jeremy. - Ja? Na Boga, Jared, jak możesz tak mówić? Czy któryś z nas w ogóle był rozpieszczony?

- Zawsze ktoś cię we wszystkim wyrećcał - odparł brat. - Mogłeś robić, co chciałeś, bo nazwisko zawsze cię tłumaczyło. A jeżeli ono nie pomagało, zawsze byłem gdzieś ja albo Jasper i nasze pięści rozprawiały się z tymi, z którymi ty nie umiałeś się policzyć. A jeśli potrzebne były pieniądze albo groźby, żeby po tobie posprzątać, to był on sam...

Jeremy spuścił głowę; nie mógł wydobyć z siebie słowa. Nie tak zapamiętał życie na plantacji w Georgii. Nigdy nie sprawiał aż takich kłopotów. Nie mógł uwierzyć w to, co usłyszał. Ale Jared był najstarszy. A trzy lata różnicy to dużo. Jared z pewnością pamiętał lepiej. Barwił wspomnienia goryczą, ale też i najlepiej pamiętał.

- To ty nic nie rozumiesz, Jared - odezwała się Roza. Ujęła dłoń Jeremy'ego i uścisnęła ją, żeby dodać mu otuchy. - Twój brat jest dobrym i przyzwoitym człowiekiem. Przekonasz się, jeśli poświęcisz trochę czasu, żeby mu się przyjrzeć. Jeremy w Australii wziął na siebie odpowiedzialność, o jakiej nikomu się nie śniło, a już najmniej mnie. Mógł się nie mieszać w to, co się wydarzyło w porcie w Sydney, a jednak się na to zdecydował. Twój brat Jeremy jest moim najlepszym przyjacielem. Ale nigdy nie planowaliśmy małżeństwa. Nie łączyło nas tego typu uczucie. Naszym błędem było to, że podpisaliśmy się na kawałku czystego papieru, a ktoś, komu się wydawało, że wie, co będzie dla nas najlepsze, dopisał na nim nasze nazwiska.

- Musieli uważać, że postępują słusznie - zauważył cierpko Jared. - Ciekaw jestem, jak wpadli na ten pomysł...
- Nie twoja sprawa - obruszyła się Roza. Z jej niebieskich oczu posypały się iskry.
- To wystarczająca odpowiedź na moje pytanie - odparł brat Jeremy'ego. - Ktoś uznał, że Jeremy powinien wziąć na siebie tę odpowiedzialność, prawda? Ktoś chciał ratować twój honor? Fiona zakasłała i zasłoniła ręką usta. Jej oczy błyszczały tak, jak rozchodnik błyszczący od rosy po zimnej nocy. - Krew Jordanów nakazuje im brać to, czego chcą
- odezwał się Jeremy. - Nie pogarszaj sprawy - poprosiła Roza.
- On mnie prowokuje - mruknął cicho Jeremy, tak aby słyszała go tylko Roza i osoby siedzące najbliżej.
- On mnie, do diabła, cholernie prowokuje, Roz!
- Jeremy i ja jesteśmy dorośli - powiedziała Roza.
- Nie zamierzamy razem żyć.
- Nie życzę sobie Jeremy'ego pod swoim dachem
- oświadczył Jared. Nie pomogły błagalne spojrzenia i słowa Colleen. - Skoro jest dostatecznie dorosły, żeby wziąć sobie żonę, niechże będzie na tyle dorosły, by zapewnić jej dom! Nie będziesz już mieszkał w moim domu, bracie!
- Jeremy wzruszył ramionami.
- Nigdy nie zamierzałem cię wykorzystywać. Natychmiast zabieram swoje rzeczy. Mogę spać w stajni. - U mnie jest dość miejsca - rzucił krótko Adam.
- Ty, Rosie i dzieci możecie mieszkać pod moim dachem tak długo, jak tylko zechcecie. Jared Jordan nie chciał dłużej tego słuchać. Odwrócił się na pięcie i odszedł bez słowa.

-On z czasem zmięknie - powiedziała Colleen, zbierając spódnice. - My nie myślimy tak jak on. Ani ja, ani Jennifer. Jared po prostu przywykł do decydowania o was wszystkich. Bardzo się o ciebie martwił, Jeremy...

-Nie musisz tłumaczyć mojego brata, Colleen. Wiem, co w nim siedzi. To musiało wyjść prędzej czy później. Gdyby nie ta sprawa z Rosie, z pewnością wypłynęłoby coś innego.

- Porozmawiam z nim - obiecała Colleen i poszła za mężem.

- Co teraz zamierzacie? - spytał Adam, który już się domyślał odpowiedzi. Zastanawiał się, czy nie byłby równie nieprzejednany jak Jared, gdyby poprzedniej nocy nie podsłuchał ich rozmowy.

-Teraz wprowadzę się na stryszek nad stajnią -upierał się Jeremy. - A potem doprowadzę do rozwodu z Rosie, ale w taki sposób, żeby nikt jej o nic nie obwiniął.

Adam pokiwał głową.

-Zakładam, że już to między sobą omówiliście i doszliście do porozumienia. I nic nie stoi temu na przeszkodzie?

-Nie oczekuję dziecka - odparła krótko Roza. -Bo przecież o to właśnie pytasz, prawda? Odpowiedział jej spojrzeniem.

- Nie spodziewam się dziecka - powtórzyła. Adam pilnował się, żeby głośno nie westchnąć.

W przeciwieństwie do innych, słyszał, o czym wtedy mówili. Nie był tak naiwny, by myśleć, że do tej pory żyli obok siebie. Rosie mogła sobie nazywać Jeremy'ego najlepszym przyjacielem, lecz on byłby gotów się założyć, że Jordan jest dla niej kimś więcej. I nie chodziło mu bynajmniej o ich małżeństwo. Po

prostu widział, jak Jeremy ją obejmuje. Zauważył naturalność dotyku i chociaż taka bliskość mogła istnieć również między przyjaciółmi, to wiedział, że na tym ich przyjaźń się nie kończy. Skoro jednak nie zdecydowali się na wspólne życie, nie zamierzał ich przymuszać. Łatwiej mu będzie traktować Rosie jako kobietę samotną. W jego myślach wciąż należała do Seamusa. Żaden inny mężczyzna nie był dla niej dostatecznie dobry. Zadrzał, gdy uświadomił sobie, że patrzy na nią niemal oczami brata. Mało brakowało, a byłby zazdrosny o Jeremy'ego! To absurd. Rosie nie należała do O'Connorów. Owszem, była tą kobietą, którą pokochał Seamus, ale nie stała się z tego powodu ich własnością na zawsze. A Seamus nie żył już od dawna.

Zmarli nie potrafią nikogo kochać.

Żywi zaś nie powinni żyć dla zmarłych.

-Dla mnie to wszystko jest jak bajka! - wykrzyknęła Siobhan. - Uważam, że powinniśmy wybrać się do kamiennego kręgu i uczcić to, że znów jesteśmy razem. Dużą, szczęśliwą rodziną!

Zerknęła na Danny'ego i uśmiechnęła się znacząco, co zdziwiło Adama i Fionę. Chłopak zaczerwienił się pod wpływem jej pełnego wyrzutów spojrzenia, zacisnął dłonie w pięści i utkwiał wzrok w swoich butach.

- Życie to nie tylko zabawa - powiedział Adam, żeby przyjść Danny'emu w sukurs. O co właściwie tu chodzi? Upomniał się w duchu, że powinien się tego dowiedzieć. Może Jennifer coś wie? Dziewczęta czasami się sobie zwierzały. Siobhan wprawdzie nie należała do tych, które chętnie się dzielą tajemnicami, ale Jennifer widziała i słyszała więcej niż inni. Nawet jeśli nie wiedziała czegoś na pewno, to chyba się do-

myślała, a to zdaniem Adama mogło się okazać równie użyteczne. Nieraz zresztą najwięcej mógł wiedzieć ten, kto o nic nie pytał. Spróbuje wyciągnąć coś od Jennifer, kiedy uda mu się z nią porozmawiać w cztery oczy. Jeżeli w ogóle, poprawił się w myślach. Siostra Jareda i Jeremyego rzadko bowiem zostawała z kimś sam na sam, chyba że z dziećmi. Starła się raczej trzymać na uboczu i w ogóle najchętniej stroniła od ludzi. Unikała wszelkiej bliskości i nikomu nie patrzyła w oczy. Poza rodziną ufała bardzo niewielu osobom. Lata nieobecności Jeremy'ego ogromnie jej się dłużyły, bo kochała brata, który ją rozśmieszał. To on był jej najbliższy. Od ludzi Jennifer wołała zwierzęta; końmi interesowała się nie mniej niż Adam.

-Jeśli masz tyle wolnego czasu, to pomóż Jeremy'emu przenieść jego rzeczy - zaproponował Adam siostrzenicy.

Siobhan się naburmuszyła. Nie spodziewała się takiego obrotu sprawy. Wzruszyła ramionami, jakby było jej to najzupełniej obojętne.

- Nie potrzebuję pomocy - powiedział Jeremy.

- Tommy i ja też możemy się do czegoś przydać -rzucił cierpko Danny, którego wciąż najbardziej interesowały własne buty.

- Wobec tego mnie Jeremy nie potrzebuje - stwierdziła Siobhan. - Zabiorę małego Jordyego w cień pod drzewa.

Odeszła, zanim ktokolwiek zdążył choćby westchnąć.

- Coś mnie ominęło? - spytał Jeremy, idąc w stronę domu brata pomiędzy rudowłosymi chłopcami Connelly. Ale tylko Tommy, młodszy, znalazł w jego słowach powód do śmiechu.

- Siobhan oznakowała Danny'ego swoim piętnem - poinformował Jeremy'ego.
- Nie jestem krową! - rzucił Danny krótko.
- Siobhan przywykła do tego, że dostaje to, czego chce - stwierdził w zamyśleniu Jeremy. - Nie popuści, nawet jeśli trudno cię ujeździć.
- Koniem też nie jestem.
- Nie chcesz jej?
- Przecież ona ma piętnaście lat - westchnął Danny. - Jestem od niej o osiem lat starszy. A nawet gdyby było inaczej, i tak nic by z tego nie wyszło. Ona dobrze o tym wie. Zresztą, już przestała mi się narzucać... - Raczej rzucać się na ciebie - poprawił go Tommy. - Rzeczywiście, przestała. Teraz udaje, że cię nie widzi, ale robi wszystko, żebyśmy to zauważyli. Nie wiem już, co gorsze. Wcześniej było źle, a teraz jest jeszcze gorzej. Mam nadzieję, że we mnie nikt się nie zakocha.
- Pojadę z tobą do Coromandel - oświadczył Danny.
- Żeby czmychnąć przed córką Fiony? - spytał Jeremy. Nie mieściło mu się w głowie, że mała Siobhan mogła być niebezpieczna dla dorosłego mężczyzny. Nie przypominał sobie, by kiedykolwiek sam bał się dziewczyny. Po prostu lubił kobiety, a trudno bać się czegoś, na co ma się apetyt.
- Tak - odparł Danny. - Ale już wcześniej o tym myślałem. To przecież jakaś szansa, prawda? I nadarza się właśnie teraz. Ile takich szans można mieć?
Jeremy rozpoznawał tego typu myślenie. Przypominało mu własne rozumowanie. Zastanawiał się, czy Danny też nosi w sobie tę samą drżącą tęsknotę, czy ma we krwi tę samą żądzę przygód, czy na myśl o złocie zaczynają go świerzbić palce. To uczucie trudno

opisać. Być może najpierw trzeba dotknąć złota, by o nim wiedzieć, by w ogóle je rozpoznać.

-Jeśli naprawdę chcesz, możesz ze mną pojechać - odezwał się w końcu.

- Chcę.

-Joe myślał, że czekasz na niego - powiedział Adam. Rozmawiał z Rozą na osobności. Spacerowali drogą wzdłuż płotu, ciągnącego się aż do winnicy. Roza już poprzedniej nocy dowiedziała się o nieoczekiwanej wizycie Joego.

- Może i tak - odparła zamyślona. - Nie sądziłam, że jeszcze go zobaczę. Ale czekałam. Przez jakiś czas. Niemal tak długi, jak się umówiliśmy.

Poprawiła duży kapelusz, który w palącym słońcu był absolutnie konieczny. Adam po drodze kopał wszystkie kamienie, a przynajmniej te dostatecznie duże, by dało się je trącić nogą. Ręce trzymał w kieszeniach. Nie wiedział, co z nimi zrobić.

- Czasami bałam się, że nie dożyję następnego dnia - mówiła Roza powoli. - Cała ta zwariowana, morska podróż z kapitanem, który z dnia na dzień popadał w coraz większe szaleństwo... Ciągła ucieczka przed czymś. Prawie bez snu, bo zawsze bałam się o dzieci. O to, co z nimi będzie, gdyby mnie zabrakło...

- O nic cię nie obwiniam, Rosie - powiedział Adam cicho. Przyglądał jej się z boku. Jej twarz skrywało rondo kapelusza, chyba że patrzyła wprost na niego albo nie zadzierała zdecydowanie podbródka, jakby chciała rzucić mu wyzwanie. - Joe mówił poważnie - dodał.

- A więc lepiej dla niego, że mnie tu nie zastał

odparła, ucinając tym samym wszystkie pytania Adama o jej uczucia do brata.

Upomniał się w duchu, że to nie jego sprawa. Rosie nie wiedziała, jak bardzo czuł się za nią odpowiedzialny.

- Przecież wiesz, że zawsze masz rodzinę - zapewnił i dopiero wtedy uświadomił sobie, że mógł jej to przekazać o wiele zgrabniej, ale świadomość roli, jaką odegrał w jej życiu, nie pozwalała mu na bardziej eleganckie wypowiedzi. Wiedział, że słowa nie są jego mocną stroną. To Seamus miał władzę nad słowami. Potrafił nimi olśnić, jednocześnie zawiązując języki wszystkim pozostałym braciom. Nawet teraz wciąż się z nim porównywali. Cień, który rzucał za życia, trwał dalej.

- Ściśle rzecz biorąc, nie jestem już waszą rodziną - zauważyła Roza.

- Mikey jest dla mnie jak syn. Oczywiście, że jesteście rodziną!

- Nie chcę ci odebrać Mikey'a - powiedziała. - Jesteś jego matką.

- A ty byłeś dla niego ojcem, i ja tego nie zmienię. Oddałam go, a ty i Deidre przyjęliście go do siebie. Zostaliście jego rodzicami. Wiedziałam, co robię, Adamie. Niech ci się nie wydaje, że było inaczej.

- Żałowałaś?

- Żałowałam - przyznała, ale tylko tyle.

- U mnie zawsze będziesz miała dom - zapewnił Adam i tym razem wyszło mu to lepiej. - Właśnie to próbowałem ci powiedzieć, choć niezbyt ładnie się wyraziłem. Nie musisz myśleć o niczym innym, chyba że chcesz. Mój dom jest twoim domem.

Zaproponowałyby jej to również bez listu Joego. Otworzyłyby przed nią drzwi, nawet gdyby nie był jej tego winien.

- Zawsze chciałam mieć coś własnego - wyznała.

- Przecież miejsca jest dość. - Rozłożył obie ręce, jakby chciał objąć rozległy krajobraz. - Ale masz czas, nie musisz myśleć o tym od razu - powiedział, po czym odetchnął głęboko i dodał: - A może ułoży ci się z Jeremym...

Roza podeszła do płotu, oparła się o niego, odszukała spojrzeniem kilka koni i ze smutkiem stwierdziła, że nie ma już oka znawcy. Nie było przy niej Se-amusa, który mógłby jej odpowiedzieć na wszystkie pytania, nawet na te, których nie miała zamiaru zadać. Adam podeszedł do niej. Nie narzucał się, nie przekraczał wyznaczonych przez nią granic. Po prostu wyczuwał je i nawet nie próbował się do niej zbliżyć.

- Gdybym miała w tej sprawie coś do powiedzenia, Adamie O'Connor, nie poślubiłabym Jere-my'ego. To było oszustwo, które teraz się na nas odbija. Mogliśmy je przemilczeć. Uznaliśmy jednak, że lepiej powiedzieć wam prawdę. Nie chcieliśmy żyć w kłamstwie. Ale nie uważamy się za małżeństwo. Jeremy tak samo nie jest moim mężem, jak ty...

Adam zsunął kapelusz do tyłu i spojrzał na nią. Zastanawiał się, czy Rosie potrafi kłamać i jaką ma minę, kiedy kłamie. Jeżeli kłamie. Cały czas mówiła „my” o sobie i o Jeremym, a przecież Adam wiedział, że to ona poruszyła kwestię prawdy. Tylko ona. Podobała mu się jej lojalność. Może marnowała ją dla Jeremy'ego, ale jemu i tak się to podobało. On również lubił Jeremy'ego.

- Dziwne, że tak to ujęłaś - powiedział takim tonem, jakby próbował pokusić się o żart. - Ale Mikey stale śnił o tym, że ty i Lily przyjedziecie. I że my dwoje się pobierzemy.

Roześmiali się oboje, ale w ich śmiechu zabrzmiał

też jakiś bolesny ton. Żadne z nich przecież nie posunęłyby się do tego, by zniszczyć życie drugiemu tylko po to, by spełnił się sen dziecka. Wiedzieli jednak, że sprawią wielki zawód Michaelowi.

- Lily przez cały czas myślała tylko o odnalezieniu Mikey'a.

- Jest taka podobna do Seamusa - zauważył Adam, chociaż gdyby się zastanowił, to pewnie by to przemilczał.

Roze serce się ścisnęło. Adam nie był ani pierwszy, ani zapewne ostatni, który to zauważył. Początkowo tylko się cieszyła z odnajdywania Seamusa w córce, ale teraz zaczęła jej przypominać o jego cechach, których nie pamiętała. Dostrzegano je u Lily, a Roza wiedziała przecież, że Seamus nosił w sobie również wielki mrok. Niektórych jego cech nie lubiła i nie chciała, by właśnie one odżyły w córce.

- Czy Mikey nie jest podobny do Seamusa? - Już pytając, usłyszała powątpiewanie w swoim głosie.

- Sama musisz to stwierdzić - odparł w końcu Adam. - Z czasem lepiej go poznasz. To dobry chłopiec. Nie takiej odpowiedzi się spodziewała.

- Pamiętam to, co w Seamusie było dobrego.

Po jego twarzy przemknął szybki uśmiech, ale zaraz Adam znów spoważniał. Policzki wciąż miał szczupłe, mimo że z wiekiem nieco przytył, a szczęki napięte. Pełne usta zwężyły się, kiedy zaciskał wargi. Na jego twarzy kładł się cień zarostu, a spojrzenie wydawało się niezgłębione. Był najprzystojniejszym z CConnorów i tym, którego najtrudniej było zrozumieć. Bardziej zamkniętym w sobie nawet niż Seamus.

- Seamus miał wiele dobrych cech - odezwał się

wreszcie. - Ale innych też mu nie brakowało. Nawet ty to dostrzegłaś. My wiedzieliśmy o tym od zawsze, ale akceptowaliśmy go takim, jaki był, i mimo wszystko kochaliśmy. Chociaż zdarzało nam się odczuwać nienawiść.

- Chyba nie mówisz takich rzeczy Michaelowi? Pokręcił głową.

-Mikey uważa, że jego ojciec był bohaterem. Fiona mi zarzuca, że robię z Seamusa irlandzkiego księcia.

- Pochodzisz z rodziny kłamców - zauważyła z uśmiechem Roza. - Dlaczego i ty miałbyś nie kłamać?

Twarz Adama jeszcze bardziej się zamknęła.

-Rzeczywiście, dlaczego ja miałbym być inny?

Ruszył przed siebie wzdłuż plotu wielkimi krokami. Miał na sobie niebieskie spodnie i niebieską koszulę. Roza pośpieszyła za nim. Ledwie zdołała go dogonić. Najwyraźniej chciał jak najbardziej się od niej oddalić. Musiała złapać go za ramię, żeby się zatrzymał.

- Nie wiem, co złego powiedziałam, Adamie. Ale bardzo mi przykro.

Pozwolił, by do niego podeszła, by przed nim stanęła i pytająco popatrzyła mu w oczy. Zauważył, że nie spodziewała się, iż dostrzeże mrok również w nim.

- Nic złego nie zrobiłaś, Rosie - powiedział z ciężkim westchnieniem. - Tu chodzi o mnie i o moją rodzinę. My jesteśmy... tacy, jacy jesteśmy. Jesteśmy tym, co o sobie mówimy. I tym, co myślą o nas inni. Jesteśmy kłamcami.

- Wcale nie to miałam na myśli!

Adam wzruszył ramionami. Pomyślał o liście od Joego. Wiedział, że brat chciał, by wyznał Rosie

prawdę. Nie napisał tego wprost, ale właśnie o to mu chodziło.

-A jednak masz rację - przyznał Adam ze smutkiem. - Wszyscy jesteśmy kłamcami. A ja jestem największym z nich.

- O czym ty mówisz? Przekrzywił głowę.

- Któregoś dnia być może to zrozumiesz.

- Sam mi o tym nie powiesz? -Nie.

I ona, i Joe żałośnie się pomylili. Można żyć z kłamstwem. Można kłaść się z nim do łóżka co noc, a mimo wszystko pozostać człowiekiem.

- Czy to coś między nami zmienia? - spytała czujnie.

-Nie.

- Wobec tego możesz mi pokazać swoje winnice -oznajmiła i ujęła go pod ramię. - Nie jestem twoją żoną, Adamie, dlatego nie mam prawa domagać się twoich tajemnic.

- A znasz wszystkie tajemnice Jeremy'ego? - spytał w połowie drogi.

-Nasze małżeństwo nie na tym polega - powtórzyła. - Ale niewiele jest rzeczy, których o sobie nie wiemy.

Adam poczuł, że zazdrości Jeremy'emu. Nie tego, że był mężem Rosie, tylko tego, że obdarzyła go zaufaniem. Jego nie było stać na takich przyjaciół.

-Ja nie jestem Jeremyem, ale wciąż uważam, że jesteśmy rodziną.

Roza się roześmiała. Przyjemnie było słyszeć jej orzeźwiający śmiech. Adam zorientował się, że wpuścił ją poza własne mury obronne, których nie przekraczał nikt od czasów Deidre. Trochę go to przera-

ziło. Musi być ostrożny. Ona nie może stać się dla niego nikim więcej, niż jest. A on nie może z siebie zrobić Seamusa.

- Nie kłóć się z upartymi Irlandczykami - ostrzegł półzartem. Ale i to mu nie wyszło. Nikt nie potrafił tak dowcipkować jak Jeremy.

Roza jednak najwyraźniej ich nie porównywała. Stanęła na palcach i pocałowała go w policzek.

- Na to jestem za mądra - oświadczyła. - Kiedyś byłeś moim szwagrem, prawie bratem. Ja już nie mam braci. A zawsze wśród nich żyłam. Brak mi tego. Możesz być dla mnie kimś takim.

- Bratem?

Kiwnęła głową. Oboje spróbowali, jak smakuje to słowo. Okazało się, że wcale nie najgorzej.

- Brat - powtórzył Adam. - Nie wszyscy mają tyle szczęścia, żeby zyskać dorosłą już siostrę.

Oboje się roześmiali.

Adam miał wrażenie, że do ich śmiechu wmieszał się jakiś trzeci głos. Wydało mu się, że go rozpoznaje, ale nie mógł się z tym pogodzić. Uznał, że coś mu się przywidziało.

Przecież zmarli się nie śmieją.

Rozdział 5

Nie mogę dotrzymać kroku samej sobie. Trzy dni, a nic nie jest w pełni takie, jak się spodziewałam. Staralam się niczego sobie wcześniej nie wyobrazić, ale jednak jakieś wyobrażenia musiały istnieć w moim umyśle, bo jestem rozczarowana.

Z całą pewnością nie powinnam sobie pozwolić na takie uczucia. Mam wszelkie powody, żeby być szczęśliwa. Przyjechałam na kraniec świata i odnalazłam swoje dziecko. Mam wszystko, czego może pragnąć człowiek. A mimo to jestem niewdzięczna i trudno mnie zadowolić. Zawsze chciałabym tego, co jest po drugiej stronie płotu, choć teraz nie mam nawet pewności, czy mogę spojrzeć ponad ten płot. Inaczej niż z ogrodzeniem tu, na farmie. Potrafię godzinami za nim stać i tylko patrzeć na konie. Czasami wydaje mi się, że słyszę śmiech Seamusa. Odwracam się, bo mam wrażenie, że zobaczę go za plecami.

Ale nigdy nikogo nie ma.

Niekiedy wmawiam sobie, że on mnie dotyka. Że unosi mi włosy, by dotknąć wargami mojego karku. Czuję jego szorstkie palce. Czuję pocałunek, dotyk warg.

To on.

Seamus.

Ale zawsze jestem sama.

O wiele gorzej byłoby, gdybym go zobaczyła. Pomyślałabym wtedy, że coś ze mną jest nie tak. Wyobrażam sobie Seamusa, bo czuję się samotna. To niemądre. Nikt tutaj nie jest samotny. Już dawno nie otaczało mnie tylu ludzi. To przyjemne i przerażające zarazem. Chciałabym być jedną z nich, ale wiem, że nie jestem. Może sama sobie na to nie pozwalam.

Cieszę się, że moje dzieci tak się polubiły. Cieszę się też, że Matt nie jest sam, kiedy Lily i Michael zajmują się czymś, co tylko oni rozumieją. Na szczęście są jeszcze inne dzieci, które lubią Matta. Aidan Adama dobrze się z nim dogaduje; są do siebie dość podobni z usposobienia. Spotkanie moich dzieci przebiegło lepiej, niż myślałam. Dla nich.

A ja jestem zazdrosna i wydaje mi się, że nie odzyskałam syna. Raczej straciłam córkę. Jestem zazdrosna, bo moje dzieci łączy bliskość, w której nie dane jest mi uczestniczyć. Nosilałam je pod sercem, urodziłam w bólu, a teraz wydaje się, że one mnie nie potrzebują, bo mają siebie.

Wokół mnie panuje taki ruch. Mężczyźni podwiązują winorośl i przycinają pędy. Nie wiem, po co to robią. Fiona, Siobhan i Jennifer cały dzień szorowały dębowe beczki. Chciałam im pomóc, ale mi nie pozwoliły. Fiona mówi, że jeszcze przez jakiś czas mam odpoczywać i być tylko ku ozdobie. Nie przywykłam do tego. Nie lubię takiego stanu. Gdy odsuwają mnie od swoich zajęć, staję się dla nich obca.

Nie po to tu przyjechałam.

- Gdybyś był mężczyzną, zbudowałbyś dom - powiedział Adam do Jeremy'ego. Pracowali razem ramię w ramię. Ręce same wiedziały, co mają robić.

Duże ostrze noża odcinało zbędne liście, żeby nie zasłaniały gron. Pozostałe liście trzeba było podwiązać, żeby przepuszczały jeszcze więcej słońca i nie utrzymywały wilgoci, bo mogła pojawić się pleśń. Obaj -i Adam, i Jeremy - mogliby wykonywać tę pracę na ślepo. Jeremy przywiózł do domu nowe pomysły na podwiązywanie gałęzi. Wypróbowywali je teraz na niewielkim skrawku winnicy, chociaż było już zbyt późno, by mogło to mieć znaczenie dla zbiorów. Trzeba będzie powtórzyć te próby w przyszłym roku.

- Dla niej? - spytał Jeremy. - Dla Roz?

- Dla niej - potwierdził Adam. Nie bardzo mu się podobał ten skrót jej imienia, którego używał Jeremy. Brzmiał zbyt familiarnie. Przecież ona była Rosie. Seamus nigdy jej inaczej nie nazywał.

- Czy do ciebie nie dotarło ani jedno słowo z tego, co mówiliśmy? - spytał Jeremy z rezygnacją. Dotrzymywał Adamowi tempa, nie zostawał w tyle. -Ona nie chce żadnego domu. Nie ja o niej decyduję. Roz mnie nie chce.

-A ty ją chcesz?

Jeremy wziął głębszy wdech i dlatego cisza trwała dłużej. Adamowi się to nie podobało. Nie chciał wierzyć w sprzeczne uczucia Jeremy'ego. Rosie należała do O'Connorów. Niedobrze, by dotykały jej ręce Jordanów. Nie chciał jej widzieć z Jeremym.

- Chcę jechać do Coromandel - oświadczył Jeremy.

- Ona ma pieniądze - powiedział Adam, bo musiał się upewnić co do zamiarów Jeremy'ego. Czuł się za nią odpowiedzialny. Joe mu to przykazał. A Seamus gotów byłby wyciągnąć broń, by go zmusić do opieki nad Rosie. Poszukiwacze przygód nie byli dla niej żadnym oparciem. Nie takiej opieki potrzebowała.

A Jeremy'emu już wcześniej zdarzało się wybierać najprostsze rozwiązania. I nie miało tu nic do rzeczy to, czy Adam go lubił, czy nie.

- Wiem, że ma pieniądze - odparł zirytowany Jeremy, ocierając pot nagim przedramieniem. Już dawno poszedł w ślady Adama i zrzucił koszulę. Natomiast rudowłosi bracia Connelly zostali i w koszulach, i w kapeluszach. Pocili się tak samo jak wszyscy inni, ale gdyby się rozebrali, słońce spaliłoby im skórę, która zaczęłaby schodzić płatami.

-W przeciwieństwie do ciebie, Adamie, wiem co do szylinga, ile pieniędzy ma Rosie. Tobie z pewnością się z tego nie zwierzyła. Bardzo w to wątpię. Chociaż chodzisz z nią pod rękę na długie spacer.

- A więc to zauważyłeś? - Adam stanął i spojrzał na Jeremy'ego z boku. Zauważył zmarszczkę rysującą się między jego oczami. Dobrze wiedział, co to znaczy. Ale nie zaszkodzi trochę go podrażnić, zasłużył na to.

- Raczej nie starałeś się ukrywać - odparł Jeremy. - Przecież był jasny dzień. A wyszłście tak, że wszyscy mogli was zobaczyć!

- Bo i nie mieliśmy nic do ukrycia - odparł Adam spokojnie. - Rosie to moja stara przyjaciółka. - No, właśnie. - Była moją bratową.

- Wiem o tym. Była żoną Seamusa. Była twoją bratową.

-Jeszcze zanim tobie mleko pod nosem wyszło -dodał Adam, wypinając pierś. Był mocno zbudowany; nie oszczędzał się przez te lata od przyjazdu do Waimauku. Pracował tyle, ile było konieczne, i dzięki wysiłkowi fizycznemu miał tak umięśnione ciało.

-Jesteśmy rówieśnikami - zauważył cierpko Jere-

my i zaraz się roześmiał, żeby zaznaczyć, że nie interesuje go konkurencja. Był szczupły, delikatnej budowy, i choć nie tak wysoki jak Adam, miał długie kończyny i ani grama tłuszczu. Nie potrzebował zresztą takich mięśni jak Adam, bo miał inne zalety, lecz nie sądził, by Adam CConnor zdawał sobie z tego sprawę. O'Connorowie zawsze stawiali na groźną zdolność przekonywania. Jednym spojrzeniem. Wszyscy byli przystojni, na wszystkich warto było zawiesić oko. Natomiast rodzina Jordanów miała nazwisko i pozycję. W Georgii nie trzeba było nic więcej. Dopiero tutaj Jeremy stwierdził, że natura lepiej go wyposażyła. Daleko już zajechał na swoim wdziałku.

- Uważam, że powinieneś ją utrzymywać - rzucił ze złością Adam.

- Bo inaczej stanie się dla ciebie kulą u nogi? - spytał ostro Jeremy i zaraz się zorientował, że trafił w czuły punkt. Właściwie go to zaskoczyło, bo nie podejrzewał Adama o skąpstwo. Ale uprawa winorośli dosłownie pochłaniała pieniądze i wiadomo było, że dalej tak będzie w tym klimacie. - Zapewniam cię, że się mylisz, mój drogi. - Jeremy zaśmiał się drwiąco. - Roz potrafi sama o siebie zadbać. Nie znam nikogo, kto umiałby lepiej sobie radzić, czy to mężczyzna, czy kobieta.

Adam w jego słowach usłyszał tylko drwinę, wyrzut; zrozumiał, że Jeremy nie chce się zająć Rosie. Nie mógł tego znieść. Wściekłość narosła w nim jak u zbyt długo drażnionego byka. Skoczył do przodu. Nagle zobaczył, że nóż, którym ścinał zbędne pędy, upada na ziemię. Nie był pewien, jak do tego doszło. Chyba dostał cios w nadgarstek. Czyżby to Jeremy wytrącił mu nóż z ręki? Wszystko jedno. Adam nie był pewien, czy potrafiłby go użyć. To chyba raczej

niemożliwe. Był wściekły. Z nieba lał się bezlitosny żar. Słońce paliło nagą skórę. Pocił się i nie bardzo już wiedział, co myśli. Myśli się splątały, nie potrafił ich od siebie oddzielić. W zasadzie bronił honoru. Honoru.

Swojego własnego, jej, może rodziny, nie był pewien. Jeremy nabrał za morzem jakiejś diabelnej siły. Szczupłe ciało było wytrzymałe jak mokra lina. Adam nie był w stanie z nim wygrać, mimo że próbował różnych sposobów i wkładał w nie całą swoją siłę.

Przybiegli Tommy i Danny, po drodze łamiąc winorośl, a oni dalej się siłowali na suchej, brunatno-czerwonej ziemi. W końcu zjawił się Jared i odciągnął brata jak worek ziemniaków. Zaczął wrzeszczeć na Jeremy'ego; słyszeć go było chyba nad samym morzem. Jego gniew był czarniejszy niż ciężkie, burzowe chmury. Adam, choć wciąż obolały i zły, pożałował Jeremy'ego. Chciał powiedzieć, że to nie jego wina. Podniósł nawet rękę, żeby przywołać Jareda do siebie, i właśnie wtedy zorientował się, że tylko mu się tak wydawało: myślał, że podnosi rękę i macha na Jareda, ale nic takiego nie nastąpiło. Popatrzył na swoje ciało, rozciągnięte między zielonymi rzędami winorośli we własnej winnicy, i stwierdził, że nie jest w stanie ruszyć nawet palcem. Leżał jak zwierzę przeznaczone na rzeź i nie mógł ruszyć rękami! Widział je, ale nie mógł ich unieść!

Adam O'Connor zrobił jedyną rzecz, jaką mógł zrobić - zaczął krzyczeć:

- Rosie!

Roza siedziała w cieniu na ławce pod wielkimi drzewami, okrytymi czerwonym i żółtym kwieciem. Usłyszała wołanie i od razu rozpoznała jego głos.

Usłyszeli go zresztą wszyscy i wszyscy zamarli w pół ruchu. Roza zerwała się i prześlizgnęła przez dziurę w płocie. Wysoko unosząc spódnicę, biegła wzdłuż prostych ścieżek w kierunku nawoływania. Ze wszystkich stron otaczała ją zieleń. Musiała się przedzierać przez gęste zarośla, przez gałęzie, sznurki, liście i prawie już dojrzałe winogrona.

Nie znalazłaby go, gdyby wśród tej zieleni nie dostrzegła Jeremy'ego. Ale przedzierając się przez bujną zieleń, nie myślała o Jeremym. Myślała o Adamie.

Osunęła się przy nim na kolana. Leżał na zakurzonej ziemi brudny, zlany potem, lecz ona przede wszystkim zauważyła strach bijący z jego oczu.

- Nie mogę się ruszyć, Rosie - szepnął. - Nie mogę unieść ręki.

Danny, który klęczał u jego stóp, syknął:

- Mam ochotę powiedzieć, że dobrze ci tak, ale chyba bym przesadził.

- To nie jest niczyja wina - wykrztusił z siebie Adam.

- Jak to się stało? - spytała. Dobrze widziała nóż, który Tommy usiłował schować za plecami. Zauważyła go zresztą już wcześniej, zanim go podniósł. Jeśli wydawało im się, że zdołają coś przed nią ukryć, to się grubo mylili.

- Dyskutowałem o czymś z Jeremym - szepnął Adam. - Zabierzcie mnie stąd.

- Przynieście drzwi i połóżcie go na nich. - Roza nie miała ochoty patrzeć, jak będą go szarpać za nogi i wlec pod rękę.

- Porozmawiam z Jeremym - rzuciła krótko i zdjęła z włosów opaskę, a raczej to, co Adam brał za opaskę. W rzeczywistości była to cienka chusteczka, którą otarła mu pot z twarzy.

-To moja wina - przyznał. - Nie jego. To ja zacząłem...

-I tak mam zamiar z nim pomówić - odparła Roza, obiema rękami ściskając dłoń Adama. Uśmiechała się, chociaż nie bardzo wiedziała, co o tym myśleć. Nie chciała, by się okazało, że to z jej powodu, ale innego wytłumaczenia nie potrafiła znaleźć.

- On jest moim mężem. Pamiętasz, Adamie?

- Trudno o tym zapomnieć - szepnął. Wciąż splotywał potem, choć ona starała się, jak mogła, osuszyć mu twarz. Słońce dosłownie próbowało ich spalić.

-Byłem głupi - dodał. Chciał zgiąć palce, żeby ucisnąć jej rękę, ale nie mógł. - Uważam, że jesteś nasza - wyjaśnił.

Oślepiało go ostre światło. Rosie znajdowała się gdzieś pomiędzy nim a niebem, a ponieważ częściowo przesłaniała słońce, sama stawała się jakby częścią nieba. Stopiła się w jedno ze słońcem, niebem i chmurami, jakby otoczył ją nadziemski blask.

Czy nie tak właśnie było? Czy nie wyłoniła się wprost z tego snu, który od dzieciństwa nawiedzał Seamusa? W każdym razie Seamus opisywał ją dokładnie, a ona nagle zjawiała się w Irlandii. Właśnie w taki sposób jak w jego śnie. Przypląnęła do niego. Łodzią. Z tą twarzą, którą opisywał. A wokół niej kwitły lilie...

Adam zamknął oczy.

- Byłem głupi - powtórzył szeptem. Nie mógł jej się przyznać, o czym myślał. Uznałaby, że oszalał. Sam był o tym prawie przekonany. Wcześniej nigdy tak nie uważał.

Ale też i nigdy dotąd nie leżał kompletnie powalony i bezwładny.

Jak przykuty do ziemi. Boże, przykuty do ziemi!

Zdołał przełknąć ślinę. Poczuł, że grdyka pracuje. A więc nie stracił całego czucia. Ta świadomość przyniosła mu ulgę.

Odebrał dobre, katolickie wychowanie. Zapamiętał niektóre cuda. Wiedział, na jakie próby są wystawiani ci, którzy wątpią.

-Już niesiemy drzwi! - Tommy i Danny nie wracali sami. Pomagał im Jared. We trzech taszczyli drzwi, które zdjęli z zawiasów w domu Adama, bo był najbliżej.

- Fiona już szykuje jego sypialnię - dodał Danny, ruchem głowy wskazując na zabudowania. - Chciała tu przyjść, ale powiedzieliśmy, że sami damy radę.

Położyli Adama na drzwi.

- Czujesz coś? - spytał Jared.

- Nie - odparł Adam po namyśle, ale nie była to do końca prawda. Po prostu nie wiedział, jak opisać swój stan. Nie był to ból ani nieprzyjemna udręka, nie był to też całkowity brak czucia. Czuł ciężar własnego ciała. Wiedział, że je ma, i widział je. Nie mógł się jednak poruszyć. Miał wrażenie, że od karku w dół jest z kamienia.

- Mów, jak coś cię zabolę - poprosiła Roza i w rozpaczy skierowała myśli do Natalii: Tym razem cię potrzebuję!

- Nie czuję bólu - powtórzył Adam.

Tommy i Danny szli z przodu; torowali drogę wśród rzędów winorośli. Roza z Jaredem trzymali się z tyłu. Niezależnie od swojej woli, czuła się przy nim dość zakłopotana. Był taki inny niż Jeremy. Miała świadomość, że to członek rodziny Jordanów, i wręcz czuła zapachy z ogrodu otaczającego Blossom Hill docierające aż tutaj. Wiedziała, że to tylko jej wyobraźnia, ale nie było to przyjemne. Miała też wraże-

nie, że on czyta w jej myślach. A Jared wiedział, że ona przy nim czuje się nieswojo.

- Nie mam nic przeciwko tobie, Rosie - powiedział; nie zamierzał utrzymywać tego samego tempa co bracia Connelly z przodu. - Na drodze już czeka wóz - zapewnił ją szybko. - Zawiozę go prosto do domu. Posłałem też Jeremy'ego po lekarza.

- Do Auckland? - Roza pobladła.

- Wziął własnego konia - odparł Jared. - Jednego z najlepszych na Wyspie Północnej. A Jeremy jest jednym z najlepszych jeźdźców.

Milczała.

- Nie mam nic przeciwko tobie - powtórzył Jared. Surowa twarz miękła, kiedy się uśmiechał, ale nie

zdarzało się to zbyt często. Trudno było pamiętać o tym, że on i Jeremy to bracia. Więcej było między nimi różnic niż podobieństw.

-Gdyby miał poważne zamiary, wsparłbym go bez względu na wszystko. Jesteś kobietą, która mogłaby właściwie pokierować jego życiem. Ale nawet z tym małżeństwem narobił bałaganu. Ożenił się, nie wiedząc, że to zrobił! Nawet się nad tym nie zastanowił. A to tylko kolejny w długim szeregu przypadków w życiu Jeremy'ego. - Westchnął. - Tym razem jednak odbije to się nie tylko na nim. Ta sytuacja ma znaczenie również dla ciebie. I dla twoich dzieci. Widzę, jak się przy nim zachowują.

Roza się uśmiechnęła, Jared też.

- Wszystkie dzieci lubią Jeremy'ego - powiedział. - I nic w tym dziwnego, bo on sam jest wielkim dzieciakiem. Twoje szczerze go pokochały. Stał się dla nich jakby ojcem. Ale tak będzie, dopóki znów nie zniknie. Coromandel. A po Coromandel jeszcze gdzie indziej.

Wiedziała, że Jared ma rację, ale wolała nie nazywać Jeremy'ego dużym dzieckiem. Wolała mówić, że Jeremy ma wolną duszę. Taką, którą kieruje wiatr. Ktoś taki jak on nie mógł żyć inaczej. Miała dla niego wiele serca i nigdy nie przyszłoby jej do głowy wiązać go odpowiedzialnością czy obietnicami złożonymi w chwili słabości. Nawet gdyby go kochała, nie próbowałaby do siebie przywiązać. Jeremy musiał mieć możliwość ścigania własnych marzeń, życia chwilą, potężnymi pragnieniami odczuwanymi tu i teraz.

- Dzieci nie mogą tak żyć - ciągnął Jared. - Muszą mieć coś stałego. Muszą wiedzieć, że należą do jakiegoś miejsca. I do kogo należą. Nie mogą stale opierać się na jakimś „może”, a tylko to mój brat jest w stanie im zapewnić.

- Nie przeżyjesz życia za niego, wiesz o tym.

- Ale mogę go poprosić, żeby dorósł!

- On nigdy nie będzie tak dorosły jak ty - stwierdziła.

- Albo tak jak ty - zauważył Jared. - My jesteśmy tacy sami, Rosie. Może ci się to podobać albo nie, ale jesteśmy do siebie bardziej podobni niż ty i ten mój czarujący brat.

-Wiem.

- Nie ma zbyt wielkich nadziei dla ludzi, którzy tak się różnią jak wy.

- Nie pobraliśmy się dlatego, że tego chcieliśmy -przypomniała Roza. - To przypadek, oszustwo. Nie chciałam tego tak samo, jak on. Musimy to naprawić. Prędzej czy później zwrócimy sobie wolność. Nie ma pośpiechu, ale musimy to zrobić. Oboje tego pragniemy, Jaredzie. Nie zmuszaj Jeremy'ego, by został tu ze względu na mnie albo na dzieci. Byłoby to nie w porządku wobec nich, wobec niego i wobec mnie...

-Jesteś pewna, że wiesz, o czym myśli mój brat?

spytał Jared, podając jej rękę, żeby mogła przejść przez rów oddzielający winnicę od drogi do zabudowań. Przeszła suchą nogą; zabłociła jedynie rąbek spódnicy. - Jesteś pewna, że on pragnie tego samego co ty, Rosie?

- Oczywiście - odparła. Było to dla niej tak jasne, że nie musiała się nawet zastanawiać. Roześmiała się. - Dlaczego o to pytasz?

- Może Adam ci powie, o co się pobili.

Nie o mnie!

Niemożliwe, żeby pobili się o mnie!

Natalio, dlaczego nigdy nie przyjdiesz mi na ratunek, kiedy cię potrzebuję? Dlaczego nigdy nie powiesz mi, jak mam postąpić ani czego się po mnie spodziewacie?

Czy mogę coś zrobić dla Adama?

Czy po to tu jestem?

Nie chcę, żeby coś mu się stało, przecież oni go potrzebują. Jest potrzebny wszystkim w New Favourite, a ja czuję, że to moja wina.

Tak, jeśli pobili się z mojego powodu, to moja wina. Nie prosiłam ich o to. Choć równie dobrze mogłam to zrobić. I dlaczego nóż Adama leżał na ziemi? Nie mogę znieść myśli o tym, że podniósł go na Je-remy'ego.

Może cała ta jakże męcząca podróż była jakimś znakiem? Ostrzeżeniem dla mnie, że nie powinnam ich szukać? Przecież dopiero tu dotarłam, a już coś się stało.

Co oni myślą?

Natalio, odezwij się do mnie!

Nie przyjechałam tu, żeby być obcą!

Rozdział 6

- Dalej już my się nim zajmiemy - oznajmiła Fiona, wyganiając mężczyzn z pokoju. - Ty też wyjdź! - upomniała córkę.

Siobhan zarumieniła się i pierwsza przemknęła obok Tommy'ego.

- Rosie i ja same sobie poradzimy - zapewniła Fiona.

- On jest ciężki - zauważył Danny.

- Miewałam już do czynienia z cięższymi mężczyznami i jakoś uszłam z tego z życiem.

Słowa Fiony wywołały rumieniec na piegowatej twarzy Danny'ego.

- Rosie także, jak przypuszczam - dodała Fiona z goryczą.

Jared zachichotał.

- Do diabła! - jęknął Adam, ułożony na szerokim łóżku. - Czy ja nie mam już nic do powiedzenia?

- Nic - odparła jego siostra. - Niczym nas nie zaskoczysz, braciszku. Rosie i ja byłyśmy łącznie zamężne tyle razy, że dosyć się napatrzyłyśmy. Żadnej niespodzianki nam nie sprawisz. Chłopcy, przyniesiecie wody?

Bracia Connelly natychmiast wyszli spełnić to ważne zadanie.

- Trzymajcie się z daleka! - rzuciła Fiona przez ramię, niepewna do kogo mówi.

- Dobrze, dobrze - odpowiedziała Siobhan, która wciąż kręciła się w pobliżu. W domu wuja czuła się prawie jak u siebie, a obecność Dannyego najwyraźniej też jej nie przeszkadzała. Sam może odejść, jeśli uzna, że zbyt trudno mu tu zostać. Ona nie zamierzała stąd uciec.

- A ty podgrzej wodę - zwróciła się do niej Fiona. - I postaraj się, żeby do dzieci nie dotarły jakieś wymyślone historie. Nie wolno ich straszyć. Nie ma się czego bać! I pamiętaj, pukaj przed wejściem!

-Dobrze. - Siobhan wolała się nie zastanawiać, dlaczego ma pukać. Nigdy wcześniej nie myślała o wuju jako o mężczyźnie. To przecież jej wujek, brat matki. Chociaż tak naprawdę był niewiele starszy od Dannyego. Raptem cztery lata. A Danny w ogóle nie wydawał jej się stary. Wuj Adam był w tym samym wieku co Jeremy, od którego Siobhan czasami czuła się starsza.

- A co mam powiedzieć dzieciom? - spytała.

- Powiedz, że Adam się przewrócił. Że boli go biodro i plecy. I nie ma siły mówić.

Siobhan nie przypuszczała, że jej matka potrafi tak kłamać na poczekaniu.

- Założę się, że Tommy i Danny wypaplą prawdę.

- Siobhan nie miała wygórowanej opinii o wyobraźni mężczyzn. - Aidan i Mikey na pewno się wystraszą.

-I właśnie ty im powiesz, że nie ma się czego bać.

- Fiona zatrzasnęła drzwi tuż przed nosem córki. Siobhan ledwie zdążyła westchnąć, gdy już otoczyła ją gromada dzieciaków. Stała niczym żywa tarcza, broniąc dostępu do drzwi.

- Co się stało tacie? - Dlaczego tak krzyczał i wołał mamę? - pytała

Lily, równie przejęta jak Aidan i o wiele bardziej wyczulona na mętne wyjaśnienia.

- Widzieliśmy wóz - dodał Matt.

- Danny przybiegł po drzwi - zauważył Mikey. - Coś się stało Adamowi? Dlaczego Jeremy wziął Romea i tak szybko gdzieś pojechał? Nawet się do nas nie odezwał i nie zabrał kurtki.

Siobhan powtórzyła to, co kazała jej matka. Nie odpowiedziała na żadne pytanie i była tego tak samo świadoma jak wszystkie dzieci.

- Chcę do niego wejść - oświadczył Aidan zdecydowanie i próbował ją wyminąć.

Siobhan musiała cofnąć się pod same drzwi i mocno przytrzymać klamkę.

- Mama i Rosie go przebierają - wyjaśniła szybko. - Mężczyźni poszli po wodę. Strasznie się pobrudził. Dopiero później będziecie mogli tam wejść.

- To mój ojciec - powiedział Aidan. - Muszę go zobaczyć.

- Później • - obiecała Siobhan, myśląc o tym, że wciąż jeszcze jest silniejsza niż Aidan, chociaż pewnie ani się obejrzą, jak chłopiec dorośnie, a wtedy będzie słabsza. Na razie był jeszcze smarkaczem, choć dzieliły ich zaledwie cztery lata. Między nią a Tom-mym różnica wieku wynosiła sześć lat, a Danny był od niej starszy o osiem lat. To prawie nic!

- Macie słuchać Siobhan - nakazał Danny i bez dalszych ceregieli odsunął Aidana. - Ta woda ma się gotować? - spytał, rzucając dziewczynie przelotne spojrzenie.

Kiwnęła głową, również nieco zakłopotana. Rzadko się do niej odzywał. Jak tylko mógł, udawał, że jej nie widzi. Ona także. I tak już dość się wygłupiła w święta. Ale zarazem bardzo chciała z nim poroz-

mawiać. Tęskniła za jego spojrzeniem; pragnęła ujrzeć w jego oczach własne odbicie. Danny przelał wodę do kociołka i rozpalił ogień w piecu. W ciągu dnia palenie w piecu było zbędne; rozpalali ogień jedynie po to, żeby przygotować posiłki, chociaż nierzadko szykowali wspólny obiad dla wszystkich na podwórzowym palenisku. W najgorętsze dni tak było najwygodniej.

-Jeremy na pewno sprowadzi doktora - powiedział Danny, nie patrząc na dzieci.

- Doktor jest aż w Auckland - odparł Mikey z poważną miną. Chłopiec rozumiał, że sytuacja jest trudna, skoro posłano po doktora.

-Wziął Romea, najszybszego konia Jordanów -zauważył Tommy i dołał wody z wiadra do wielkiego kotła.

- Dlaczego nie możemy zobaczyć się z tatą? -Kobiety go przebierają - wyjaśnił Tommy z uśmiechem. - Sam chyba nie lubisz, jak ktoś wchodzi, kiedy się przebierasz albo kąpiesz. Myślisz, że tylko ty się wstydzisz?

Dzieci też się uśmiechnęły. Siobhan cieszyła się z obecności Danny'ego, ale nie zamierzała tego okazywać. Jeśli uważał, że jest jej coś winien, bo ją odrzucił, gdy mu się ofiarowała, to ani myślała wyprowadzać go z błędu. Danny Connelly jeszcze drogo za to zapłaci!

- Wszystko będzie dobrze - powiedział Mikey. -Wszystko będzie dobrze - powtórzyła Lily jak echo.

Siobhan musiała ukryć uśmiech. Przyjemnie było patrzeć na bliźnięta. Identycznie się poruszały, identycznie wyrażały. Czasami wyraźnie jedno drugie naśladowało, kiedy indziej podobieństwo wynikało

samo z siebie, a wtedy budziło wręcz przerażenie. Przecież Mikey i Lily spotkali się zaledwie kilka dni temu. Nie mogli niczego pamiętać z przeszłości. Ale byli ze sobą silnie związani, odkąd tylko się zobaczyli. Zewnętrzne podobieństwo nie rzucało się szczególnie w oczy, lecz we wszystkim innym byli jak wycięci z tego samego kawałka drewna.

- Czujesz to? - spytała Lily, zwracając się do brata. Mikey kiwnął głową przygnębiony i przysunął się

do niej. Razem byli niezwykłymi dzielni rycerze królowej uzbrojeni po zęby.

- Co takiego? - dopytywał się Aidan.

- Ty tego nie zrozumiesz - zgasił go Michael szybko. Za szybko.

- Czego nie chcecie mi powiedzieć? - rozłościł się Aidan. Był bliski płaczu. Bał się, że wszyscy go okłamują. Że wszyscy wiedzą, co naprawdę dolega ojcu, z którym jest jeszcze gorzej, niż to sobie wyobrażał. Bał się, że wszyscy znają prawdę, tylko jemu nikt nic nie mówi. Niby miał pewność, że Michael i Lily nie mogą wiedzieć więcej niż on, bo przecież spędzili razem cały poranek i przedpołudnie, ale mimo to zakiełkowało w nim podejrzenie, a nawet nabrał przekonania, że właśnie tak jest. A tego sobie nie życzył. - Mówcie, o co chodzi!

- Na pewno o nic - próbował go uspokoić Matt, lecz Aidan nie zwracał na niego uwagi. Poczterwieniał i tupnął nogą, mocno zaciskając pięści.

- Muszą mi powiedzieć! Chcę to wiedzieć! Mikey nie może mieć cały czas jakichś tajemnic! Nie mogą mieć wspólnych sekretów!

- To nie jest żadna tajemnica - zaprotestowała ostro Lily. - Mówiła urażonym tonem, ani na krok nie odstępując brata bliźniaka. Wspólnie tworzyli

mur, niewysoki, lecz nie do pokonania. - Ale tylko my to wiemy - ciągnęła. - Bo tylko my to rozumiemy. Was to nie dotyczy. Nikogo z was.

- Dość już tej bezczelności! - wtrąciła się Siobhan. Była pewna, że ani matka, ani Rosie nie pozwoliłyby dzieciakom na takie kłótnie.

- Ona wcale nie jest bezczelna - odezwał się Mikey. - Tak po prostu jest. Bo my jesteśmy z nim związani, a wy nie.

- O czym wy mówicie? - Siobhan złożyła ręce na piersi. - Z kim?

- Z tatą. - Lily wytrzymała spojrzenie starszej dziewczyny.

Słysząc było, że komuś zapało dech w piersiach. Któremuś z chłopców. Siobhan nie umiała jeszcze rozróżnić oddechu Dannyego, aż tak mocno nie była w nim zakochana. Zmrużonymi oczami popatrzyła na dziewczynkę, ale ta ani myślała ustąpić, bez względu na to, czy kłamała, czy tylko wmawiała sobie, że mówi prawdę.

- Z tatą - powtórzył Michael. - To wyłącznie nasza sprawa.

Lily kiwnęła głową i wyszła, ciągnąc brata za sobą. Po chwili wahania ruszył za nimi Matt i dwójka młodszych dzieci Fiony. Ale Aidan został.

- O co im chodziło? - spytał.

- Nie wiem - odparła Siobhan szczerze.

- Dzieciaki mają bujną fantazję - stwierdził Danny i z pomocą brata przesunął parujący już kociołek na chłodne fajerki dużego, żelaznego pieca przywiezionego tu aż z Anglii.

- Dlaczego oni tak kłamią? - dociekał Aidan, przenosząc wzrok na kolejnych dorosłych. Dla jedenastolatka nawet Siobhan była dorosła.

-Oni nie kłamią - powiedział Tommy. - Po prostu tak im się wydaje.

- Czyli to kłamstwo - orzekł syn Adama. Siobhan wzięła głęboki wdech, zastanawiając się, jak ma mu to wytłumaczyć. Nikt nie chciał, żeby dzieci żyły w niezgodzie. A przypięcie komuś łatki kłamczucha mogło być niebezpieczne. Sama, jako dziecko, opowiadała przeróżne historie, ale dla wszystkich było jasne, że fantazjuje. Jej opowiadania zresztą były tak niewinne, że nikt jej nie wierzył, bez względu na to, co wygadywała. Dorastając, nauczyła się odróżniać obrazy powstałe tylko w jej umyśle, swoją własną, wewnętrzną rzeczywistość, od tej, którą widzieli wszyscy inni. Upłynęło jeszcze trochę czasu, nim zrozumiała, że to, co roi jej się w głowie, to sny i marzenia, a rzeczywistością jest wyłącznie to, co jest na zewnątrz, dostrzegalne dla innych. I nikt nie nazywał jej kłamczuchą, bo Tommy i Danny zawsze stali przy niej jak dwaj starsi bracia - chociaż wcale nimi nie byli naprawdę - i brali ją w obronę. Byli na tyle duzi, że rzadko musieli odwoływać się do siły pięści, ale kilka razy z niej skorzystali, kiedy okazało się to konieczne.

Siobhan miałyby ochotę wziąć stronę Lily i Mi-keya, ponieważ ich rozumiała. Przypominali ją samą sprzed kilku lat. Ale bliźnięta znakomicie sobie radziły bez niczyjej pomocy, odgryzały się, zanim ktokolwiek zdążył westchnąć, nie musiała więc się nad nimi użalać. Zresztą, tym razem jej sympatia była po stronie Aidana.

-Oni myślą trochę inaczej niż ty - powiedział Danny, nalewając z kociołka gorącej wody do wiadra.

Siobhan zapukała, tak jak jej przykazano, i zdążyła nawet spytać, czy Aidan może wejść, ale odpo-

wiedź była zbędna, bo chłopiec i tak prześlizgnął się pod jej ramieniem. Wszedł z wahaniem do pokoju. Ojciec leżał, przykryty zwykłym prześcieradłem. Na widok syna uśmiechnął się z wysiłkiem.

- Bałem się o ciebie. - Aidan stanął w nogach łóżka.

Fiona na wszelki wypadek położyła dłoń na ramieniu bratanka, żeby go zatrzymać. Nie chciała, żeby za bardzo zbliżył się do Adama i zauważył za dużo.

- Głupia Siobhan nie chciała mnie wpuścić, a Mi-key i Lily mówią, że ich tata jest tutaj. A przecież on nie żyje, więc kłamią. - Aidan nabrał powietrza i spytał: - Boli cię, tato?

- Nie - odparł Adam. - Ale muszę leżeć nieruchomo, bo może z moimi plecami coś jest nie w porządku. Mocno się uderzyłem.

- Jak mogłeś się przewrócić? Przecież już dawno nie padało! W przejściach między rzędami winorośli jest zupełnie sucho. Byliśmy tam i widzieliśmy...

- Miałem pecha - uciał Adam.

- No, zobaczyłeś się już z tatą, więc możesz wyjść - stwierdziła Fiona i łagodnie, ale zdecydowanie popchnęła Aidana w stronę drzwi. - Tata musi teraz odpocząć, a ty masz słuchać Siobhan, nawet jeśli uważasz, że jest głupia. Ona powtarza tylko to, o co ja ją poproszę. A ja przecież nie jestem głupia, mój drogi.

- Na pewno dobrze się czujesz? - spytał Aidan od drzwi, jedną nogą już w korytarzu.

- Tak, tak - odparł Adam z nadzieją, że białe kłamstwa nie są śmiertelnym grzechem.

Chłopiec dzielnie kiwnął głową i pozwolił się wyprowadzić. Danny wniósł wiadro do pokoju. - Nie wszystko jest w porządku, prawda? - spytał, nie spuszczając oczu z Adama.

- Niczego nie wiemy - warknęła Fiona. - Jako naj-

starszy przejmij dowodzenie nad oddziałami. Idźcie podciąć kilka rzędów w winnicy. Beczki też nie są gotowe. Ktoś musi pomóc Siobhan, bo dla niej samej są za ciężkie. Adam nie umiera.

- Nic lepszego nie możesz powiedzieć?

- A to było złe? - spytał Adam, ale nawet oczy mu się nie uśmiechnęły.

-Ja nie wiem, Rosie nie wie, Adam nie wie! - odparła Fiona. - Krótko mówiąc, nie wiemy. Wynoście się stąd! I miejcie oko na dzieci!

Już przy drzwiach Danny'ego zatrzymała jeszcze Roza.

- O co chodzi z Lily i Mikey'em? - spytała. - I z Seamusem? Co to ma znaczyć? Może powinnam z nimi porozmawiać...

-Jesteś potrzebna tutaj - ucięła Fiona.

- Dam sobie z nimi radę - zapewnił Danny. - Zostań tu, Rosie. Ona cię i tak nie puści. Na twoim miejscu nie zadzierałbym z nią...

Fiona nie zareagowała. Roza przyjęła słowa Danny'ego za próbę dodania wszystkim otuchy żartem, a Siobhan czuła, że serce ściska jej się z żalu. Danny cały czas wbijał w ranę kolejne noże, nie pozwalając jej się zbliżnić. I jeszcze za każdym razem nimi obracał! Zaciskała jednak zęby. Musi wytrzymać! Danny Connelly nie będzie miał przyjemności z widoku jej łez i zdruzgotanej miny, bo sprawił, że jej rozkwitającą miłość zmroził szron. Poza tym przyjdzie taki dzień, że sama się z tym pogodzi!

- No, nareszcie jesteśmy same - powiedziała Fiona. - Spróbuj jeszcze raz z tą igłą.

Roza poszła po igłę do cerowania i stanęła w nogach Adama. Lekko odsunęła na bok prześcieradło. Na chwilę ich spojrzenia się spotkały. Już raz kobie-

ty próbowały klucia, kiedy go rozbierały; teraz postanowiły podjąć kolejną próbę. Roza zaczęła delikatnie nakłuwać podeszwy stóp, palce, łydki, uda i dłonie.

Przez twarz Adama przebiegł skurcz, gdy wbiła igłę w mięsień dłoni tuż przy nasadzie kciuka. Otworzył szeroko oczy. Na jego twarzy malowało się powątpiewanie i lęk.

-Kciuk - powiedział, przytrzymując Rosie wzrokiem. - A raczej tuż pod kciukiem. Prawym.

Do tego, że wiedział, w którą rękę go ukłuła, nie przywiązywały zbyt dużej wagi. Ale potrafił dokładnie określić miejsce, a to już było trudniejsze.

Roza lekko kiwnęła głową.

-Jeszcze raz - poprosił Adam.

- Zamknij oczy! - nakazała Fiona.

Adam opuścił powieki i Roza ukłuła go w to samo miejsce. Zobaczyły, że lekko drgnął. Odwróciła jego dłoń i ukłuła go tuż u nasady środkowego palca.

- Czuję - powiedział ochryple. - Gdzie? - spytała ostro Fiona.

- Ta sama ręka, ale nie to samo miejsce.

- Świetnie - stwierdziła Roza. Ukłuła go nieco wyżej w rękę i znów zobaczyły drgnienie ust. Uśmiech. Adam nie mógł już dłużej wytrzymać z zamkniętymi oczami.

-Czuję! - zawołał. - To mija!

- Na razie nie ma pewności. - Fiona zgasiła jego nadzieje. - Trochę cię obetrę z potu. Będzie ci chłodniej. - Za chwilę znów spróbujemy - obiecała Roza.

- Ty się możesz odwrócić - powiedział do niej i zacisnął zęby, kiedy Fiona całkiem odsunęła prześcieradło, by obmyć mu ciało wilgotną ściereczką.

Roza wbiła igłę w ścianę nad wezglowiem łóżka. Podwinęła rękawy i sięgnęła po drugą ściereczkę.

- Pomogę twojej siostrze - oznajmiła, patrząc mu w oczy.

- Bezwstydne baby! - mruknął. - Jak można tak wykorzystywać bezbronnego mężczyznę... - Przestań gadać! - burknęła Fiona. - Nie pora teraz na flirty. Rosie jest mężatką, a ty nie możesz poruszyć niczym, co by jej zaimponowało.

Zamknął oczy, a kobiety dalej go obmywały, uważając, żeby nie zamoczyć prześcieradeł.

- Już dość mnie wytarłoszyliście? - spytał Adam, gdy Fiona poszła wylać wodę.

- Myślałam, że śpisz - powiedziała Roza łagodnie.

- Bałem się zasnąć - odparł cicho. - Bo jeśli... Przysiadła na łóżku i odgarnęła mu z czoła grzywkę, żeby go nie łaskotała.

- Możesz się teraz przespać - poradziła. - Na pewno się obudzisz. - Nie tego się boję.

- A czego?

- Ze nie będę nic czuł.

Nie mogła mu obiecać, że jego stan się nie pogorszy. Nie mogła mu składać żadnych obietnic. Ale przecież Adam powinien odpocząć. - Wygląda na to, że to się cofa.

- Ale co to jest? - spytał szeptem.

- Nie wiem - odparła. Ujęła obie jego dłonie, uścisnęła je i zaczęła rozcierać, ale nie dostrzegła na jego twarzy żadnej reakcji. Widział, co ona robi, ale gdyby zamknął oczy, nie umiałby stwierdzić, co się z nim dzieje. Zastanawianie się, czy ten stan się utrzyma, było torturą graniczącą z szaleństwem.

- Nie powinieneś myśleć o tym, że życie może nie być już takie jak dawniej, że może być gorzej. Nie powinieneś bać się zasnąć z obawy, co będzie po obudzeniu - powiedziała.

- Nie potrafię - przyznał. Ogromnie ją tym zasmucił.

- Co się stało, Adamie? - spytała cicho. - Tylko nie mów, że to moja wina.

Uśmiechnął się, lecz ona widziała, że za podciągniętymi kącikami ust kryje się ból. Zmarszczki na czole się pogłębiły. Oczy wyglądały jak rozżarzone węgle; pociemniały, ale został w nich błysk, wola życia, taka jak u Seamusa. Roza miała nadzieję, że ta iskra nie zgaśnie. Nie wolno mu jej zdusić!

Adam wciąż się pocił. Co to mogło oznaczać? Roza nie znała się na paraliżach. Już samo słowo „paraliż” było tak wstrętne, że nie chciała go wypowiadać nawet w myślach. Nie umiała sobie wyobrazić, że to silne, piękne ciało mogłoby zmienić się w nieruchomy kloc. Nie mogłaby patrzeć, jak słabnie i więdnie. Nie chciała o tym myśleć.

- Bronilem twojego honoru. Jeremy, zdaje się, też. To ja zacząłem. To ja z nas dwóch byłem głupszy. I zobacz, jak to się skończyło!

- Ja nie potrzebuję rycerza, Adamie.

- On, twój mąż, powiedział...

- Nie nazywaj go tak!

- Przecież nim jest.

- A ty jesteś moim rycerzem?

Pogładziła go po zapadniętych policzkach. Jego skóra zdawała się palić jej palce, choć raczej nie miała zimnych dłoni. - Przyjemnie mnie chłodziś - powiedział z wdzięcznością.

Fiona wyszła i cicho zamknęła za sobą drzwi.

Zostawiła ich samych. Ufała, że Rosie wie, co robi. Ktoś zresztą musiał podtrzymać Adama na duchu do przyjazdu lekarza. Najwcześniej można się go było spodziewać w nocy, i to pod warunkiem, że Jeremy'ego nie zatrzyma nic po drodze i że uda mu się od razu namówić doktora do przyjazdu. Z pewnością nie będzie to łatwe, nawet jeśli lekarz dowie się, o kogo chodzi.

- Gorąco ci? - spytała Roza.

- A jestem gorący?

Nie odpowiedziała, czekała na jego odpowiedź.

- Cały płonę - powiedział. - W głowie mam ogień, Rosie! Oczy mnie pieką!

- Pot ci spływa do oczu - stwierdziła. - Mrugaj!

Znów przetarła mu twarz zwilżoną ściereczką. Potrzebowała więcej wody, ale nie chciała zostawiać go samego.

- Dziękuję.

Długo leżał nieruchomo, bez słowa. Wpatrywał się w pomalowany na biało sufit. Przed oczami przelatywały mu cienie własnych myśli. Wiedział, że są widoczne tylko dla niego. Za sobą miał wezgłowie łóżka i ścianę, nic innego tam nie było. Ale słyszał głos Seamusa. Nie był pewien, co brat mówi, lecz wiedział, że to jego głos. Spojrzał na Rosie. Ona nie słyszała Seamusa. Poznałby po niej, gdyby i do niej docierał ten głos.

- Zostaniesz ze mną? - spytał. Kiwnęła głową.

- Jeremy może być teraz spokojny, nic ci nie zrobię...

Roza się roześmiała. Cieszyła się, że mimo wszystko stac go na żart.

- Chciałbym zasnąć.

- No to śpij.

- Połóż się przy mnie - poprosił błagalnie. Zauważył jej wahanie i uśmiechnął się kącikiem ust. - Nie bój się, nic ci nie grozi. Przecież nic nie czuję. Nie mogę nawet ruszyć palcem. Nie ma flagi do podniesienia. Nie musisz ścinać masztu. - Odetchnął najgłębiej, jak mógł. - Pewnie o tym nie słyszałaś, prawda?

- O czym? Nie wysilaj się, Adamie.

- Wódz Hone Heke cztery razy ścinał maszt Anglików w Russell...

Położyła mu palec na ustach i Adam umilkł. Wysunął wargi, żeby lepiej go poczuć. W oczach miał wyzwanie, lecz Rosie je zignorowała, bo o wiele ważniejszy był dla niej jego strach. - Położę się przy tobie i będę cię obejmować - obiecała. - Ale na prześcieradle - dodała, widząc jego pytająco uniesione brwi.

- Żebracy nie mogą się targować - szepnął.

- A ja myślałam, że jesteś moim rycerzem. - Wsunęła mu rękę pod kark i podparła głowę. Starła się nie poruszać zbyt gwałtownie, bo nie wiedziała, jak to się skończy. A nie chciała jeszcze pogarszać sprawy. Mimo bowiem że dzieliło ich prześcieradło, i tak czuła jego ciało. Był gorący, dosłownie płonął. Czyżby naprawdę nic nie czuł? Nie bardzo w to wierzyła. W jego ciele musiała zachodzić jakaś zmiana!

- Nie jestem rycerzem, Rosie - szepnął, zamykając oczy. Musiała zaufać jego słowom, jego twarzy, wszystkiemu temu, co była w stanie wychwycić w jego głosie. - Nie rycerzem, ale jakby bratem. - Dobrze. Czyli tak, jak ustaliliśmy. - Właśnie tak - odparł.

Po pewnym czasie nabrała pewności, że zasnął. Teraz i ona spływała potem. Rozpaliła ją jego gorączka.

Wytrzymała jednak i dalej leżała spokojnie. Nie mogła zostawić go samego.

-Jakby brat! - szepnęła cicho, ocierając mu pot z czoła. Nie poczuł tego; spał, zupełnie nieruchomo. - Nie umieraj, proszę! Nie pozwólcie mu umrzeć! -zmieniła swoje słowa, nie bardzo wiedząc, do kogo je kieruje.

Rozdział 7

- Nie musisz zabijać mnie milczeniem, Siobhan. Dziewczyna nie zareagowała. Dalej szorowała

beczkę. Prawie cała się w niej schowała, ani trochę nie przejmując się tym, że jest mokra i pokazuje nieprzyzwoicie dużo ciała. Niech Danny zobaczy, co go ominęło, pomyślała ze złością i zaczęła jeszcze mocniej kręcić biodrami. A kiedy tylko mogła, wypinała też piersi. Wiedziała, że jest za młoda, by tak robić, może nawet, by o tym wiedzieć, ale nie czuła żadnego wstydu. To Danny powinien się czerwienić. To on wyraźnie pokazał, że jej nie chce. To on skrywał tajemnicę, o której nawet nie chciała myśleć.

-Nie mam o czym z tobą rozmawiać - rzuciła wreszcie krótko. Jej głos zabrzmiał dziwnie głucho, bo prawie stała na głowie w dębowej beczce.

- Kiedyś byliśmy przyjaciółmi.

- Kiedyś, owszem.

- Na uczucia żadne z nas nic nie poradzi - spróbował znów Danny.

Nosił wodę ze studni, wystawiał beczki, płukał je, a kiedy już lśniły czystością, wstawiał je do środka. Był prawie tak samo mokry jak Siobhan i chociaż panował upał, oboje aż drżeli z zimna.

- Nie chcę o tym rozmawiać - oświadczyła Siobhan. Oparła się biodrami o krawędź beczki i wyprostowała. Ledwie jej się to udało, ale nie poprosiła go o pomoc. Wystarczyło już samo to, że kręcił się przy niej, gdy pracowała. - Tommy nie mógłby mi pomagać zamiast ciebie?

-Uznałem, że powinniśmy porozmawiać. Uporządkować pewne sprawy przed moim wyjazdem.

Nareszcie udało mu się zwrócić na siebie jej uwagę. Siobhan poprawiła przepaskę na włosach i mocniej związała je na karku. Danny sądził, że dziewczyna nieświadomie pokazuje przy tym więcej ciała, niż powinna. Wilgotna bluzka kleiła się do skóry, obnażając każdy kształt, każdy pagórek i łuk młodego ciała. Musiał sobie w duchu tłumaczyć, że ona ma dopiero piętnaście lat i jest jeszcze dzieckiem.

-Wyjeżdżasz? - spytała i zacisnęła usta. W jej twarzy zawsze zwracały uwagę badawczo patrzące oczy i ciemne, wyraźnie zaznaczone brwi oraz usta, które wydawały się nieco za duże. Z wyglądu przypominała Fionę, ale to inne cechy niż te, które odziedziczyła po matce, sprawiały, że była piękna. Fiona Johnson miała o wiele łagodniejszą urodę. Przywodziła na myśl wiosnę, Siobhan natomiast kojarzyła się z naj-mroźniejszym zimowym dniem. Na Fionę miło było popatrzeć, ale uroda jej córki wręcz powalała każdego, kto się jej uważnie przypatrzył. - Wyjeżdżam z Jeremym. Siobhan wzruszyła ramionami. - Dla mnie nie musisz tego robić.

- Robię to dla siebie - odparł i trochę pożałował, że dziewczyna nie okazuje choć odrobinę większego żalu. Podkochiwała się w nim od dawna i aż dziwne, że w końcu przestała chodzić za nim krok w krok jak zagubiony szczeniak. Przecież wyraźnie na niego polowała. Uważał to za dokuczliwe i bardzo chciał, aby się wreszcie skończyło, ale kiedy rzeczywiście minęło, poczuł się nieswojo. Nie chciał być przez nią wielbiony, ale obojętność też miała niezbyt przyjemny smak.

-Wobec tego mam nadzieję, że znajdziesz to, o czym marzysz.

Danny złapał za beczkę, którą właśnie skończyła myć. Spojrzenie Siobhan padło na jego pierś i brzuch skryte pod płótnem koszuli, a potem przesunęło się na wąskie biodra pod paskiem. Poczuł się dumny.

-Moglibyśmy rozstać się jak przyjaciele, Siobhan.

- Może i tak będzie - odparła ostro.

- Nie wybaczysz mi? Westchnęła.

- Rozumiem, że nic na to nie poradzisz. Że wcale o to nie prosiłeś.

Danny kiwnął głową. Widział, jak drżą jej wargi, zauważył, że je przygryza i marszczy czoło, żeby powstrzymać łzy. Dopiero teraz zdał sobie sprawę, jak poważnie traktowała to uczucie. Wszyscy się z niej śmiali, bo myśleli, że to tylko niewinna miłośćka młodziutkiej dziewczyny. Mówili, że to czyste uwielbienie dla wymyślonego księcia i że Siobhan zakochała się nie w nim, tylko w jego wyobrażeniu. A on w to wierzył.

Teraz jednak zorientował się, że kryło się za tym coś więcej, i zaczął żałować. Powinien był podejść do tego inaczej. Nie powinien pozwolić, by sprawy za-

szły aż tak daleko. Nie powinien się godzić, by o nim śniła. Należało z nią porozmawiać, kiedy tylko odkrył jej uczucie, a nie czekać, aż samo przejdzie.

- Mam nadzieję, że ułoży ci się tam jak najlepiej, Danny - powiedziała, z trudem powstrzymując łzy. - Wierzę, że będziesz szczęśliwy. Ale w moim sercu i tak pozostaniesz. Nie wiem, czy mogłabym patrzeć na twoje szczęście. Nie chcę nawet o tym myśleć, Danny.

Rozumiał ją. Zacisnął dłonie na beczce. Mało brakowało, a skaleczyłby się o żelazną obręcz. - Nie powinnam ci życzyć wszystkiego najlepszego? - spytała.

Nie umiał odpowiedzieć.

- Bo przecież dla ciebie najlepsze byłoby właśnie to, prawda? Ona.

- Nie mów o tym!

- Nie powiem nikomu - zapewniła. - Jennifer nie potrafi nawet sobie tego wyobrazić. A mama... Mama w ogóle o tym nie myśli...

- No, tak.

- Twoja tajemnica będzie u mnie bezpieczna, Danny. Nie bój się. Może znajdziesz tyle złota w Coromandel, ile Jeremy znalazł w Australii.

- Chcę, abyśmy pozostali przyjaciółmi.

- Bardziej ci zależy na tym niż na złocie? - spytała, przekrzywiając głowę i mrużąc oczy.

- Po to musiałbyś wyjechać jeszcze dalej, Connelly! - Nie mogę pragnąć i jednego, i drugiego? - Nie tak samo mocno - stwierdziła Siobhan z bezlitosną szczerością, charakterystyczną dla młodych ludzi.

- Może jednak mógłbym odzyskać twoją przyjaźń, zanim wyjadę i wzbogacę się na złocie?

- Rozczarowałeś mnie - powiedziała w końcu Siobhan. Złapała beczkę i uniosła ją, zmuszając tym samym Danny'ego, by chwycił ją od drugiej strony i razem z nią zaniósł do składziku. Beczka była prawie tak ciężka jak wtedy, gdy dźwigał ją sam, ale nie miał serca jej o tym mówić.

Siobhan nie została w składzie z beczkami. Nie chciała nigdzie zniknąć razem z Danny'm. I tak już dość o nich gadali, a jej wcale nie było źlej przez to, że na języki wzięła ją rodzina, a nie obcy.

- Lepiej by było, gdybyś porozmawiał ze mną wcześniej - rzuciła, mijając drzewo pohutukawa, wciąż obsypane kwieciem aż do ziemi, którą całowało gałęziami. Musnęła palcami kwiaty i zmrużyła oczy, patrząc na żółty welon kwiatów kowhai. Żółć to kolor fałszu, pomyślała. Czerwony - miłości. Żółć z czerwienią. Miłość i fałsz. Może to ma jakiś sens? - Od razu, gdy się zorientowałeś - wyjaśniła, kiedy Danny wszedł za nią pod gałęzie rzucające cień, dzięki któremu tak przyjemnie siedziało się na ustawionej tutaj ławce. Siobhan usiadła i czekała na jego odpowiedź.

Danny przycupnął na samym brzeżku ławki. Dotykał ziemi jedynie czubkami butów, gotów w każdej chwili zerwać się w razie potrzeby. Gałęzie ich skrywały, wiedział o tym, ale nie sądził, by Siobhan schowała się tu rozmyślnie. Pragnął uważać ją za niewinną, niezepsutą. Tak ją widział i taki jej obraz chciał zachować. Serce mu się ścisnęło, gdy przyłapywał się na tym, że patrzy na nią jak na młodą kobietę.

- Musiałeś to zauważyć od razu - dodała Siobhan i roześmiała się z wyrzutem.

Danny zrozumiał, że śmieje się z samej siebie.

- Miałem nadzieję, że tylko tak mi się wydawało - przyznał.

-A później?

- Później nie wiedziałem, co mówić. Wszyscy twierdzili, że jesteś młoda i że to przejdzie. Chciałem wierzyć, że mają rację. I czekałem, aż tak się stanie.

- No i chyba się nie pomylili. - Siobhan wzruszyła ramionami, ale wypadło to tak żałośnie, że Danny'emu zrobiło się jej żal. Miał ochotę pocieszyć dziewczynę i już nawet zaczął się do niej przysuwać, gdy nagle uświadomił sobie, że może tylko rozdmuchać żar.

- Mam nadzieję, że będziesz szczęśliwy, Danny. -Ty także, Siobhan. Na pewno pojawi się ktoś,

kto będzie do ciebie bardziej podobny niż ja. Bardziej dla ciebie odpowiedni...

- Uważasz, że podobne dzieci najlepiej się ze sobą bawią? - spytała.

- Chyba tak.

-Jeśli znajdziesz dziewczynę podobną do ciebie, Danny, to będziesz się w życiu bardzo nudził.

- Za to tobie nigdy nie będzie nudno - powiedział i lekko pocałował ją w czoło. - Tylko niech ci to nie uderzy do głowy - ostrzegł, podniósł się i poszedł w stronę winnicy.

Uważał, że dobrze się to zakończyło. W końcu się porozumieli. Siobhan była mądra jak na tak młodą osobę.

Ale dziewczyna nie ruszyła się z miejsca. Obserwowała szczupłą sylwetkę idącą wzdłuż zagrody dla koni. Śledziła Danny'ego wzrokiem, dopóki nie skręcił do winnicy i nie zniknął wśród bujnej zieleni winorośli.

- Dlaczego nie porozmawiałeś ze mną wcześniej? - rzuciła półgłosem w powietrze i uderzyła pięścią w ławkę aż huknęło, a ją zabolęła ręka. Podmuchała

na bolące miejsce i mruknęła jeszcze pod nosem kilka słów, których zdaniem matki w ogóle nie powinna znać. - Mogłabym cię wtedy przekonać, że to ja mam rację, a ty się mylisz, Danny! - Westchnęła, wpatrzona w ukwiecony dach nad sobą. Niebo widoczne było jedynie w postaci błękitnych plamek wśród zieleni i czerwieni. - Głupi Danny Connelly! -burknęła. Wiedziała, że jest już dla niej stracony.

Siedziała tak, dopóki nie ustąpił ból ręki. Wydłubała ze skóry ostatnie drzazgi i ruszyła za Dannyem do winnicy. Przycinanie winorośli szło jej niezbyt dobrze, ale umiała podwiązywać pędy. Mogła się zająć czymś pożytecznym, skoro matka i tak by ją wyrzuciła, gdyby poszła zapytać, jak się czuje wujek Adam. Albo, co gorsza, kazałaby jej zająć się dziećmi.

Bluzka prawie już wyschła, mogła więc pokazać się w niej przy Tommym i Jaredzie. Tommy nie miał tak przestraszonego spojrzenia jak brat. Była pewna, że aż by się oblizal, gdyby stanęła przed nim i wypięła piersi w niemal przezroczystej bluzce. Nie rozglądałby się na wszystkie strony jak Danny. Ale jej nie na Tommym zależało. Nie zamierzała przekraczać granic wyłącznie dla zabawy. Wyzywające zachowanie wobec innych niż Danny nic by jej nie dało. W ogóle nic by jej z tego nie przyszło. Postanowiła od tej pory zachowywać się nienagannie.

Młody człowiek ukrywał się w paprociach wysokich jak drzewa. Rosły na skraju bujnego, tropikalnego lasu, który ciągnął się od skraju niedawno oczyszczonej ziemi, na zachód od New Favourite aż do zachodniego wybrzeża Morza Tasmana, do szarych, piaszczystych plaż obramowanych koronkowymi formacjami z czarnej lawy i morza bezlitośnie pieniacego się przy brzegu.

Nie pierwszy raz tu przyszedł. Krążył między swoim starym domem na łagodnym i przyjaznym wschodnim wybrzeżu a nowym, położonym dalej na południowy zachód. Wciąż jeszcze nie odnalazł spokoju, mimo że pozornie był zadowolony z tego, co posiadali. Miał w sobie tęsknotę, niepokój i wiele niespełnionych marzeń. Miał też gniew. Ale nad nim umiał zapanować. Tłumił go.

Pierwszy raz dostrzegł ją przypadkiem. Nawet dobrze jej nie zapamiętał. Przypadkiem ujrzał ją też po raz drugi, ale wtedy była tak blisko, że zobaczył ją wyraźnie, i od tej pory przestał być sobą.

Całkiem się odmienił.

Właśnie dlatego tu wracał, raz za razem. Nikt nie mógł zrozumieć, skąd u niego ten niepokój. Nikt nie wiedział, dokąd idzie, kiedy znikał z domu. Ojciec wziął go na rozmowę i prosił o ostrożność, a on nawet mu to obiecał. Nie narażał się przecież na niebezpieczeństwo, nie ściągał też zagrożenia ani wstydu na rodzinę.

Ale musiał ją widywać.

Miała włosy jak niebo po wybuchu wulkanu. Jak słońce przeświecające przez rozpaloną chmurę. Cała była piękna, ale najpiękniejsze były jej włosy. To te miedziane loki złapały go w pułapkę.

Wiedział, że jest pracowita. Wiedział, że dobrze sobie radzi z dziećmi. I że nie jest całkiem pokorna wobec dorosłych. Zrozumiał też, że jest młodsza, niż w pierwszej chwili sądził, ufał więc, że potrafi się jeszcze nauczyć szacunku. Jeździła konno jak wiatr, a na jej widok w siodle serce zaczynało uderzać mu równie szybko i głośno jak kopyta konia, na którym

jechała. Często widział, jak sunie po polach niczym płonąca chmura, z włosami powiewającymi za nią jak żagiel.

Przypominała wtedy statek.

Zauważył, że zależy jej na jednym z rudowłosych chłopaków. Początkowo wziął ich za rodzeństwo. Myślał, że jest siostrą tych dwóch młodych mężczyzn, zrozumiał jednak, że się pomylił, gdy po raz pierwszy zobaczył, jak oferowała swoje wdzięki starszemu z braci, bo ci dwaj okazali się braćmi.

Od tej pory patrzył na nią nieco innymi oczami. Czuł taką zazdrość, że gotów byłby wbić sobie nóż w pierś i wyciąć serce. Nie sprawiłoby mu to większego bólu niż ten, który już odczuwał.

Kiedy się zorientował, że ów młody człowiek wcale jej nie chce, dzielił z nią jej ból. Mógłby odebrać życie temu, który nie zdawał sobie sprawy, z czego rezygnuje. Nienawidził tamtego, bo ona przez niego cierpiała, ale jednocześnie jego złamane serce się goiło. Nie miała nikogo. A on dalej tu przychodził. Wciąż ją obserwował, wciąż ją kochał, patrząc na nią z zielonej kryjówki, której nie śmiał opuścić. Wciąż cierpiał.

Teraz ona i ten młody chłopak znów się pogodzili, a on wiedział o niej już więcej. Wiedział, że jest silna i dumna. Trzymała się prosto, nawet gdy tamten od niej odchodził. Nawet wtedy, gdy całował ją w czoło.

Podobało mu się, że dziewczyna może być taka dumna.

Jego kobieta musiała być dumna. Musiała mieć swoją godność. Musiała być jedną z najpiękniejszych. Nikt nie mógł mieć wątpliwości, dlaczego wybrał właśnie ją. Musiała

umieć trzymać się prosto, nawet gdyby chciała spuścić głowę i zapłakać. Nawet gdyby wszyscy się od niej odwrócili. Musiała być najtwardszą ze wszystkich kobiet.

Powinna mieć w sobie dumę i godność.

Tak jak ta, która cieszyła jego oczy.

Czuł, że kocha ją jeszcze bardziej.

Kamienny krąg czekał na niego. Zsiadł z konia i wszedł weń. Słońce świeciło w sam środek, stanął więc w złocie słonecznego blasku. Uniósł ręce i pozwolił się błogosławić gorącym promieniom.

Zawsze miał zbudować krąg. To nie była zabawa ani przypadek.

Nie przybyła sama.

Szła boso. Włosy miała rozpuszczone. Nie upięła ich jak mężatka. Obcisła bluzka opinała jej ciało. Biodra kołysały się pod jasnoniebieską spódnicą.

To Seamus wprowadził ją do kręgu. Powiódł ją na kamień ofiarny.

Przez chwilę wydawało się, że tak być nie powinno.

Potem słońce go oślepiło i nie widział już nic oprócz ich ciał. Rosie i brata. Dwie czarne postacie wyłoniły się ze słońca. Wprost ze światła.

Gdy odzyskał zdolność widzenia, została już tylko ona. Tylko Rosie.

Objął ją w pasie; była taka miękka i chętna.

Słońce ich ogrzewało, z promieni utkało dla nich dywan, kiedy kładł ją na środku kamiennego kręgu. Słyszał fale oceanu bijące o czarne, kamieniste brzegi. Czuł zapach morza i aromat kwiatów płynący z wilgotnego, ponurego, tajemniczego lasu rozciągającego się nieopodal.

Czuł zapach Rosie. Nieznajomy i słodki.

Rude włosy ułożyły się na zielonej trawie jak wachlarz. Jej oczy były niczym skrawki nieba. Śmiały się do niego. I usta się śmiały. Piły z niego.

Zatopił się w niej.

W następnym śnie ujeżdżała go. Miedzianorude włosy nakryły ich oboje, spowiły płaszczem, niczym mgiełka unosząca się nad wodospadem.

Słońce grzało, więc nie marzli.

Ogarnęła go błogość. Od łędźwi aż po koniuszki palców, po włosy i paznokcie. Był zmęczony, ale zaspokojony. Zasnął w jej objęciach. Z policzkiem wtulonym w jej miękkie piersi.

W chwili gdy zachodziło słońce, wydało mu się, że widzi Seamusa. Brat był tylko mrocznym cieniem. Jakby się przyglądał dwóm nagim ciałom splecionym ze sobą. Rosie z uśpionym Adamem w ramionach. Jego opalonym ręką obejmującym drobne, szczupłe ciało.

Cień zniknął.

- Muszę wam wierzyć, skoro mówicie, że nie był w stanie się poruszyć.

Doktor Taylor nie miał zbyt wiele do zrobienia. Okazało się, że wyzwanie, na które szykował go Jeremy Jordan i które kazało mu natychmiast wsiąść do powozu, nie istnieje.

"Według Jordana pacjent niespełna dwanaście godzin wcześniej ledwie był w stanie mówić i poruszać gałkami ocznymi, a kiedy dotarli na miejsce, siedział w salonie, wygodnie oparty w fotelu.

- Byłem całkowicie sparaliżowany - przekonywał

Adam. Na kolanach trzymał śpiącego chłopca. - Nie mogłem poruszyć nawet głową.
- Rozumiem, że niefortunnie upadłeś? - spytał lekarz.
- Raczej dostał w zęby - sprostował Jeremy. - Pobiliśmy się. Ja go powaliłem.
- Ale następnym razem to ja ci dołożę, Jordan - obiecał Adam.
- Nie chce się wierzyć, żeby od tego mogło cię sparaliżować. Nie sądziłem, by coś takiego było w ogóle możliwe. Jedno uderzenie i upadek nie mogły spowodować stanu, który opisujecie. Nawet tymczasowo. Nigdy nie słyszałem o podobnym przypadku - stwierdził Harvey Taylor, przyglądając się Adamowi z bliska. - Nie jesteś chuderlakiem, O'Connor.
- Wszyscy tutaj to widzieli - potwierdziła Fiona, która także nie znajdowała żadnego wytłumaczenia dla tego cudu. - Musieliśmy przenieść go do domu na drzwiach. Byliśmy pewni, że już do końca życia będzie kaleką przykutym do łóżka, doktorze. Ileż ja się nad nim napłakałam w kuchni! Ciągle mam czerwone oczy.
- A mnie kazałaś nie tracić otuchy - zauważył Adam.
- Miałam ci powiedzieć, że równie dobrze mogę cię zastrzelić jak kulawego konia?
- Właśnie trochę tak się czułem. Jak kulawy koń - przyznał Adam.
- Nie rozumiem - westchnął doktor Taylor. - Pozwolisz, że cię zbadam?
- Może jutro. - Adam wstał, z synkiem w ramionach. - Na razie muszę go położyć. Nie wierzyłem, że jeszcze kiedykolwiek będę mógł go objąć. Nie sądziłem, że w ogóle kiedykolwiek stanę na nogi!

Zapadła cisza, kiedy wynosił uśpionego jedenastolatka na korytarz prowadzący do sypialni.

- Naprawdę tego nie rozumiem - powtórzył lekarz jeszcze raz.

- My także - wtrącił Danny.

- Zapłacimy panu, doktorze - zapewniła Fiona z powagą i wytarła ręce o biodra jak o fartuch. - Może pan u mnie przenocować.

Widząc zakłopotaną minę niezbyt młodego lekarza, zorientowała się, że mógł ją źle zrozumieć. Mało brakowało, a sama by się zaczerwieniła, ponieważ jednak pochodziła z postępowej rodziny, szybko dodała:

-Zawsze znajdzie się jakiś wolny pokój u mnie, moich trojga dzieci i dwóch dorosłych przybranych synów. - Skinęła przy tym głową, wskazując na Tom-my'ego i Danny'ego. Siobhan zaczęła kaszleć, ale pod surowym spojrzeniem Danny'ego zaraz się opanowała.

- Nie wiedziałem, że ma pani tak dużą rodzinę, pani Johnson.

- Proszę mi mówić Fiona - zaproponowała. - Przyjechał pan aż z Auckland, żeby ratować mojego brata, doktorze, więc uważam pana za przyjaciela. A przyjaciele nazywają mnie po prostu Fioną.

- To dla mnie zaszczyt i radość. - Lekarz lekko się skłonił. Starał się jednak unikać jej imienia, sam też nie zachęcił, by zwracała się do niego po imieniu.

-Jego przyjaciele na pewno nazywają go doktorem - szepnęła Siobhan do Danny'ego. Chłopak z trudem zachowywał powagę, głównie dlatego, że sprawiał mu przykrość widok Fiony tak otwarcie flirtującej ze starym dziadem z Auckland. Rzeczywiście, przyjechał od razu, ale co z tego? Dostanie sowite

wynagrodzenie za fatygę. Z pewnością nawet więcej, niż gdyby naprawdę miał tu coś do roboty, bo przecież wszyscy mieli poczucie winy, że niepotrzebnie ściągnęli go aż z tak daleka.

-Adam sobie poradzi - oświadczyła Fiona. - Zaraz przygotuję u siebie coś do jedzenia. Mieszkam tuż obok, wystarczy przejść przez podwórze - wyjaśniła.

-My też pójdziemy jako przyzwoitki. - Siobhan przyczepiła się do braci Connelly. Tommy spojrział na nią, a potem na Danny'ego.

- Od kiedy znów jesteście przyjaciółmi?

- Przyjaciółmi byliśmy zawsze - odparła Siobhan. Danny ostrzegawczo mrugnął do brata, który patrzył na niego pytająco ponad głową dziewczyny.

-No tak, rzeczywiście - przyznał Tommy. - Zawsze byliście przyjaciółmi.

- Co się stało? - spytał Jeremy, kiedy Roza wyszła z nim w noc. Usiadł na schodach domu Adama i oparł się o balustradę. Bolało go całe ciało. Czuł nawet te mięśnie, z których istnienia nie zdawał sobie sprawy. Miał wrażenie, że przez najbliższe dwa tygodnie nie zdoła wsiąść na konia.

- Nie mógł się ruszyć. - Roza usiłowała liczyć gwiazdy nad głową. Było to równie niemożliwe jak zrozumienie tego, co się stało właściwie w jej ramionach. - A potem odzyskał czucie i wszystko jest jak dawniej. Nic mu nie dolega.

- Dlaczego nie mogę w to uwierzyć?

- Naprawdę tak było - zapewniła.

Powietrze wydawało jej się wyjątkowo chłodne. Zmarzła.

Jeremy poklepał stopień, na którym siedział, i Roza

usiadła dokładnie we wskazanym przez niego miejscu. Pozwoliła mu się objąć.

- Przecież ty jesteś cała mokra! - zawołał. - Wpadłaś do poidła dla koni?

- To jego pot - powiedziała.

- Adama? - spytał odrobinę ostrzej, niż zamierzał. Kiwnęła głową, wtulona w jego ramię.

- Ty go uzdrowiłaś? - Jeremy coraz mniej z tego rozumiał. Miał wrażenie, jakby kruche, stare, pożółkłe koronki rozpadały mu się w niezgrabnych palcach.

- Chyba nie.

- Opowiadaj! - poprosił, zastanawiając się, jak długo można wytrzymać bez snu.

Przedtem czuł się straszliwie śpiący, lecz nagle całkiem oprzytomniał.

- Mam mówić prawdę?

- Przecież jesteśmy wobec siebie szczerzy - powiedział, dotykając wargami jej czoła.

- On się bał zasnąć - zaczęła Roza. - Dlatego położyłam się przy nim i objęłam go jak dziecko. Zapadł w sen. Ja się starałam nie spać. Chciałam czuwać nad nim cały czas, ale jednak też przysnęłam. A kiedy się obudziłam, obejmował mnie. Mógł się już ruszać.

- Spałaś razem z nim? - spytał urażony Jeremy.

- Obejmowałam go tylko. On jest dla mnie jak brat, Jeremy. Strasznie się pocił. Właśnie dlatego jestem cała mokra. Nie zdążyłam się przebrać...

Przeklęty Adam!

Jeremy nie powiedział tego głośno i nie dodał, że Adam wcale nie jest jej bratem. Nie zamierzał podsuwać jej myśli, które do tej pory nie przyszły jej do głowy. Trzymał gębę na kłódkę, bo przecież wcale nie miał do niej większych praw niż ktokolwiek inny.

- Możemy dzisiaj spać razem? - spytała.

- Nie będę spał pod jego dachem.
- Pójdę z tobą do stajni.
- Na pewno? Kiwnęła głową.

Jeremy wziął ją na ręce i zaniósł do skromnego, nagiego pokoiku, który zajmował. Rozebrał ją z wilgotnego ubrania pachnącego innym mężczyzną i powiesił je na poręczy schodów za drzwiami. Zdmuchnął lampę, zanim się rozebrał. Ubranie rzucił na podłogę. Zadrżał w nocnym powietrzu. W stajni było chłodno, kiedy się nie paliło. A latem przecież nie grzali.

Otworzyła ramiona, a on zamknął oczy, by nie ryzykować spotkania z jej spojrzeniem. Nie chciał mieć wyrzutów sumienia. Domyślał się, że o czymś mu nie powiedziała, że wciąż zachowała coś tylko dla siebie, ale to raczej nie miało związku z Adamem. I właśnie w tym znajdował pewną pociechę.

- Kochaj mnie - poprosiła.

Jeremy pocałował ją i spełnił jej życzenie.

Rozdział 8

- Nie możemy tam przyjechać tak świetnie wyposażeni, bo ludzie zaczną się zastanawiać, czego naprawdę szukamy - powiedział Jeremy. Próbował przekonać Fionę, że obaj mają w jukach więcej, niż potrzebują.

- Żaden z was nie musi tam jechać.
- Ale obaj chcemy - odparł zdecydowanie Jeremy.
- Źle robicie. - Fiona podeszła jeszcze bliżej, żeby nie podnosić głosu. - Sądziłam, że osiągnąłeś z Rosie coś w rodzaju porozumienia?
- Nie wzbudzaj u Danny'ego poczucia winy - poprosił równie cicho Jeremy. - Ze mną to się nie uda, dobrze o tym wiesz!
- Tak dobrze się między wami układało - rzuciła z miną swatki.
- Spędziliśmy razem kilka nocy - poprawił ją Jeremy. - W ciągu dnia nic nie było takie, jak powinno być. A ty wystraszyłaś do szaleństwa doktora Taylora. Wrócił do Auckland przekonany, że jesteś niebezpieczną wdową czyhającą na mężczyzn, którym udziela schronienia. Fiona się uśmiechnęła. Wizyta lekarza stała się nieustającym powodem do żartów w ciągu tygodni po tamtej przerażającej przygodzie Adama. Później sama zrozumiała, że inni słusznie krytykowali jej zachowanie wobec doktora Taylora. Wtedy jednak nie widziała w tym nic niestosownego, po prostu okazywała życzliwość i gościnność. Starła się być miłą, nie natarczywą. W każdym razie wcale nie zarzuciła się na lekarza, chociaż tak uważała nawet jej córka.
- Skąd mogłam wiedzieć, że jest kawalerem? - broniła się. - Nie przypuszczałam, że tak się boi kobiet. Na miłość boską, to przecież lekarz! Myślałam, że z niejedną kobietą miał już do czynienia.
- Ale nie z taką jak ty - stwierdził Jeremy. - Ja się nie mieszam w twoje życie, Fiono. Dla mnie możesz uwodzić lekarza. Pewnie by się przydał jakiś doktor w okolicy. To już zależy od ciebie.

- Po prostu pomyślałam, że to się zaczyna nieźle zapowiadać. - Fiona wróciła do przerwanej wątku. - Że może jednak łączy was coś, co przetrwa. Rosie jest dla mnie jak siostra...

- Roz jest wspaniała - zapewnił Jeremy. - Zasluguje na kogoś przyzwoitego, jeśli w ogóle zechce się z kimś wiązać. Ale to nie będę ja. I nie wtrącaj się do tego, Fiono. To nasze życie. - Ale ty wrócisz z Coromandel? - Jeśli przeżyję - odpowiedział wesoło.

Fiona zazgrzytała zębami i mocno go uściskała, zaraz jednak pośpieszyła do Danny'ego, który żegnał się z Siobhan. Cieszyło ją, że się pogodzili. Prawdopodobnie nigdy się nie dowie, co między nimi zaszło, ale nauczyła się już, że matki nie muszą wszystkiego wiedzieć. Nie była w stanie zapobiec wszystkim katastrofom w życiu swoich dzieci. Nie mogła przeżyć życia za nich.

- Nie powiem, że jesteś za młody na wyjazd - zwróciła się do Danny'ego. - Zostań - powstrzymała córkę, która chciała odejść.

Siobhan wymieniła spojrzenia z Dannym i została. Fiona dostrzegła w niej jakiś nowy, nieznany rys. Siobhan miała z Dannym tajemnicę. Serce Fiony ścisnęła matczyna troska. Niemożliwe, by jej dziecko łączyło z tym dorosłym mężczyzną coś, czego nie zauważyła. Myślała już, że młodzieńcze zadurzenie Siobhan minęło i córka wyszła z tego obronną ręką, że ucierpiała na tym tylko jej duma. Siobhan w jednej chwili miała rozgwieżdżone oczy i nie odstępowała Danny'ego na krok, a za moment już z nim nie rozmawiała i unikała go jak zadżumionego. A teraz wymieniali spojrzenia, których ona, matka, nie potrafiła odczytać. Taka zmiana nastrojów jest właściwa młodości, o tym Fiona wiedziała. Ale ojciec Siobhan, rów-

niez Daniel, miewał humory tak zmienne jak pogoda w Irlandii. Od pewnego czasu Fiona zaczęła zauważać, że córka staje się do niego podobna. Miała nadzieję, że to tylko młodość, bo doprawdy, trudno żyć z takim charakterem.

- Uważaj na siebie, Danny! - powiedziała ostrzej, niż zamierzała, bo bardziej niepokoiła się o córkę niż o chłopaka. Danny był raczej rozsądny. Da sobie radę. A jeśli się zorientuje, że na półwyspie na wschodzie nie ma dla niego przyszłości, z pewnością wróci. Pod tym względem Fiona miała do niego większe zaufanie niż do Jeremy'ego. Jeremy byłby gotów dalej się pograżać, byle tylko ratować honor, twarz, nie wiadomo co. A dla Danny'ego ważniejsi byli ludzie niż powierzchowne uznanie.

-Wracaj do domu, jeśli tylko uznasz to za słuszne! - Fiona stanęła na palcach, żeby go pocałować w oba policzki, i zaraz odeszła. Nie zauważyła zranionego spojrzenia ani smutnego uśmiechu, od którego robiły mu się dołeczki w policzkach. Miała na głowie inne sprawy, inne zmartwienia, inne obowiązki.

- Ona wie - powiedział Danny cicho do Siobhan, która nie ruszyła się nawet o cal i też nie spuszczała wzroku z pleców matki. - Ona wie - powtórzył.

- Niczego nie wie - zapewniła Siobhan. - Nie potrafi sobie tego nawet wyobrazić. Tak samo, jak nie jest w stanie pokochać cię tak, jakbyś chciał.

Danny spuścił głowę.

-Jesteś jej dzieckiem - dodała Siobhan. Nie chciała być aż tak bezwzględna, ale doszła do wniosku, że najlepiej będzie, jeżeli ktoś zmusi go do spojrzenia prawdzie w oczy. I to tej prawdzie, którą widzieli inni, a nie tej, którą tworzył w myślach. - Jest od ciebie prawie o trzynaście lat starsza, Danny. Uważa cię za dzieciaka, kogoś takiego jak ja.

- Nie mów już nic więcej.

- Chcę tylko, żebyś wiedział, jak jest naprawdę -dodała Siobhan. - Chcę mieć pewność, że to rozumiesz. Ktoś musiał ci o tym powiedzieć!

Twarz rozjaśniła jej się w uśmiechu, jaki ostatnio widywał u niej coraz częściej, i Danny uświadomił sobie, że lubi, kiedy Siobhan się uśmiecha. Brakowało mu tych uśmiechów przez te długie miesiące, kiedy wielbiła go z tak wielką powagą, że prawie wcale się nie uśmiechała.

- To chyba sprawiedliwe, że mnie przypadła w udziale ta przyjemność. Nie sądzisz, Danny?

-Jesteś bez serca - powiedział, bo czuł, że znów wolno mu się z nią drażnić. Nie sądził, by kiedykolwiek zaczął uważać ją za siostrę. Już od dłuższego czasu nie było to możliwe. Za bardzo stała się kobietą, a on miał tego pełną świadomość. Siobhan tak samo nie była dla niego siostrą, jak Fiona matką. To bolało. Danny nie zadawał sobie pytania, co boli bardziej. Nie chciał znać odpowiedzi.

- Nie wiesz, co mówisz - odparła. - I chyba nigdy się nie dowiesz, jak wielkie naprawdę mam serce.

Przycisnęła rękę do piersi. Danny był zmuszony śledzić wzrokiem ruch jej drobnej dłoni. Bluzka Siobhan opinała się na piersiach, budząc fantazje, jakich sobie nie życzył. Starał się też nie widzieć jej uśmiechu, który świadczył o takiej wiedzy, że gotów był zaczerwienić się zaraz ze wstydu.

-Chyba się domyślam - powiedział, odwracając od niej wzrok.

-Będzie mi ciebie brakowało, Danny Connelly. Ale tęsknić za tobą nie będę.

- To rzeczywiście pociecha - rzucił takim samym żartobliwym tonem. - Nie chciałbym wrócić i zobaczyć, że z tęsknoty wypłakałaś sobie oczy. Nie dostaniesz ode mnie największej grudki złota, jaką znajdę, Siobhan, ale drugą z kolei ci dam.

- Na pewno?

- Na pewno.

- Bez względu na jej wielkość? - spytała.

- Myślę, że będzie niewielka, ale z pewnością przeznaczę ją dla ciebie. Obiecuję.

Siobhan uściskała go z całej siły. Wreszcie mogła go obejmować. I chociaż właściwie jej gorące uczucia do niego zblakły, i tak sprawiło jej to przyjemność.

Danny wysunął się z jej objęć, kiedy nie mógł już dłużej znieść tych uścisków. Czuł, że wszyscy się na nich gapią, a już na pewno Fiona. Spojrzał ponad ramieniem Siobhan i zobaczył jej zatroskane oczy. Wiedział, czego się boi. A on przecież nie chciał przysparzać Fionie zmartwień, zresztą nie było ku temu powodów. Siobhan to jeszcze dziecko. Bardzo ją lubił, nic poza tym. Między nimi nigdy nie będzie nic więcej, ale wszyscy na nich patrzyli i myśleli swoje. Danny cieszył się, że wyjeżdża.

- Tylko nie wyobrażaj sobie za wiele! Uśmiechnęła się szeroko, wciąż trzymając go za rękę. Nie chciała puścić. Chwila była piękna. Siobhan widziała jego zażenowanie i bardziej się domyślała, niż rozumiała, że ten nowy lęk ma podwójne dno.

- Nie chcesz chyba powiedzieć, że duży, silny mężczyzna boi się mnie?

- Mamy pozostać przyjaciółmi - przypomniał. - A nie igrać z tym, co ustaliliśmy.

- Jesteśmy przyjaciółmi. - Siobhan uśmiechnęła się łobuzersko. Powinien był przewidzieć, co się stanie,

ale nie przewidział. Głównie dlatego, że wciąż się oszukiwał, że wciąż uważał ją za dziecko, jakby młodszą siostrę.

Tymczasem Siobhan stanęła na palcach i przycisnęła usta do jego warg w gorącym pocałunku. Uśmiechnęła się na widok jego zdumienia.

- A więc żegnaj, przyjacielu! - powiedziała i zostawiła go oniemiałego.

- Czy Siobhan i Danny są parą? - spytała Lily, mrużąc oczy. - Całują się!
Jeremy natychmiast pocałował ją w czubek nosa.

- My nie jesteśmy parą, a właśnie cię pocałowałem.

- Niemądry jesteś, Jeremy! - zachichotała dziewczynka.

- Może i tak.

- Jesteś głupi, że wyjeżdżasz - ciągnęła Lily. - Nie masz już dość złota?

- Może uważam, że samo szukanie złota jest ciekawe?

Wzruszyła ramionami, ale uważnie mu się przyglądała. Siedziała u niego na kolanach, ręce zarzuciła mu na szyję i nie chciała go puścić. Była przedostatnią osobą, z którą się żegnał. Została jeszcze Rosie. Z Mattem nie poszło trudno. Chłopiec rozumiał więcej, niż mówił. Jeremy często myślał, że Matt to doskonały materiał na syna. Jeśli nie będzie miał własnych dzieci, może go tak nazywać. Nie mógłby sobie wymarzyć lepszego syna.

Jordy był za mały, by rozumieć wielkie rozstania. Uśmiechał się do wszystkiego i wszystkich, tak jak powinno być. Mikey'owi Jeremy tylko zmierzwił włosy. Między nimi nie było takiej bliskości jak z pozostałą dwójką. Dla Lily jednak to rozstanie okazało się naprawdę ciężkie.

- Myślałam, że kiedy tu wreszcie przyjedziemy, będziemy wszyscy razem - powiedziała, tuląc policzek do jego ramienia. - Przecież tak miało być!

-Czy kiedykolwiek to obiecywałem? - spytał cicho.

- Nie - odszepnęła.

-Ja nie łamię obietnic, prawda?

- Nie, Jeremy. Ale myślałam, że i ty tu zostaniesz. Sądziłam, że nas kochasz.

- Kocham.

- Możemy pojechać z tobą - zaproponowała Lily. - Przecież już dawniej poszukiwaliśmy złota. Ja, mama i Jordy możemy pojechać z wami. Z tobą i Dannym. Matt też. Jemu także się nie podoba, że wyjeżdżasz.

- A Mikey? - spytał Jeremy, gwałtownie mrugając, by nie pokazać łez.

-Mikey raczej musi tu zostać - odparła Lily poważnie, pociągając nosem. - On tutaj mieszka...

Jeremy pocałował dziewczynkę w czoło i pogłaskał po włosach. Lily była wyjątkowym dzieckiem, wcale nie tak samolubnym, jak im się czasami wydawało. Nie powinni tak jej oceniać. Była ciepłą i serdeczną istotką, zdolną do poświęceń. Chciała zrezygnować z przebywania z bratem, którego kochała ponad wszystko w świecie! To chyba największy prezent, jaki mogła mi dać, pomyślał Jeremy.

-I wy tutaj mieszkacie, księżniczko - powiedział cicho, patrząc w poważne oczy dziewczynki. - Musicie tu zostać. Wszystkie przygody związane z poszukiwaniem złota zostawcie Danny'emu i mnie. A poza tym będziemy tak blisko, że możemy przyjechać do domu. I przyjedziemy. Wrócimy.

- Obiecujesz?

Kiwnął poważnie głową. -Ja dotrzymuję obietnic.

To ją pocieszyło. Jeremy nie wspomniał jednak, że jest pewna obietnica, którą postara się łamać na tyle często, by zwrócić Rozie wolność. Ale tu chodziło o przysięgę, której nie złożył dobrowolnie.

- Chciałabym, żebyś przyjechał już niedługo, Jeremy. Tak cię kocham!

-A ja ciebie, księżniczko.

Przytulił swój policzek do jej policzka i poczuł, że dziewczynka płacze. Ucałowała go na mokro. Kiedy ją w końcu puścił, pobiegła do innych dzieci, ani razu się nie oglądając.

- Nie okłamałem jej - powiedział Jeremy do Rozy, która przysłuchiwała się jego rozmowie z Lily. Ostatnią noc również spędzili razem. Od czasu wypadku Adama wiele było takich nocy. Jeremy wciąż nie wiedział, dlaczego ona szuka jego bliskości. Nigdy nie uzyskał na to jasnej odpowiedzi. Prawdopodobnie dlatego, że nie miał odwagi zapytać wprost. Nie byli ze sobą każdej nocy, lecz na tyle często, by Adam zaczął patrzeć na Jeremy'ego wilkiem, a Fiona zaczęła wierzyć, że ich małżeństwo okaże się prawdziwe i takim pozostanie, z błogosławieństwem niebios.

Nawet dzieci o tym wiedziały. Gdy Lily nie zastawała matki w domu, od razu biegła do pokoiku nad stajnią.

- Wyjeżdżam za wcześnie? - spytał Jeremy. To samo pytanie zadał Rozie, kiedy w nocy wślizgnęła się do niego pod prześcieradło.

Odpowiedziała tak jak poprzednio: -Nie.

- Nie wyjadę, jeśli mnie potrzebujesz.

Pokręciła głową i lekko jak skrzydłem motyla musnęła jego wargi.

- Przecież i tak wyjedziesz, Jeremy. - A ty mnie nie potrzebujesz?

- A ja cię nie potrzebuję. Jedź. Musisz wyjechać, zanim nadejdzie zima. - Wzruszyła ramionami. - Może do zimy zdążysz nawet wrócić?

- Wydaje mi się, że w Coromandel złota nie zbiera się jak jabłek, Roz.

Porozumieli się uśmiechem, bez słów. Oboje wiedzieli, do czego on zmierza.

- Ale podobno pogoda tam lepsza niż w Viktorii.

Nie dotykali się. Nie było uścisków ani niekończących się pocałunków. Pożegnali się już wcześniej. Zabrało im to wiele nocy. Nie było powodów, by dłużej to przeciągać. Nie prosili się nawet nawzajem, by uważać na siebie. Tej oczywistości nie uznali za stosowne sobie powtarzać.

Młodemu człowiekowi nie podobało się, że dziewczyna pocałowała rudowłosego. Wiedział, co oznacza pocałunek. Lata spędzone w szkole prowadzonej przez misjonarzy dały mu gruntowną wiedzę o sposobie myślenia obcych. Wiedział, jak ważne było dla Pakeha dotykanie się wargami.

Bardzo by się tym przejął, gdyby to nie było pożegnanie. Mężczyzna o czerwonych włosach wyjeżdżał razem z tym najbardziej beztroskim z nich wszystkich, z tym chudym i żylastym. Tym, który był wędrowcem.

Ona nie żegnała się tak, jak kobiety Pakeha żegnają się z mężczyznami, których uważają za swoich. Pocałunek mógł oczywiście mieć inne znaczenie niż to,

które on odczytał, ale młody człowiek nie miał ochoty się nad tym zastanawiać. Poza tym tamten wyjeżdżał. Gdyby chciał ją dla siebie, to by został. Albo zabrałby ją ze sobą. A teraz była wolna.

Postanowił, że wkrótce się przed nią ujawni. Pragnął, by go zobaczyła i by wiedziała o jego istnieniu. Nie wystarczało mu już samo patrzenie na nią. Musiała wiedzieć, że on jest. Musiała go zobaczyć i przywyknąć do niego. Młody człowiek nie chciał tracić więcej czasu.

Zaczęli się zastanawiać, dokąd on chodzi. Zaczęli o nim mówić. Stryj wziął go na bok i spytał, czy znalazł sobie kobietę w innej wiosce, pa. Musiał powiedzieć prawdę, że ona jest z innej wioski. Nie miał jednak odwagi przyznać, że to wioska Pakeha. I nie odważył się wspomnieć, że kobieta jest biała.

Kiedy wszystkie obowiązki na ten dzień były już wykonane, Siobhan sama osiodłała konia. Zapowiedziała, że wyrusza na przejażdżkę, ale zniknęła tak prędko, iż nikt nie zdążył nawet zaproponować, że się z nią wybierze. Wszyscy wiedzieli, że dziewczyna świetnie jeździ konno, a po wyjeździe Danny'ego uznano najwyraźniej, że nie potrzebuje przyzwoitki. Nawet jej matka uśmiechnęła się zachęcająco i poprosiła tylko, żeby nie zabawiała zbyt długo.

Siobhan jechała na porządnym siodle. Spódnicę miała podciągniętą nad kolana i ani trochę nie przejmowała się tym, że pokazuje więcej gołego ciała, niż wypadało. Od najbliższych sąsiadów dzieliło ich wiele, wiele mil. Nikt nie mógł jej tu zaskoczyć. W pobliżu była jedynie ta nieduża grupka ludzi, których nazywała rodziną, nikt więcej. Nie miała się kogo

bać. Nikogo nie można było spotkać ani nawet mieć nadziei, że się spotka. Po wyjeździe Danny'ego dni staną się nudne i ubogie.

Dojechała do miejsca, w którym strumień tworzył nieduże zakole. Było to dobre miejsce na postój. Koń też je lubił, bo mógł się schować w cieniu przed wieczornym słońcem. A poza tym znajdowało się niedaleko farmy, miała więc pewność, że zdąży wrócić do domu przed zapadnięciem ciemności. Lubiła odpoczywać w cieniu dużych drzewiastych paproci, wysokością dorównującym niemal drzewom kapuścianym nad brzegiem strumienia. Dookoła panował taki spokój. Słyszała śpiew ptaków, szum strumienia i szelest wiatru. Poza tym była tylko ona i koń. Komuś, kto mieszkał w tak bliskim otoczeniu ludzi w różnym wieku, miło było znaleźć takie miejsce tylko dla siebie.

Zrzuciła buty do konnej jazdy i zsunęła pończochy. Mogła zanurzyć stopy w przyjemnie chłodnej wodzie. Lady Gray, którą pożyczyła od wuja, co prawda bez pytania, patrzyła na nią, jakby się zastanawiała, co ona robi. Siobhan westchnęła, ale nie zamierzała tłumaczyć się klaczy. Nie należała do tych, którzy rozmawiają w buszu sami ze sobą albo ze zwierzętami.

Postanowiła, że nie będzie rozmyślać o Dannym. Przyjacielski układ nie był wcale głupi, chociaż wiele wysiłku kosztowało ją, aby takim pozostał. Nauczyła się przynajmniej nie widzieć w nim księcia i powoli dostrzegła u niego inne strony, których wcześniej nie zauważała, mimo że zawsze były, bo w jej myślach Danny stawał się coraz wspanialszy. Może dzięki rozstaniu spojrzy na niego inaczej.

Podciągnęła spódnicę jeszcze wyżej i zanurzyła

nogi w chłodnej wodzie po kolana. Przyjemność była tak wielka, że aż zamknęła oczy. Po wyjściu na brzeg okazało się, że trochę zamoczyła skraj spódnicy, ale wiedziała, że materiał wyschnie, zanim dojedzie z powrotem do New Favourite, a wilgotnej halki nie zauważy nikt oprócz niej. Matce nie musi spowiadać się ze wszystkiego. Przy odrobinie szczęścia Fiona nawet nie zwróci na to uwagi. Siobhan przeczesła włosy palcami, napawając się łagodnym, ciepłym powietrzem.

Nie wiedziała, dlaczego się odwróciła. Jakby przeczucie jej to nakazało. Jakieś mrowienie skóry. A może nie. Może dodała to już później, kiedy musiała się przed sobą tłumaczyć. Po prostu się odwróciła.

On tam stał.

Był ubrany jak biały człowiek, w prostej, szarobiałej koszuli, w znoszonych, jasnych, bawełnianych spodniach, podtrzymywanych kolorowym, tkanym paskiem. Stał bosy w cieniu paproci. Siobhan instynktownie czuła, że stał tak już długo. Wiedziała, że na nią patrzył. Ale się nie bała.

Nie czuła strachu, nawet zanim się odezwał. Uśmiechnęła się. Otworzyła się na niego, gdy tylko mu się przyjrzała.

A on ledwie śmiał oddychać. Ona była jeszcze bardziej odpowiednia, niż to sobie wyobrażał. Pakeha, ale bardziej dla niego odpowiednia niż jakakolwiek młoda Maoryska, którymi usiłowali zainteresować go starsi z rodziny.

- Nie bój się Jaya! - powiedział.

Przyjemne brzmienie jego głosu pasowało do innych odgłosów buszu. Głos nie był ani przenikliwy,

ani gruby, nie straszył niczego, co ich otaczało, a zakole strumienia wciąż należało do niej, mimo że on wyłonił się z lasu. Nagle nabrała pewności, że on przychodził tu od dawna, że patrzył na nią nie pierwszy raz. Spoglądał na nią tak, jakby byli starymi znajomymi. Sprawiał wrażenie, że zna ją lepiej niż ona jego, a to akurat nie bardzo Siobhan się podobało. Jay. Miał na imię Jay.

- Nie boję się ciebie, Jay - powiedziała, z przyjemnością wypowiadając jego imię. - Nie sądziłam, że używacie angielskich imion - wyrwało się jej.

- Ojciec dał mi angielskie imię na angielskim chrzcie - odparł młody Maorys. - Chodziłem do szkoły u angielskich misjonarzy.

To tłumaczyło, dlaczego mówi w jej języku równie dobrze jak ona sama. A może i lepiej. Ma bardziej brytyjski akcent, pomyślała Siobhan, która mieszała amerykańskie słowa z irlandzkimi.

- Chodź, usiądź koło mnie - poprosiła, wskazując miejsce na zielonej trawie.

Jay się nie wahał. Miał w sobie wielką godność. Usiadł, zachowując należyłą odległość, ale na tyle blisko, że Siobhan mogłaby go dotknąć, gdyby zechciała. Przyglądała mu się bez skrępowania, a jemu to nie przeszkadzało. Odwrócił się do niej i pozwalał na siebie patrzeć. Sam równie wnikliwie przypatrywał się jej, a Siobhan aż trochę zdziwiło, że nie widzi w tym nic złego. Od Jaya bił ogromny spokój.

Był wysoki i szczupły, chyba dobrze zbudowany, ale ponieważ nosił obszerne ubranie, nie mogła być tego pewna. Może po prostu tak go sobie wyobrażała, bo poruszał się bez wysiłku, lekko, a to wymaga silnych mięśni.

Jay. Siobhan nigdy wcześniej nie widziała Maory-

sa z tak bliska. Kiedy spotykała ich w Auckland, matka zawsze ją upominała, że ma się nie gapić, chociaż sama nie mogła od nich oderwać wzroku. Raz jakiś stary Maorys pokazał jej język; Siobhan poczuła się wtedy o wiele bardziej prymitywna i niekulturalna niż on.

Ale Jay wcale się tak nie zachowywał. Siedział spokojnie i pozwalał się oglądać. Nie mógł być dużo starszy od niej, najwyżej kilka lat. Młodszy od Dan-ny'ego. Miał gładką skórę, tylko trochę ciemniejszą niż miód, kształtny nos tej samej długości co jej, pełne wargi. Prawie europejskie rysy, może bardziej miękkie. No i oczy w kształcie dużych migdałów, brązowe jak orzechy laskowe. Rzęsy gęste i ciemne, grube, proste brwi. Gładkie czoło, nienaznaczone żadnymi zmartwieniami. Brązowoczarne włosy odgarnięte do tyłu. W płatku jednego ucha Siobhan zauważyła dziurkę, ale pustą. Nie nosił żadnych ozdób oprócz zawieszzonego na szyi na rzemyku kościanego wisiorka przedstawiającego postać kobiecą albo węża, a może jedno i drugie, w kształcie zbliżonym do litery S. Piękny przykład maoryskiego rzemiosła.

I on był piękny.

- Mam na imię Siobhan - powiedziała. Smakował jej imię.

- Sze- wan?

Kiwnęła głową i zaczekała, aż powtórzy je kilka razy, aż w końcu się go nauczy.

- Kim ty jesteś, Jay? - spytała. - Dlaczego tu jesteś?

- Bo ty tu jesteś, Siobhan - odparł, jakby zdumiony pytaniem o coś tak oczywistego.

Może powinna dosiąść Lady Gray i odjechać stąd co koń wyskoczy. Może był to pierwszy i jedyny moment możliwy do ucieczki. Później wszystko miało

się wiązać z tą sekundą, kiedy Siobhan uśmiechnęła się do młodego Maorysa, zamiast odjechać, jak zrobiłaby każda dobrze wychowana i przyzwoita brytyjska dziewczyna. Żadna kobieta Pakeha nie siedziała by i nie rozmawiała z dzikusiem tak jak ona.

- Często mnie widywałeś? - zapytała. Pod jego otwartym spojrzeniem czuła mrowienie w koniuszkach palców i w wargach. Pochlebiało jej, że tak na nią patrzył. Pochlebiało jej, że oprócz niej zdawał się niczego nie dostrzegać. To było niezwykle, wprost niebywale emocjonujące. - Często - odparł. - Od wielu miesięcy.

Mogła się wystraszyć, ale Jay nie wydał jej się bardziej przerażający i niebezpieczny niż Danny czy Tommy. Siobhan wychowywała się z chłopcami. Widziała, jak stają się młodymi mężczyznami, i ani trochę się ich nie bała.

- Dlaczego nigdy cię nie widziałam? - zdziwiła się. - Dlaczego dotąd cię nie zauważyłam?

- Bo nie była pora na to - stwierdził. - Byłem w przyjaźni z drzewami.

- A dlaczego teraz pozwoliłeś mi się zobaczyć?

- Bo przyszedł na to czas - powiedział z taką samą oczywistością. - Siobhan musiała zobaczyć Jaya. Nadeszła pora, abyśmy się poznali.

Nawet to jej nie wystraszyło.

- Możesz przyjść do mnie do domu. Pokręcił głową.

- Na to jeszcze nie czas.

Chyba właśnie dlatego Siobhan uznała, że nikomu o nim nie powie. Jay pozostanie jej tajemnicą. Wjechała na podwórze z rozpalonymi policzkami i błyszczącymi oczami. Dorośli stwierdzili, że przejażdżka świetnie jej zrobiła i że Siobhan tak napraw-

dę jest rozsądną dziewczyną. Rozstanie z Dannym dobrze na nią wpłynęło. Najwyraźniej przyjęła je lepiej, niż się spodziewali.

A Siobhan już prawie zapomniała o Dannym.

Kiedy zasypiała, pod powiekami miała obraz zupełnie innego chłopca.

Rozdział 9

Michael mówił o kamiennym kręgu od dnia, gdy Roza z dziećmi przybyli do Waimauku. Od razu chciał im go pokazać, ale jak dotąd, nie było na to czasu. Adam widział, jak bardzo Mikey jest rozczarowany, że nie mogą pojechać na wybrzeże, i w końcu postanowił, że się tam wybiorą. Wyglądało na to, że dobra pogoda się utrzyma, a krótkie, niemal codzienne ulewy zdawały się nie szkodzić winogronom. Grona miały czas, żeby wyschnąć. Chodził między rzędami winorośli i sprawdzał miejsca najbardziej narażone na gnicie, ale na razie nie było widać oznak pleśni ani mączniaka. Robił to codziennie z sercem w gardle, bo tak niewiele potrzeba, żeby zbiory się nie udały. Ryzyko było ogromne.

Właściwie nie powinien opuszczać farmy, ale pogadał z Tommym i Jaredem, którzy stwierdzili, że nic nie stoi na przeszkodzie, żeby wybrał się do kamiennego kręgu. Ulewę i tak zauważy, będzie więc mógł sam zdecydować, czy wracać do domu, czy nie. Tak czy owak, oni zostaną tu na miejscu, a ręk do pracy

nie zabraknie, gdyby trzeba było podjąć jakieś natychmiastowe działania.

-Zabierz też Siobhan - powiedziała Fiona, gdy Adam wspomniał jej o wyjeździe.

Prawdopodobnie musiał mieć bardzo głupią minę, skoro siostra uznała, że należy mu to wytłumaczyć dobitniej:

-Jako przyzwoitkę.

- Przecież zabieram ze sobą całą gromadę dzieciaków, Fiono! Na Boga, co ty sobie wyobrażasz? Co się może stać? Co ty sobie o mnie myślisz?!

Lekko falujące włosy Fiony opadły jej na twarz, gdy pochyliła się nad rozczynionym ciastem. Ręce pracowały szybko, Fiona była silna i w ciasto na chleb wgniatała myśli, których Adam nie chciałby znać.

-To ja wtedy przyszłam i was zobaczyłam, Adamie. Nie wiem, co by ludzie gadali na całej Wyspie Północnej, gdyby nie ja. Nie wiem, co by sobie myślał Jared, gdyby wiedział. A równie dobrze to on mógł was zastać, Adamie.

-Tylko ty potrafisz wejść do cudzej sypialni bez pukania - odparł Adam cierpko. Ale i on poczuł się nieswojo na myśl o tym, co przypomniała mu Fiona. Cały czas usiłował to od siebie odsunąć, zepchnąć w niepamięć, bo Fiona nigdy o tym nie wspomniała. Rosie też zachowywała się tak, jakby o niczym nie pamiętała. Jakby to się nigdy nie wydarzyło. Jakby nie miało żadnego znaczenia.

Rosie nie zaglądała do jego snów!

- Miałam nadzieję, że ona zwiąże się z Jeremym -powiedziała Fiona.

- Tak się nie stanie.

- Nie wiem. Ale na to liczyłam. Po tych ostatnich tygodniach...

Urwała, lecz oboje myśleli o tym samym. Rosie nie wymykała się do Jeremy'ego ukradkiem. Chodziła do niego jawnie, tak że wszyscy o tym wiedzieli. Czekwała, aż dzieci pójną spać, i wracała na karmienie Jordy'ego. Niczego przez to nie zaniedbywała. Szła przez podwórze, zanim oni położyli się do łóżek. Nie robiła żadnej tajemnicy z nocy spędzanych z Jeremym. Nie sprowadziła go do domu, za co Adam był jej wdzięczny. I tak by jej nie odmówił, przecież sam zaproponował Jeremy'emu dach nad głową. Byli małżeństwem. Zaoferowałyby im nawet wspólną sypialnię, wspólne łóżko, ale niemądrze cieszył się z tego, że Jeremy nie spędził z Rosie żadnej nocy w jego domu.

- Bez względu na to, co jest między nimi, Fiono, ja w tym nie biorę udziału.

Przyjrzała mu się uważnie. -Jesteś tego pewien?

- Jestem.

- Powinieneś sobie kogoś znaleźć po Deidre - westchnęła. Jak gdyby to miało rozwiązać wszelkie problemy, które zdawały się przed nią piętrzyć. Jakby kobieta w życiu Adama była wyjściem z sytuacji. -Przecież musi ci tego brakować!

Adam usiadł przy stole. Oparł się o ścianę z drewna kauri.

-Brakuje mi Deidre. Wciąż mi jej brakuje. Rosie nie jest nową Deidre. Traktuję ją bardziej jak ciebie. A ty byś nie zabierała przyzwoitki, gdybyśmy się wybierali do Muriwai razem z dziećmi.

- Ona nie jest twoją siostrą. Choćbyś nie wiem jak bardzo tego chciał. Rosie była żoną twojego brata.

- Żoną mojego brata. Kochanką mojego brata. Matką mojego syna. Moją siostrą. Moją przyjaciółką.

- Uśmiechnął się lekko. - To przez Joego tak się boisz? Myślisz, że mam równie słabe ciało jak Joseph? Nie jestem żadnym z moich braci, Fiono. Nie jestem ani Seamusem, ani Joem. Jestem Adamem.

-Michael nie jest twoim synem, ale bratankiem. Rosie jest więc matką dziecka twojego brata - poprawiła go Fiona, która nie mogła się pozbyć dziwnego wrażenia, które towarzyszyło jej od chwili, gdy nieoczekiwanie zastała ich oboje śpiących w jego łóżku, objętych i rozdzielonych jedynie cienkim, pogniecionym prześcieradłem.

Wyglądało to nawet dość niewinnie. Mieli na to wytłumaczenie, w które wszyscy uwierzyli. Przyjął je nawet Jeremy. Wszystko zresztą przesłonił cud, który nastąpił. Cud, dzięki któremu Adam odzyskał władzę w rękach i w nogach.

Fiona nie mówiła o tym głośno, ale wciąż się zastanawiała, czy ów cud nie miał związku właśnie z tymi objęciami. Raczej nie mogło to być wytłumaczeniem, ale żadnego innego też nie było. Nikt inny nie posuwał się aż tak daleko w swoich domysłach. Nikt o tym nie wspominał. Ale też i nikt inny ich nie widział, tylko ona. Fiona nie potrafiła wymazać z pamięci obrazu, który wtedy ujrzała. Zapamiętała przedziwny spokój, jaki ich otaczał. Za każdym razem usiłowała o tym nie myśleć; tłumaczyła sobie, że każdej śpiącej osobie towarzyszy spokój, że coś sobie wmawia, że ta niezwykła więź między nimi powstała wyłącznie w jej głowie, nigdzie indziej.

Tej samej nocy przyśnił jej się Seamus. Stał razem z nią i patrzył na Adama i Rosie. Widzieli to samo. Seamus ją obejmował. Przytulił się policzkiem do jej włosów i mówił, że tak jest dobrze.

Nie mogła jednak opowiedzieć Adamowi o tych

swoich niemądrych snach. Wyśmiałyby ją. Powiedziałyby, że to jej potrzeba chłopa. I może miałby rację.

Z przyjemnością przygotowywała pokój dla doktora Taylora. Z przyjemnością też z nim rozmawiała. Pasował do niej. Szkoda tylko, że swoim zapałem tak go wystraszyła.

-Wolałabym, żebyście wzięli ze sobą Siobhan -powtórzyła. - Jej też wyjazd z domu dobrze zrobi. A ja nie będę musiała złościć się na ciebie w myślach.

- Dobrze, zmuszę twoją córkę do wyjazdu - obiecał. - Czy to znaczy, że mam też zabrać Pata i Lottie?

-Tak.

- Wiedziałem, że na Siobhan się nie skończy...

- Sami go zbudowaliśmy! - oświadczył Michael z dumą, trzymając matkę za rękę. Nie obchodziło go, że inni na nich patrzą. Nawet nie próbował przyciągnąć ręki do siebie. Stali przed imponującym kręgiem z kamieni tuż przy brzegu morza.

-Myślałam, że to coś niedużego - powiedziała wstrząśnięta Roza.

-Ja też - rzucił Adam cierpko i zmierzwił Michaelowi włosy. - Zgodziłem się na tę przygodę, bo sądziłem, że ułożą kółko z kamieni. Ale nasi synowie wymyślili sobie coś zupełnie innego!

-To!

- To. Niepodobny? Kiwnęła głową.

-Widziałaś prawdziwy krąg Drombeg? - spytał Michael matkę.

Roza potwierdziła.

-Byłam tam razem z Seamusem, twoim ojcem, dawno temu. A potem, o wiele później, także z Joem.

- Ładnie tam było? - spytał Michael. - Wtedy, kiedy byliście tam z tatą?

Kiwnęła głową. Nie mówiła prawdy, ale nie chciała sprawić synowi zawodu. Byli wtedy zmęczeni i mokrzy, a ona nie wiedziała, gdzie jest. Zmierzali ku wybrzeżu, żeby znaleźć statek, który przewiozłby ich przez morze. Uciekali na łeb, na szyję przed policją królowej. Nie mogła jednak opowiedzieć o tym synowi Seamusa, który uważał ojca za irlandzkiego księcia. Nie mogła zniszczyć obrazu bohatera i wyznać, że był wyjętym spod prawa człowiekiem, którego ściagała policja.

O wiele lepsze wspomnienia miała z konnej wyprawy z Joem, gdy po śmierci Seamusa wrócili do Europy. Joe pocałował ją wtedy na kamiennym ołtarzu i powiedział, że obrażają stare bóstwo.

Może właśnie to zrobili. Może właśnie dlatego tak źle się skończyła ich próba wspólnego życia. Roza zadała sobie pytanie, jakby to było stać tu teraz z Joem. Ciekawe, co u niego. Czy wciąż od czasu do czasu jeszcze o niej myśli...

Pozwoliła synowi wprowadzić się do środka kręgu.

- Brak ci tego młodego łobuza? - spytał Adam, który poszedł za Siobhan aż do czarnych skał, oddzielających morze od lądu. Dziewczyna przysiadła na skale, oczywiście na tej, na którą najtrudniej było się wspiąć. Adam czuł się wręcz stary, gdy wreszcie wdrapał się do niej i mógł obserwować białe grzywy fal, w które wpatrywała się Siobhan. Nieco dalej upa-

trzyła sobie miejsce kolonia głuptaków, które absolutnie nie zważały na obecność ludzi. Stanowiły wspaniałą widok na tle nieba, morza i skał.

- Danny'ego? - spytała Siobhan, jak gdyby mogła mieć na myśli innego łobuza.

- Owszem, Danny'ego. - Nie - odparła krótko. - Już z nim skończyłam.

- To chyba dobrze - stwierdził Adam i nagle poczuł się tak, jakby miał sto lat. - Przecież wychowywaliście się jak rodzeństwo. Dziwnie by wyglądało, gdyby zaczęło was łączyć coś więcej. A ty wciąż jesteś taka młoda.

-Mhm.

- To nie moja wina, że jesteś tu teraz - zapewnił.

- Fiona się uparła. Widać bała się, że uwiodę Rosie na tej wycieczce. Zabraliśmy cię jako przyzwoitkę. Siobhan odwróciła do niego twarz. Brodę opierała o kolana, a rękami obejmowała łydki zakryte ciemną spódnicą. Patrzyła na Adama młodymi oczami, z niedowierzaniem, które jemu chyba nie bardzo się podobało. Jakby kompletnie przekreślała go jako potencjalnego uwodziciela. I chociaż wcale nie miał takich zamiarów, chętnie udowodniłby, że wciąż jest w stanie kogoś uwieść.

- Gdybyś chciał, mógłbyś chyba robić to w domu

- powiedziała w końcu Siobhan.

- No, właśnie. - Pokiwał głową. - Ale pamiętaj, że to nie ja cię zmusiłem do przyjazdu tutaj, więc się na mnie nie złość. Nie musisz zajmować się dziećmi. Sam się nimi zaopiekuję. Będę wtedy miał pewność, że nie ulegnę niecnym pokusom i nie popełnię żadnego grzechu... - Nie jesteś zbyt dorosły, wujku Adamie.

- Mylisz mnie z Jeremym - rzucił lekko z uśmiechem, ale i z błyskiem w oku.

- Ty i Jeremy jesteście do siebie bardzo podobni -stwierdziła piętnastolatka, nieświadoma, jak wystraszyła tym Adama.

- Bzdury wygadujesz!

- Tak myślisz? Spytaj Rosie, jeśli mi nie wierzysz. -Jeszcze gotowa pomyśleć, że z nią flirtuję.

- No to musisz uwierzyć mnie.

Nic nie powiedział. Rosie, Michael i Lily weszli do kamiennego kręgu. Matt, Aidan i Pat zrzucili już ubrania i bawili się w falach. Charlotte zbierała kamyki do fartuszka. Otaczał ich niezwykły spokój. - Są tu Maorysi? - spytała nagle Siobhan.

- W każdym razie byli - odparł Adam, zaskoczony, że w ogóle o nich pomyślała. - Wydaje mi się, że większość ziemi wykupili agenci rządowi. Tylko im było wolno handlować z Maorysami. My kupiliśmy ziemię od agentów. A dlaczego o to pytasz?

- Tak się tylko zastanawiałam. Rzadko się ich widuje.

- Całe szczęście - powiedział Adam z głębi serca. -Cieszymy się, że Maorysi tak długo zachowują pokój. Ale potem nagle zrobimy coś, co uznają za złe, i znów może się zacząć wojna i zabijanie. To dzicy ludzie, Siobhan. Naprawdę dzicy.

Popatrzyła na niego z powątpiewaniem.

-Pięćdziesiąt lat temu rozgniewali się, ponieważ biali w Whangaroa ukarali nieposłusznego Maorysa, który odmówił wykonywania rozkazów. Z zemsty podpalili wtedy statek cumujący w porcie i zjedli całą załogę i pasażerów.

Siobhan skrzywiła się z niesmakiem. Nie wierzyła wujowi Adamowi. Potrafił żartować z takich okropnych rzeczy. - Mówię prawdę - zapewnił Adam, mrugając. - Zda-

je się, że upiekli wszystkich na rożnie. Od kapitana po chłopca okrętowego. Ale historia nie mówi, co dó nich podali. - Zeskoczył z czarnej skały. - Pójdiesz ze mną na ryby? Mamy trochę warzyw, a myślę, że ten wspaniały garnek, który zakopaliśmy w Boże Narodzenie, wciąż będzie się nadawał do gotowania. No, a jeśli nic nie złowimy, to możemy rozważyć wrzucenie do kotła najbardziej nieznośnego z dzieciaków. - Jesteś wstrętny! - rzuciła.

Roześmiał się i ruszył po miękkim piasku do Rosie i dzieci.

-Wstrętny - powtórzyła Siobhan. Nie wierzyła ani jednemu jego słowu.

Ciekawa była, czy Jay ukrywa się gdzieś w lesie, czy przyszedł tu za nią, czy jej pilnuje. Powiedziała mu przecież, że jest jej aniołem stróżem, jej rycerzem, chociaż nie ma ani konia, ani lśniącey zbroi.

Jay.

Wpatrywała się w las, ale widziała jedynie zieleń. Mogłaby się w niej ukrywać nawet cała armia. Wcale jej to nie przerażało. Adam z pewnością miał rację, że w tej części kraju nie zostało już wielu Maorysów. Przecież to właśnie tutaj, na północy, Anglicy najpierw zeszli na ląd. Tu wykupili najwięcej ziemi. Tubyłcy oddali swoje tereny...

Gdzie się podziiali? Może po prostu przenieśli się gdzie indziej. Może mieli dość ziemi i dlatego mogli sprzedać część Anglikom bez większej szkody dla siebie. W okolicach Auckland musiało ich być więcej. Siobhan pamiętała, że stolicę przeniesiono właśnie dlatego, żeby znajdowała się bliżej terenów maorys-kich. Russell, dawna stolica położona na północy, było miastem na wskroś angielskim. Północne obszary znajdowały się całkowicie we władaniu Anglików.

A więc on nie przybył z północy.

Jay

Nie mógł też przybyć aż z Auckland. W jaki sposób się przemieszczał? Piechotą?

Siobhan nie sądziła, by Maorysi jeździli konno. Mieli pirogi, świetnie radzili sobie na wodzie, ale konie do Nowej Zelandii sprowadzili Holendrzy i Anglicy, tyle przynajmniej wiedziała.

Nie mógł chyba przychodzić pieszo aż z Auckland tylko po to, żeby na nią popatrzeć. By jej strzec. Tak nie zachowywali się nawet rycerze. Siobhan chciała myśleć, że Jay mieszka gdzieś w pobliżu. Czowała się przez to spokojniejsza.

Bo prawie przestraszyła się na myśl, że musiałby biec blisko dobę, żeby skryć się na skraju buszu z nadzieją, że ją zobaczy. Po rozmowie z wujem Adamem już wiedziała, że nie zaprosi Jaya do domu. Nie mogła go potraktować jak innych przyjaciół, gdyby takich miała. Źle by się stało. Jay był Maorysem.

Siobhan pomyślała o niewolnikach w Georgii. Pamiętała ich aż za dobrze i nieraz wspominała. Te wspomnienia jednak nie były przyjemne, dlatego niechętnie do nich wracała. Nigdy nie zrównywała czarnych z tutejszymi Maorysami. Tu nie było niewolników. Na farmie nieraz wynajmowali ludzi do pracy, kiedy potrzebowali więcej rąk przy zbiorze winogron albo przy sianie, ale to byli zwyczajni ludzie. Zwyczajni biali. Tacy jak ona i jej rodzina. Pochodzili z różnych krajów, głównie z Europy, niektórzy z Ameryki. I pracowali za pieniądze. Maorysi nie byli niewolnikami, ale wuj Adam mówił o nich tak, jakby nimi byli. Pamiętała, jak ludzie w Ameryce odno-

sili się do niewolników. Potrafiła zamknąć oczy i cofnąć się w przeszłość. Wyrażali się o nich z taką samą pogardą jak Adam o Maorysach. Nazwał ich dzikusami. Powiedział, że jedzą ludzi.

Nie mogła zaprosić Jaya do domu.

Rodzina by tego nie zrozumiała. Cieszyła się, że Jay wydaje się bardziej wyrozumiały niż jej najbliżsi. Z pewnością wiedział, co go czeka, gdyby się pokazał i zaczął z nią rozmawiać między zabudowaniami. Dlatego starał się ukrywać. Na pewno się domyślał, co by było, gdyby poszedł z nią do domu. Dlatego odmówił. Ale zrobił to tak delikatnie, że Siobhan nie zrozumiała, iż chodzi mu o jej rodzinę. Nie domyśliła się, co go tam może czekać, a on nie chciał jej tego uświadamiać.

Jay był dobrym człowiekiem.

Na razie jeszcze mało go znała, ale już wiedziała, że to dobry człowiek. Nie żałowała, że wkroczył w jej życie. Kolor skóry nie miał żadnego znaczenia. Ludzie są dobrzy lub źli bez względu na kolor skóry.

Przecież byli i dobrzy niewolnicy, i podli. Znała też dobrych białych, i okropnych. Z Maorysami musi być tak samo. Są i dobrzy, i źli. Wierzyła, że Jay należy do tych dobrych.

- Mam nadzieję, że mnie teraz widzisz - szepnęła cicho, patrząc na busz za zieloną równiną. Usiadła tak, żeby być widoczna, bez względu na to, w jakim miejscu wśród tej zieleni się ukrywał. Jeśli w ogóle tu przyszedł. Ale musiał tu być!

Złowili więcej ryb, niż byli w stanie zjeść. Upekli je na węglach razem z kumara - słodkimi ziemniakami - i cebulą, a kiedy nadeszła noc, nawet dzieci pa-

dały ze zmęczenia po przeżyciach całego dnia. Ledwie zdążyli rozbić namioty, a najmłodszy już się ułożył i pod gwiazdami zapanowała cisza.

Adam zabrał ze sobą dwie butelki bardzo słodkiego białego wina New Favourite rocznik tysiąc osiemset czterdzieści dziewięć i otworzył je na deser. Nawet Siobhan dostała pół kieliszka, bo zdaniem Adama zaczynała już być dorosła. Wino niezbyt jednak jej smakowało i większość wylała, gdy wuj odwracał wzrok. Siedziała jak na rozżarzonych węglach; pragnęła jedynie tego, żeby móc odejść od dorosłych i zagłębić się w ciemność, gdzie pewnie czekał na nią Jay.

- Możesz teraz robić, co chcesz - oznajmił Adam, widząc niepokój siostrzenicy. - Nie musisz nas pilnować. Nie doniosę Fionie.

- Tak przyjemnie jest na skałach nocą - powiedziała Siobhan, z całej siły starając się mówić naturalnie, żeby wujek Adam jej nie przejrzał. - Chciałabym tam posiedzieć, popatrzeć w gwiazdy i porozmyślać.

- Jeśli chcesz, możesz nawet stanąć na głowie - uśmiechnął się Adam. - Tylko się nie utop! Siobhan zrzuciła buty i boso pobiegła po szarobiałej plaży. W ciemności wkrótce znikła im z oczu.

- Fiona w swojej mądrości uznała, że potrzebujemy przyzwoitki - zaśmiał się cicho Adam i zerknął na Rosie, która ledwie upiła wina. Nie sądził jednak, by się go bała.

- Tak myślałam - powiedziała. - To Fiona cię wtedy obudziła, prawda?

Kiwnął głową i kąciki ust same podniosły mu się do góry. Wspomnienie było bardzo przyjemne. Uśmiechał się za każdym razem, gdy o tym myślał. I tylko on wiedział, jakiej przyjemności wówczas zaznał.

- Wobec tego nie ma się czemu dziwić - stwierdziła Roza.

- Ale ja nie jestem takim draniem, jakiego ona chce ze mnie zrobić. Nie lubię, kiedy coś mi się wmawia. Moja siostra powinna wiedzieć, jaki jestem naprawdę. Rozczarowuje mnie.

- Nie było żadnych innych? - spytała Roza, siadając wygodniej na miękkim piasku. Buty zrzuciła już dawno. Piasek, tak miękki jak ten, aż prosił się o dotykanie go bosymi stopami.

- Nie było żadnej innej kobiety po Deidre? Nigdy nie myślałeś o tym, żeby się znów ożenić?

- Nie, nigdy nie myślałem o ponownym małżeństwie - odparł szczerze. - Mieliśmy być z Deidre razem na zawsze. Umarła, kiedy urodziła mi jeszcze jednego syna. Dziecko nie przeżyło. Widziałem, jak Deidre się wykrwawia, i chociaż przyjechał lekarz, nic nie mógł dla niej zrobić. Stwierdził, że jej czas już nadszedł.

Adam westchnął i wsłuchał się w morze. To tutaj przyjeżdżał konno w te trudne tygodnie po śmierci żony. Gdy został sam. Gdy poniósł karę.

Właśnie tak przyjął nieszczęście.

Jako karę za przestępstwo, które popełnił wobec swojej rodziny w Georgii. Mówił sobie, że przed własnymi czynkami nie da się uciec.

Przysiadął na wchodzących w morze wysokich klifach i myślał o tym, że on też mógłby umrzeć. Nie potrafił jednak sam się zabić. Miał syna i bratanka, który również traktował go jak ojca. To wystarczało, żeby żyć dalej. Żeby wracać do domu.

- Sam zbiłem jej trumnę - ciągnął. - Umyłem Deidre i nasze zmarłe dziecko. Ubrałem ją w najładniejszą sukienkę i ułożyłem w trumnie na najbardziej

miękkiej kołdrze, jaką mieliśmy. Dziecko włożyłem w jej ramiona. Wykopałem grób i sam go zasypałem. Przyniosłem kamień. Jest na nim tylko jej imię. Zmarłemu dziecku nie można nadać imienia.

- Ale ty to zrobiłeś?

Długo na nią patrzył. Ona jedna się tego domyśliła. O chłopcu nikt inny nie wspominał, jakby mały w ogóle nie istniał.

- Tak. Nadałem mu imię. -Jakie?

- Seamus.

Tego też się domyśliła.

- Nikomu o tym nie mówiłem - wyznał Adam ochryple. - Wszyscy powtarzali, że mam żyć dalej, więc to robiłem. Żyłem dalej. -Wspaniale opiekowałaś się... Mikey'em.

- To dobry chłopiec. Bez niego i Aidana nie byłoby mnie teraz tutaj. Poszedłbym za Deidre. Rzuciłbym się w morze. Już stałem na skałach i myślałem o śmierci, ale przecież byli chłopcy. - Prawie nie pamiętam Deidre - przyznała Roza. -Niezbyt dobrze ją znałam. Trzymała się razem z Jenny i Colleen. Wszystkie były takie młode. Stanowiliście piękną parą. Ona taka śliczna, taka młodziutka, jasna i delikatna, jak elf z opowieści Seamusa. I miała takie jasne oczy... Adam się uśmiechnął. On wciąż pamiętał Deidre.

- Najpierw szukałem jej wszędzie, rozglądałem się za jej twarzą, gdzie tylko się znalazłem. Ale żadna jej nie przypominała. Potem moje oczy zaczęły szukać kogoś, kto byłby do niej choć trochę podobny. - Mówił tak cicho, że nawet słabe trzaski żaru w ognisku chwilami zagłuszały jego słowa. - Dużo jest jasnowłosych, delikatnych kobiet z niebieskimi oczami.

Nawet w Nowej Zelandii. Przyglądałem się im wszystkim. - W jego głosie pobrzmiwała jakaś pogarda, jakby kpił z samego siebie, wcale nie z tych kobiet, o których opowiadał. - Odwiedzałem różne takie domy w Russell i Auckland, Rosie. Nie musisz mnie o to pytać. Wykorzystałem już przypadającą na mnie liczbę jasnowłosych, niebieskookich kobiet. Płaciłem im i wychodziłem od nich jeszcze bardziej pusty, niż przychodziłem.

Nalał sobie kolejny kieliszek. Roza podziękowała.

- Nie smakuje ci moje wino? - spytał.

- Do wina podchodzę ostrożnie - odparła.

- Zrezygnowałem z kobiet. W żadnej nie odnalazłem Deidre. Nie znalazłem takiej, która pomogłaby mi zwalczyć pustkę, więc w ogóle z nich zrezygnowałem. Również z tych, którym płaciłem. Od tego czasu minęło już kilka lat.

Roza nie wiedziała, co odpowiedzieć. Spodziewała się, że Adam korzystał z domów uciech albo że może poznał jakąś wdowę, którą od czasu do czasu odwiedzał. Nie sądziła, że żyje jak mnich. -Kochałem ją bardziej, niż można to wyrazić -wyznał.

-Ja kochałam Seamusa...

- Ale spałaś z Joem na statku do Irlandii - dokończył.

- Powiedział ci o tym?

-Tak. On też cię kochał. Masz słabość do mężczyzn z rodziny O'Connorów, Rosie.

- Wciąż staram się uwolnić od Seamusa - wyznała z powagą. - Nie mogę żyć z mężczyzną, który już nie żyje. -Jesteś pewna, że on cię wypuści? - spytał Adam.

- Zrobi to, kiedy przyjdzie na to czas - odparła.

Adam poczuł, że po plecach przeszły mu ciarki. -A skąd będziesz o tym wiedzieć? - spytał w końcu. - Po prostu będę wiedziała. On wcale nie był tak pewny jak Rosie.

Rozdział 10

-Jay?

Siobhan bała się wołać chłopaka, ale wypowiedziała jego imię na tyle głośno, że poderwały się głuptaki, chociaż siedziały dość daleko. Dziewczyna stała na niskich, czarnych skałach w pobliżu buszu. Rozróżniała las, który był jeszcze gęściejszą ciemnością niż otaczające ją pagórki lawy; wydawał się potężniejszy niż morze, które pieniało się przed nią niczym biała ściana.

On musi gdzieś tu być!

Przez cały dzień czuła jego obecność, i w domu, w New Favourite, i już tutaj. Jego spojrzenie zdawało się ją łaskotać niczym pieszczotliwie rozbawione palce. Rozglądała się wkoło, ale niczego nie zauważyła. Oczywiście, że nie. Jay żył przecież w przyjaźni z lasem. Przez cały czas jednak miała pewność, że on jest w pobliżu.

Jay!

Musiał być gdzieś tutaj, tuż-tuż za jej cieniem. Uważała to za ogromnie emocjonujące. Po zapadnięciu ciemności nie mógł już widzieć jej z daleka, a nikt inny nie mógł zobaczyć jego, chyba żeby za nią przy-

szli. Nie sądziła jednak, by Adam i Rosie to zrobili. Mieli o czym rozmawiać. Prawie na nią nie patrzyli, gdy odchodziła. Zapomnieli o niej, gdy tylko znikła im z oczu. A smarkacze spały. Upewniła się, że tak jest. Niczego nie będą się domyślać.

-Jay?

Coś trzasnęło w lesie. Siobhan wstrzymała oddech. Nie wiedziała, co to mogło być. Ten dźwięk mógł oznaczać tak wiele. Może to wiatr napał na gałąź, która zrobiła się za ciężka dla swojego drzewa? Ale przecież wiatru nie było. Znow zapadła cisza. Z daleka docierały tylko słabe głosy Rosie i wujka Adama. Siobhan słyszała też delikatne brzęczenie owadów. Oddaliła się od obozowiska. Chciała być sama. Pragnęła mieć wokół siebie ciszę i przestrzeń, aby Jay odważył się podejść. Nic. Cisza. Kompletna cisza. Odwaga Siobhan zaczęła się wyczerpywać. Las wzdychał, lecz nie szeleścił gałązkami.

Siobhan znieruchomiała. Słuchała już teraz całą sobą, ale do jej uszu nie docierało nic oprócz szumu morza rozbijającego się o skały w dole i ptaków, które wciąż rozmawiały ze sobą. - Siobhan?

Wystraszyła się, bo szept rozległ się tak blisko. Serce jej znieruchomiało, a potem zaczęło mocno walić. Robiło jej się na przemian to zimno, to gorąco. Oddychała powoli przez otwarte usta, starając się odzyskać spokój, lecz serce dalej galopowało jak koń na wyścigach.

Wiedziała, że on tu jest. Wiedziała, że przyjdzie, i chociaż spodziewała się, że go nie usłyszy, to jednak się przestraszyła. Minęła długa chwila, nim w końcu oddech jej się wyrównał.

- Chodź tutaj - poprosiła w końcu. Głos zabrzmiał

już prawie normalnie, ale wciąż nie mogła się ruszyć. Kolana jej drżały. On nie może tego zobaczyć, pomyślała. Nie może zobaczyć mojego zdenerwowania. Chciała ukryć przed nim swoje uczucia. Ale on przecież przychodził tu w jakimś celu. Musiał coś do niej czuć, skoro stale wracał.

-Mogą mnie zobaczyć na tle nieba - odparł, nie ruszając się z miejsca.

Siobhan nie potrzebowała dalszego tłumaczenia. Ześlizgnęła się z czarnego kamienia wysokości dorosłego mężczyzny i usiadła na piasku obok Jaya, u stóp skały. Stali się niewidoczni wśród czarnych formacji skalnych. Kiedyś wszystkie one były płynną lawą, ale trudno to było sobie wyobrazić. Siobhan zresztą nie potrafiła teraz skupić myśli na czymkolwiek innym poza Jayem. Siedzieli blisko siebie, lecz się nie dotykali. Oboje jednak wyczuwali swoją obecność, a to było prawie jak dotyk. Jakby przytrzymywali się spojrzeniami, które zdawały się płonąć mimo czarnej, aksamitnej ciemności. Siobhan cieszyła się, że jest ciemno. Ciemność skrywała ich przed wzrokiem rodziny w obozowisku.

-Wiedziałam, że przyjdiesz - powiedziała. Rozpierała ją niemądra radość. Miała wrażenie, że serce utknęło jej w gardle. Biło tak mocno, że ledwie docierały do niej własne słowa. Jay na pewno słyszał walenie jej serca. Na pewno uważał, że jest głupią dziewczyną, która mało widziała i mało przeżyła. Ale nie mógł myśleć tylko tak. Przecież nie byłoby go tutaj, gdyby dostrzegał wyłącznie jej głupotę.

- Dziękuję, że przyszedłeś! - dodała.

- Dziękujesz, chociaż wiedziałaś, że tak będzie?

- Tak. Czy to dziwne? -Obce.

Zobaczyła, że Jay jest bez koszuli, ale w spodniach. Jej ręce nabrały ochoty, by dotknąć jego skóry, lecz nie umiała wymyślić pretekstu. Może żadnego nie potrzeba? Tak niewiele wiedziała. Nie miała doświadczenia z mężczyznami. O miłości wiedziała tylko tyle, ile zobaczyła i usłyszała. I jeszcze to, o czym marzyła. Poczwała się niemądrze.

- Na tej skale wyglądałaś jak Panią - powiedział.

- A kto to jest? - spytała Siobhan bliska zazdrości. Nie chciała słuchać o innych kobietach. Jeśli Jay miał inne przyjaciółki, wołała tego nie wiedzieć. Lepiej, żeby skłamał; zapewnił, że nikogo takiego nie ma. Pragnęła wierzyć, że nikt ważny dla niego nie istnieje. Miała być tylko ona i on, nikt inny.

- Panią pochodziła z ludu żyjącego w głębi morza - wyjaśnił cicho Jay i w ciemności lekko się uśmiechnął. Wyczuł niepokój Siobhan. Wiedział, że dziewczyna boi się istnienia innych. Właśnie tak myślą Pa-keha. Pragną wszystkiego dla siebie, nie potrafią się dzielić.

- Związała się jednak z Karitokim, synem wodza z mojego ludu, i żyła z nim w szczęściu. Byli tak szczęśliwi, że morski lud zaczął być zazdrosny o Karitokiego i za każdym razem, gdy Panią przychodziła na brzeg, jej rodzina i przyjaciele wołali ją i przyzywali, aż w końcu uległa pokusie. Niewiele myśląc, rzuciła się w fale, bo chciała ich chociaż raz zobaczyć. Sądziła, że pozwolą jej wrócić na ziemię.

- Ta historia nie kończy się dobrze, prawda? - spytała Siobhan.

- Jesteś niecierpliwa - odparł ciepło. - Czy wszystkie kobiety Pakeha są niecierpliwe?

- Na pewno ja - szepnęła Siobhan i ledwo zauważalnie zaczęła się do niego przysuwać. Już czuła bijące od niego ciepło, ale wciąż jeszcze go nie dotykała.

Brakowało jej śmiałości. Nie chciała, by pomyślał, że jest nie tylko niecierpliwa, ale i bezwstydna. - Morskie istoty wciągnęły Panię w głąb morza -mówił dalej Jay z powagą, a Siobhan zadrżała. Chłopak opowiadał tak, że potrafiła sobie wszystko wy_T obrazić. Czuła to samo co Panią. Stała się nią. - Wypląnęły na powierzchnię, otoczyły ją i pociągnęły za sobą. Już nigdy nie wróciła do Karitokiego.

-Jakie to smutne! - Siobhan lekko westchnęła. Przykre były wszystkie historie o młodych kochankach, którym nie dane było żyć razem. Wolą opowieści ze szczęśliwym zakończeniem.

- Czasami jednak w spokojne noce wciąż widać Panię niedaleko wioski, w której mieszkała. Stoi na rafie, a morze pieni się u jej stóp. Wyciąga ręce w stronę lądu do Karitokiego, ale on nie może jej wybawić. Nikt nie może pomóc nieszczęsnej Panii...

- Opowiadacie to dzieciom, żeby nie wypływały zbyt daleko od brzegu? - spytała Siobhan, uznając, że opowieść zrobiła się zbyt ponura. Poza tym nie chciała, żeby Jay opowiadał jej o dawnych czasach, o sprawach, które nie dotyczyły ich dwojga. Chciała, by mówił tylko o niej. O nich. Pragnęła usłyszeć, kim dla niego jest. Nie chciała dalej zgadywać. Chciała wiedzieć. - Ty nie wierzysz, że życie jest piękne? - spytał cicho.

- Owszem, wierzę.

- A co to dla ciebie znaczy?

- Mieć kogoś, kto myśli wyłącznie o mnie - odparła po krótkim namyśle. - Kogoś, o kim ja mogę myśleć. Wtedy życie będzie piękne.

-I o tym właśnie opowiada historia Panii i Karitokiego - powiedział takim tonem jak stary nauczyciel. - Byli razem zbyt szczęśliwi.

- A więc to opowieść o tym, że nie można być za bardzo szczęśliwym? - Siobhan zawstydziała się, że źle zrozumiała sens. Historia nie była przecież aż tak trudna. Jay na pewno nie chciał wystawić jej na żadną próbę, ani tym bardziej ośmieszyć. - Historia o tym, że nie można kochać zbyt mocno?

-Miłość nigdy nie jest zbyt wielka - odparł Jay z powagą. - Ale dopóki się kocha, nie wolno patrzeć w inną stronę. Trzeba się tego wystrzegać.

Westchnęła tak cicho, że nawet nie usłyszał. Oczywiście! Nie wolno pragnąć tego, czego nie można mieć. Słyszała to już tysiąc razy, ale nie chciała się nad tym zastanawiać. Domyślała się, że nie może mieć Jaya, lecz wolała tego nie wiedzieć. W ciemności mogła sobie pozwolić na nadzieję. Mogła sobie pozwolić na marzenia.

- Kim ty jesteś, Jay? - spytała. Po skończeniu opowieści był czas na pytania.

-Jestem Jay Rangitoto. - Zabrzmiało to dumnie. -Mam dwadzieścia lat. Uważają mnie za dobrego wojownika i dobrego myśliwego. Mam własny dom. Miałem się ożenić zeszłej zimy, ale mój hapu przestał żyć w zgodzie z jej hapu. Umowa została zerwana, ale nie z mojej winy. Ani z winy mojego hapu. Byliśmy gotowi jej dotrzymać. To tamci postanowili ją zerwać. Dlatego ciągle nie mam żony.

-Co to jest hapu? - spytała Siobhan, uradowana, że Jay nie ma innej dziewczyny. Bo przecież o tym właściwie mówił. Chciał dać jej do zrozumienia, że jest wolny. W każdym razie ona tak to odczytała.

- Hapu to mój klan i inne klany, które się ze sobą zgadzają. Są ze sobą spokrewnione, trzymają się razem.

Siobhan nie musiała wiedzieć nic więcej. Nie wi-

działa powodu, by wypytywać go, jak żyje. To był zupełnie inny świat, kompletnie jej obcy.

- Ja kończę szesnaście lat - powiedziała. - I też nie mam męża. Może jestem trochę za młoda na małżeństwo. A poza tym nikt mnie nie chce.

- A ty kogoś chcesz?

- Nie - zapewniła szybko. - Nie w domu - dodała, by zrozumiał, że z nikim nie jest związana, ale ktoś jej się podoba. - Nie tam...

Siobhan wiedziała, że może się wydać niemądra, ale musiała mu to powiedzieć. Bardzo jej na nim zależało. Poza tym w ciemności Jay nie mógł zobaczyć jej rumieńca. A gdyby swoim wyznaniem go wystraszyła, najwyżej już by się z nią nie spotkał. Miała wszystko do wygrania, a nic do stracenia. - Gdzie mieszkasz? - spytała. - Jak się tu przedostajesz? I po co, Jay? - W Manukau - odparł po dłuższej chwili, jakby czekał, czy Siobhan nie spyta o więcej. Jakby chciał się upewnić, że niczego więcej nie chce wiedzieć. - Teraz mieszkam koło Manukau. Moja pa, wioska, jest właśnie tam.

Manukau. Nie była tam, ale wiedziała, gdzie to mniej więcej jest. Na południe od Auckland. Daleko. - Jestem dobrym wioślarem - dodał.

Chwalił się, ale ona wcale nie zamierzała go wyśmiać, chociaż zrobiłaby tak na pewno, gdyby to przechwalał się Tommy czy Danny. Cieszyła się, że Jay dobrze o sobie myśli. Chciała wiedzieć, co jest ważne dla niego, w jego świecie.

- Biegam też szybciej niż inni. W to uwierzyła bez trudu.

- Dla ciebie, Siobhan - dodał. To była jakby odpowiedź na jej ostatnie pytanie. Zadała je, bo nie mogła

się powstrzymać. Musiała usłyszeć to z jego ust. Czuła się tak niepewnie, że nie wiedziała, co myśleć. Dlatego chciała, by to powiedział.

- Pójdę tak daleko, jak będę musiał.

Pięknie to powiedział. Nikt nigdy nie mówił jej nic podobnego. Nikt nie przypląwał ani nie przybiegał spod Auckland kilka razy w tygodniu, by ją zobaczyć choćby z daleka. A on to robił już od kilku miesięcy. Od jak dawna, tego Siobhan jeszcze nie wiedziała, ale nikt nie poświęcił jej tyle uwagi. Na samą tę myśl krew zaczynała szumieć w jej żyłach.

- Brat mojego ojca jest wodzem - oznajmił Jay z godnością. - Nie ma synów. Ma cztery żony, ale żadna z nich nie dała mu dziecka. Ani syna, ani córki.

Siobhan domyślała się, że Jay mówi jej teraz coś bardzo ważnego. Że wśród swoich, w swoim klanie jest ważną osobą, nie byle kim. Ona być może widziała w nim tylko Maorysa, jednego spośród wielu. On jednak chciał, by wiedziała, że jest kimś więcej. Jego stryj był wodzem plemienia.

- Cztery żony? - chciała się upewnić.

- Mój ojciec ma tylko dwie - dodał Jay, jakby się tłumaczył. Chyba wolał mówić o stryju niż o ojcu. - Jestem najstarszym synem pierwszej żony mojego ojca. Moja matka jest siostrą wodza najbliższego hapu. Pochodzę z najważniejszego klanu.

- To wy możecie mieć wiele żon? - Siobhan chciała dogłębnie wyjaśnić tę kwestię.

- Jeśli mężczyzna tego chce, może mieć kilka żon. - odparł Jay spokojnie. - W ten sposób pokazuje, że ma wielką mana, wielką siłę. Wódz albo syn wodza powinien mieć kilka żon, bo zyskuje się wtedy krewnych w wielu plemionach, a to pomaga utrzymać pokój. Trzeba mieć dużo przyjaciół.

-A ty ile żon chciałbyś mieć? - spytała Siobhan i zadrżała, chociaż na dworze wcale nie zrobiło się chłodniej. Nie potrafiła pojąć, jak można dzielić się mężem z innymi kobietami. Ona by im wydrapała oczy. Nigdy by się na to nie zgodziła.

Jay zauważył jej chłód; spodziewał się go, ale nie myślał, że nadejdzie tak szybko. Był ochrzczony, nosił angielskie imię, znał język i religię Anglików. Starsi postanowili bowiem, że aby zrozumieć Anglików, muszą posyłać dzieci do ich szkół; pozwolić, by poznawały obce zwyczaje i wiarę. Jay był jednym z pierwszych dzieci, które zostały do tego wybrane. Cieszył się zaufaniem swoich, a Anglicy czuli się zaszczyceni, że wśród nawróconych przez nich uczniów znajdował się członek rodziny wodza. Jaya wychowali jego opiekunowie w plemieniu, lecz także biali misjonarze.

Wiedział, jak myślą Pakeha. Znał ich opinię na temat wielożeństwa. Misjonarze i Anglicy uważali, że jego ojciec jest żonaty tylko z jego matką, a druga żona to po prostu jej siostra, która mieszka razem z nimi. Pakeha wierzyli w to, w co chcieli wierzyć. Jay popatrzył na Siobhan i powiedział jej to, co chciała usłyszeć. To, w co chciała wierzyć. Nie mógł powiedzieć nic innego, bo wtedy by się od niego odsunęła.

-Ja potrzebuję tylko jednej żony, Siobhan.

Później dziewczyna zrozumie, że jako wódz Jay nie zdołałby zachować niezbędnej godności, mając tylko jedną żonę. Zrozumie to i pogodzi się z tym. Na razie jednak taka myśl nie mieściła jej się w głowie. Wszystko, co się z nim wiązało, było dla niej dziwne, nieznanne i przerażające. Ale zarazem fascynujące. Zapewne odczuwała też pogardę; taką samą pogardę, jaka pojawiła się w jego sercu, kiedy po raz

pierwszy zetknął się ze światem Pakeha. Teraz wiele z tych obcych rzeczy uważał za dobre i wiele mu się podobało. Z nią też tak będzie. Z czasem się oswoi. Z czasem nauczy się stać u jego boku, a on będzie jej tłumaczył wszystko, czego nie będzie rozumieć.

Siobhan zaś miała nadzieję, że Jay nie słyszy jej westchnienia. Nie chciała go rozczarować. Wcześniej się bała. Bała się, że się ośmieszy. Bała się, że wujek Adam mógł mieć rację, mówiąc, iż wszyscy Maorysi to nieucywilizowane dzikusy. Bała się też, że straci Jaya, tak jak straciła Danny'ego, i to zanim posmakuje tej nowej, cudownej przyjemności, jaką Jay wnosił w jej życie.

Wciąż nie była pewna. Nie wiedziała, do czego on zmierza.

-Jesteś kimś w rodzaju księcia? - spytała.

- Po śmierci brata mojego ojca zostanę wodzem -odparł z uśmiechem. W aksamitnej ciemności nocy lekko błysnęły jego zęby.

Rzeczywiście, pochodził z królewskiego rodu. Był tego świadom. Gdyby zechciał, mógłby się nazwać księciem, ale nie zamierzał wystraszyć dziewczyny. Nie chciał, by poczuła się zakłopotana, że tak bardzo różnią się pozycją. Powinni być sobie równi.

Siobhan była dumna, piękna i pracowita. Miała dużą rodzinę i przypominała swoją matkę. Mogła urodzić dużo dzieci. A on chciał mieć córki o włosach jak rozpalona lawa. Ludzie by wtedy o nim mówili. Powtarzaliby, że jego mana jest tak wielka, iż naznaczył nią nawet swoje dzieci. Ze ma największą moc.

On był Jay Rangitoto.

A to znaczyło tyle co „Krwawa Chmura”. Jego lud pochodził z wyspy Rangitoto. Kiedy góra się otworzyła i zaczęła płuć ogniem, zginęło niemal całe ple-

mię. Większość ludzi pochłonęło piekło lawy płynącej strumieniami ognia w dół, do morza, w którym chłodziła się z sykiem i z powrotem zamieniała w kamień.

Chmury nad wyspą przybrały wtedy kolor krwi.

Ale jego przodkowie dotarli do brzegu, zanim dogonił ich strumień lawy. Wsiedli do piróg i jak szaleni wiosłowali, aby schronić się na sąsiedniej wyspie Motutapu.

Ci, którzy przeżyli, opowiadali tę historię swoim potomkom, a później przekazywano ją z pokolenia na pokolenie. Jay znał ją od ojca, który usłyszał ją od swego ojca, a tamten od swego. Sam zamierzał opowiedzieć ją swoim dzieciom.

I oto znalazł kobietę, która zostanie matką jego najstarszego dziecka. Znalazł tę, która będzie jego pierwszą żoną. Ale musi obchodzić się z nią delikatnie. Ona jeszcze nie wie, co ją czeka.

-Mój ród pochodzi w prostej linii od jednego z najważniejszych w pierwszej pirodze.

Oznajmił to z ogromną dumą. Siobhan od razu zrozumiała, że to musi mieć szczególne znaczenie. Wprawdzie nic jej to nie mówiło, ale świadczył o tym wyjątkowy ton głosu Jaya i jego nagłe wyprostowanie się.

- Co to znaczy? - spytała, pocierając brodą podciągnięte kolana. Miała nadzieję, że nie siedzi z Jayem zbyt długo, bo kompletnie straciła poczucie czasu i bała się, że zaczną jej szukać. A nie chciała jeszcze wracać do obozowiska. Pragnęła być jedynie z nim, z Jayem. Nikt nigdy nie był dla niej tak ważny.

- Ty nic o nas nie wiesz? - Właściwie Jay nie był zaskoczony. Pakeha nic nie wiedzieli. Dlaczego ona miałaby być inna? Była jak nieoszlifowany kamień,

jak nieobrobiony kawałek drewna. Trzeba ją oszlifować. To może potrwać, ale warto. Żadnej innej nie chciał.

-Jesteś pierwszym Maorysem, jakiego poznałam -odparła Siobhan.

- Dawno temu mój lud mieszkał na dalekiej wyspie, która nazywała się Hawaiki - zaczął opowieść Jay. - Kiedy życie stało się tam zbyt trudne, nasz najlepszy żeglarz, Kupe, wyruszył na poszukiwanie nowej ziemi. Płynął kilka tygodni, odwiedził wiele wysp, ale wszędzie już ktoś mieszkał. Wreszcie odkrył cudowną krainę daleko na południu, całkiem bezludną. Nazwał ją Aotearoa.

Siobhan wiedziała, że to maoryska nazwa Nowej Zelandii. Adam mówił jej, że ta nazwa znaczy „Kraina Długich Białych Obłoków”, ponieważ nad najwyższymi szczytami gór na południu często zatrzymywały się chmury.

- Kupe zszedł na ląd w Whakatane, czyli „miejsce, gdzie pirogi wciągnięto na ląd”. Zapуścił się w głąb i przekonał się, że to wielka, piękna i bogata kraina. Że ludzie mogą tu z powodzeniem żyć. A kiedy już odkrył Aotearoa, wrócił na Hawaiki. Nigdy więcej tu nie przyplynał. Ale gdy na Hawaiki życie stało się jeszcze cięższe, ludzie przypomnieli sobie jego opowieści. Pamiętali, jak płynął. Przygotowali dziesięć wielkich piróg i wypłynęli w morze. Przywieźli ze sobą psy i szczury, yam, dynie i kumara. To był początek życia mojego ludu w krainie, którą znalazł dla nas Kupe. Mój ród wywodzi się z najlepszych; tych z pierwszej łodzi.

Siobhan nie wiedziała, co ma powiedzieć o sobie, o swojej rodzinie. Nie mogła się odwzajemnić żadną podobną historią. Była po prostu Siobhan, której

rodzina wywodziła się z ubogich, wędrownych bajarzy z zielonej, wilgotnej wyspy daleko na północy świata.

- Moja rodzina pochodzi z Irlandii - powiedziała.

- Wiem, kim jesteś - odparł. Nie chciał słuchać jej historii, bo nie miała żadnego znaczenia dla jego opinii o dziewczynie. Nie zamierzał żyć w jej świecie, dlatego nie przywiązywał wagi do tego, kim była i jaką pozycję zajmowała wśród swoich. - Ja cię wybrałem - oznajmił. Serce Siobhan zaczęło bić nowym, jeszcze gwałtowniejszym rytmem. Nigdy wcześniej nikt się do niej nie zalecał. W okolicach Waimauku było tak niewiele młodych mężczyzn, a rodzina nieczęsto wybierała się do któregoś z miast, do Russell czy Auckland. Wyjeżdżali głównie mężczyźni, po zakupy albo w odwiedziny do ludzi, z którymi prowadzili interesy. Kobiety rzadko im towarzyszyły, a dzieci czy młodzież jeszcze rzadziej. Do tej pory Siobhan beznadziejnie kochała się tylko w Dannym Connellym, ale ani on, ani żaden inny chłopak czy młody mężczyzna nie powiedział jej nigdy nic tak miłego. Nigdy w życiu nie słyszała piękniejszych słów.

- Chcę ciebie - dodał Jay.

- To niemożliwe - odezwała się po chwili; czuła, że twarz jej płonie. Słyszała, jak niemądrze to zabrzmiało, no i przecież nie było prawdą.

- Nie teraz - powiedział przerażony, że mogła sobie coś takiego pomyśleć.

Odetchnęła z ulgą.

Wszystko działo się tak szybko. Wystraszyła się, a w jej głowie ostro zadzwonił ostrzegawczy dzwoneczek. Ale kiedy i on się wystraszył tym nieporozumieniem, wszystko znów było dobrze. Znowu nie miała co do niego żadnych wątpliwości.

- Przyjdzie na to czas - oświadczył Jay. - Nie teraz, ale już niedługo.

Dotknął jej włosów, a ją przeszył dreszcz. Ciarki przebiegły jej po plecach, dotarły aż do stóp. Usłyszała, że i jemu zapało dech w piersiach, jakby nie spodziewał się tego, co poczuł, gdy tylko ją musnął.

-Myślałem, że masz włosy jak len - powiedział. -A one są jak pajęczyna.

Siobhan wstrzymała oddech. Czekwała.

Chciała więcej, ale nie wiedziała, czego pragnie. Nie mogła więc o to prosić. Pocałunek?

Pocałowała Danny'ego, lecz wcale jej to nie uskrzydliło. Myślała, że to będzie najcudowniejsza rzecz na świecie, ale było zupełnie inaczej niż w wyobraźni. Trochę się rozczarowała. Tak, chciała, żeby Jay ją pocałował, ale czuła, że nie może go o to poprosić. Źle by to przyjął. Postanowiła więc zaczekać. Musi mieć cierpliwość. Pokazać mu, że ją ma. Może dzięki temu ten upragniony pocałunek okaże się jeszcze słodszy.

Powiedział, że ją chce.

Ale nie teraz.

Jeszcze nie.

Nie chciała pytać, kiedy. Była cierpliwa. O wiele bardziej cierpliwa, niż mu się wydawało. O wiele bardziej, niż sama przypuszczała.

- Musisz już wracać - uznał. -A ty? Dokąd pójdziesz?

- Do domu.

-A kiedy przyjdiesz znów? - Przyjdę.

Dotknął jej twarzy. Koniuszkami palców powiódł po jej twarzy, musnął wargi i rzęsy. Pogładził ją po włosach.

Zniknął.

Siobhan długo siedziała w ciszy. W końcu serce odzyskało normalny rytm. Kochała. W końcu kogoś kochała. Jaya.

Rozdział 11

- Czy to była Siobhan?

Adam leżał wygodnie przy ognisku na granicy między plażą a trawiastą równiną. Zdążył się lekko unieść, zanim biegnąca postać znikła w namiocie, który Siobhan dzieliła z Charlotte i Rosie. - Gdzież ona, u diabła, była tak długo? - spytał, mrużąc oczy, ale nic więcej nie udało mu się wypatrzeć. - Myślałem, że już dawno poszła spać.

- Teraz już tak. - Roza nie podzielała jego niepokoju. Poza tym sama przecież słyszała, że pozwolił Siobhan robić, co chce, byle tylko uważała i nie wpadła do morza. - Przestań, Adamie! Co jej się tu może stać?

- Nie wiem - odparł, ale nie przestawał wpatrywać się w ciemność, chociaż nic nie widział. Czuł dziwne mrowienie na skórze. - Mam paskudne uczucie, jakbyśmy nie byli tu sami.

Roza położyła się na trawie, która zaczynała się tuż za jej plecami. Uważała, że Adam przesadza. Nie zamierzała dzielić jego niepokoju. Chciała trochę

odpocząć. Wiedziała, że może zabrudzić spódnice, ale tym się nie przejmowała. Już się tak nie bała brudu jak kiedyś. Dostatecznie długo mieszkała na złotonośnych polach, by się z tego wyleczyć. Teraz cieszyła ją po prostu bliskość wody. Roześmiała się cicho z przesadnego zaniepokojenia Adama.

- Przemawiają przez ciebie wyrzuty sumienia, Adamie O'Connor? - spytała żartobliwie, bo miała ochotę usłyszeć jego śmiech. - Taki z ciebie dobry pasterz, a nie potrafisz zapanować nad całym stadem?

Adam się nie uśmiechał. To nie był czas na żarty. Czuł się zmęczony. Nie zamierzał dorzucać więcej drewna do ogniska. Już dawno minęła pora udania się na spoczynek. Teraz już tylko czekał, aż ogień zgaśnie, i upewni się, że w popiele nie został żar.

Chciał już iść spać.

Jeśli szczęście będzie im choć trochę sprzyjać, w nocy nie spadnie deszcz. Jeżeli bogini szczęścia wciąż miała dla niego sympatię, wyruszą z powrotem do New Favourite po porannej kąpieli dzieci. Znowu będzie mógł doglądać domowych spraw. W razie gdyby niebo przybrało zbyt groźny wygląd, będzie musiał podjąć decyzję, czy zebrać grona, czy też je przykryć, z nadzieją, że deszcz potrwa krótko albo może w ogóle ich ominie.

Lubił zajmować się farmą. Lubił podejmować decyzje w sprawach gospodarczych. Nie chciał, by wszystkim rządził Jared.

- Nie dam się sprowokować, Rosie - powiedział. Było już bardzo późno i ognisko dogasało. - Nic ci z tego nie przyjdzie.

- I nie jesteś tak przesądny jak twoi bracia?

- Tu, w Nowej Zelandii, jest mało duchów - odparł, ale nie była to prawda.

- Mnie się tutaj nic nie śni - oznajmiła nagle Roza, chociaż wcale jej o to nie pytał.

Nie wiedział, czy ma ochotę słuchać jej zwierzeń. Chyba powinien, skoro był jej przyjacielem, lecz przyjaźń, która ich łączyła, była dziwna, krucha jak chińska porcelana. Gdyby Rosie poznała jego tajemnicę, ta przyjaźń rozsypałaby się w pył, jak cieniutkie filiżanki rozbite o czarną skałę. Lepiej więc chyba zachować odpowiedni dystans, aby nie mogli się nawzajem zbyt głęboko zranić, by nie próbowali wnikać sobie pod skórę.

On mógł być dla niej starszym bratem, chociaż tak naprawdę to ona była starsza. Mógł być tym silnym bratem. Sprostałby wtedy jej oczekiwaniom i zrobił to, o co prosił go Joe. Ale nie zawsze miał ochotę słuchać. Bracia nie muszą słuchać. Jest różnica między bratem a przyjacielem. Rosie miała w głowie tyle zakamarków. W nim też było sporo krętych ścieżek. W dodatku nie był pewien, czego od niego chciał Seamus. Czego by teraz sobie życzył. Czego by żądał.

- Kiedyś miałam sny - ciągnęła Roza, która nie zauważyła, że Adam już nie zachęca jej do mówienia. Nie zorientowała się nawet, że się od niej odsunął. -Ale tutaj żadne głosy do mnie nie przemawiają.

- Nawet Seamus? - spytał Adam, który jednak nie przestał jej słuchać. Na wypadek gdyby powiedziała coś, co powinien usłyszeć. Musiał.

Przeklinał samego siebie, że mu się to wyrwało, ale słowa same wyskoczyły z ust, jakby od środka wysmarowanych mydłem, a gdy zostały już wypowiedziane, nie dało się ich cofnąć.

- Śni ci się Seamus? - podchwyciła Roza, już czujna i w pełni przytomna, chociaż przed chwilą prawie drzemała.

- Czasami - odparł. Czuł się nieswojo. -Jaki jest? Co robi?

Zadawała te pytania takim tonem, jakby pytała o wspólnego znajomego, niewidzianego od dłuższego czasu. Nikt nie powinien zostawiać po sobie takich śladów, pomyślał Adam. Jego brat nie był aż tak wielkim człowiekiem, by go kochać i utrzymywać przy życiu we wspomnieniach całymi latami po jego śmierci.

- To tylko sny - powiedział.

-A ja chcę o nim śnić! - ożywiła się Roza. - Ale do mnie nie przychodzi. Nie zajmuje moich snów. Nie słyszy, że go wzywam.

- Pewnie jest w tym jakiś sens.

- A tobie śnił się niedawno! - nie odpuszczała. Aż usiadła. Adam też się podniósł. Znad ogniska nie unosił się już dym. Można je było opuścić.

- Nie chcę o tym mówić.

Nie mógł jej o tym opowiedzieć; uznałaby, że to wymyślił.

- To było wtedy - domyśliła się. - Umiała go przejrzeć bez najmniejszego trudu, jakby już o wszystkim wiedziała. Jakby czytała w jego myślach. A przecież nie mogła tego robić! Nie mogła! Myśli należały tylko do niego. - Kiedy leżałeś sparalizowany. Właśnie wtedy przyśnił ci się Seamus, prawda? Taki byłeś później dziwny.

-Miałem powody, żeby być dziwny - warknął, wstał i ruszył nad morze. Aż do ostatniego rzędu wystrzępionych skał, o które uderzały fale, ciągnęła się plaża, nie mógł więc o nic się potknąć. Roza podążyła za nim. - Nigdy w życiu tak się nie bałem, Rosie. Czułem, że straciłem samego siebie. Zdolność poruszania się, to co naprawdę dla mnie ważne. A dosta-

łem w podarunku życia. I wszystko to stało się w ciągu jednej doby! Z pewnością człowiek zachowuje się dziwnie, kiedy spotka go coś takiego. Nie wiem. Mnie się to zdarzyło tylko ten jeden jedyny raz.

Uśmiechnął się gniewnie, zresztą niepotrzebnie, bo przecież ona i tak nie mogła tego zobaczyć. Ale on nie myślał teraz przytomnie.

- Mikey i Lily powiedzieli wtedy coś zastanawiającego - dodała cichutko Roza.

Znalazła się w jego nieistniejącym cieniu. Nic ich przecież nie oświetlało. Gwiazdy w górze znajdowały się zbyt daleko; ani nie grzały, ani nie świeciły. Po prostu były piękne. I wskazywały drogę tym, którzy musieli żeglować, kierując się ich położeniem.

Adam nie musiał. Wiedział, gdzie jest.

- Nie wiem, czy chcę tego słuchać - powiedział.

- Mówili, że on tam był. - On?

- Danny mi o tym wspomniał. Lily i Mikey mówili, że tata tam jest. Inne dzieci się na nich rozzłościły. Uznały, że się wygłupiają, że udają ważnych. Aidan rzucił się na Mikey'a. Danny musiał ich rozdzielać.

- One go nie pamiętają - zaprotestował Adam głosem tak ochrypłym, jakby krwawiło mu gardło, lecz i tak musiał mówić dalej. Musiał przekonać ją, że to on ma rację. - Po prostu nie mogą wiedzieć...

Roza zadrżała. Adam O'Connor został wychowany przez matkę, która uważała, że porządny, irlandzki chłopak musi się zachowywać wobec kobiet po rycersku, z czułością i dbałością. Poczował się więc do troski o Rosie. Miał też gorącą krew, a w niej teraz dodatkowo słodkie wino. Był rozgrzany za dwoje, bo wypił też porcję Rosie. Objął ją więc

od tyłu i dzielił się z nią swoim ciepłem. Roza nakryła jego dłonie swoimi i przytrzymała je nad paskiem spódnicy. Uśmiechnął się na taką przesadną ostrożność, bo jego ręce nie zamierzały urządzać sobie żadnych wędrowek, ale nic nie powiedział. Nie ma co się kłócić. Oparł brodę na jej głowie. Pachniała lekko tym samym co Fiona. Pewnie wodą kwiatową, którą Fiona kupiła od jakiegoś wędrownego, gadatliwego kramarza, który potrafił owinać sobie kobiety wokół palca, a potem z przyjemnością liczył lśniące monety. Adam nie wiedział, czy lubi wodę kwiatową albo perfumowane mydło. Podobało mu się to, że każdy człowiek ma własny zapach, że nikt nie pachnie tak samo.

- Jak myślisz, skąd mogły to wiedzieć? - spytał, lekko uśmiechając się w ciemności. Chciał tylko, żeby się zastanowiła. Nie zamierzał jej obrażać ani podważać tego, w co wierzyła. - Stał przed nimi i powiedział coś szczególnego? Na przykład: „Dzieci, tak się cieszę, że was widzę. To ja jestem waszym ojcem, nie bójcie się mnie, chociaż już od dawna nie żyję...”?

- Dzieci po prostu to wiedziały - obstawała przy swoim Roza z całkowitą powagą. - Nie wiem, czy go widziały. Ale wiedziały...

- Ty czekasz na coś podobnego? - Adam rzucił jej wyzwanie z pełną świadomością, że zachowuje się wobec niej niesprawiedliwie. Ale ktoś musiał ją skłonić do spojrzenia prawdzie w oczy. Gdyby mógł w ten sposób oszczędzić jej bólu, gotów był przyjąć jej gniew. - Masz nadzieję, że on do ciebie przyjdzie i powie, że nie ma nic przeciwko temu, żebyś była żoną Jeremy'ego Jordana? Że masz nią dalej być, bo Seamus zgadza się, byś urodziła Jeremy'emu dzieci? Że widzi, jak z nim sypiasz, i bardzo go to cieszy? Właśnie czegoś takiego oczekujesz od Seamusa, Rosie?

Nie odpowiedziała, ale cała się roztrzęsła. Może z zimna. A może z gniewu.

-Tak się nie stanie - stwierdził Adam dobitnie. -On ci nie da żadnego błogosławieństwa. A wiesz dlaczego, Rosie? Bo nie żyje. Nie żyje już prawie dziewięć lat!

- Dlaczego nie chcesz się ze mną podzielić swoim snem? - spytała udęczona, jakby w ogóle nie słyszała tego, co powiedział.

- Ponieważ to był mój sen!

- A on był moim mężem!

- To sama o nim śnij!

- Nie mogę! - krzyknęła i wyrwała się z jego objęć. Odbiegła z płaczem. Zdawała się lekkim cieniem, jedynie odrobinę ciemniejszym od nocy. Wszystko w nim krzyczało, że powinien ją chronić, nie pozwolić, by wyrządziła sobie krzywdę. Musiał zacisnąć pięści, żeby nie wyciągnąć do niej rąk; z całej siły powstrzymywał się, żeby za nią nie pobiec. Nie był przecież za nią odpowiedzialny. Ona tego nie chciała!

Usłyszał, że Roza wchodzi do wody. -Wracaj! - rzucił półgłosem, ale ona wchodziła głębiej. Odwrócił się od niej i w gniewie jeszcze mocniej zacisnął pięści. Był wściekły. Na wszystkich. Na siebie, na nią, na Seamusa, który był winien całego zła, jakie spadło na ich rodzinę. Naprawdę się wściekł.

Rosie była dorosła. Mogła przejść przez morze aż do Sydney. Jego to nie obchodziło. Skoro chciała się kąpać, on nie zamierzał jej w tym przeszkadzać. Nie był niczym strażnikiem, a już na pewno nie jej.

Nie ponosił za nią odpowiedzialności. Sama była za siebie odpowiedzialna. Czy nie mówiła tego dostatecznie często? Nie zadzierała tego swojego małego

podbródka i nie patrzyła na niego oczami błękitnymi jak niebo, powtarzając te słowa jak zaklęcie? Ze do nikogo nie należy. Ze nie potrzebuje żadnego mężczyzny, żadnego rycerza, a już na pewno nie jego.

Musiał wierzyć jej słowom.

Zostawić ją samą.

Ale był dobrym, irlandzkim chłopakiem, wychowanym przez troskliwą, irlandzką matkę, zawrócił więc na pięcie i pobiegł za nią. Wszedł do wody i złapał ją, chociaż gwałtownie się opierała. Z płaczem wykrzykiwała niezrozumiałe słowa, które zagłuszało morze. On też do niej krzyczał. Później nie mógł sobie przypomnieć, co. Twarz miał mokrą od słonej, morskiej wody albo od łez, bo oczy go piekły. Wszystko jedno, co to było. Obejmował ją w pasie i przytrzymywał, w końcu oboje przewrócili się w fale toczące się bez ustanku, w dzień i w nocy. Był z nich dwojga silniejszy, więc przerzucił ją sobie przez ramię i wrócił na ląd. Zatrzymał się dopiero w kamiennym kręgu.

Nie wiedział, w którym miejscu do niego weszli, ale też i nie było to takie ważne. Żadne z nich nie widziało wyraźnie i nie myślało jasno. Postawił ją na ziemi i przyparł do wielkich kamieni, ściskając za przedramiona.

- Właśnie to mi się śniło - szepnął, nachylony nad nią. Z mokrej grzywki kapłała mu woda. Czołem dotykał jej czoła. - Kamienny krąg, Rosie, te kamienie. Stałem na środku i oślepiało mnie słońce. Z tego słońca wyłonił się on razem z tobą. Seamus. Mój brat Seamus. Twój mąż. Twój ukochany Seamus. On mi dał ciebie. Tak jakby składał cię w ofierze. Słyszał, że zaparło jej dech w piersiach. Czuł, że cała drży w jego uścisku. Nic jednak nie powiedziała. Wszystko jedno.

On na nic nie czekał.

Rosie dostała to, o co prosiła. Nie pomogłyby teraz żadne błaganie o litość. Dostała jego sen takim, jakim był. Jeśli uzna, że Seamus w ten sposób przekazał jej jakąś wiadomość, to niech i tak będzie.

- Ułożyłem cię w tym kamiennym kręgu na ziemi - ciągnął bezlitośnie. Teraz nie potrafił się już zatrzymać. - I kochałem się z tobą. A potem ty ze mną. Ja brałem cię, a ty mnie. Umilkł.

Słyszeli fale. To one były najgłośniejsze. Ale Adam słyszał też bicie własnego serca i głośny oddech Rosie. Walczyła z płaczem, i na razie to ona wygrywała.

- Seamus tu był i czułem, że jest ze mnie zadowolony. Właśnie tak było. Potem zniknął. Zostaliśmy tylko we dwoje. A kiedy się obudziłem, stała nad nami moja siostra i szarpała mnie za ramię. Wciąż byliśmy we dwoje. Ty jeszcze spałaś i trzymałaś mnie w ramionach. Ja tuliłem cię i czułem każdy cal własnego ciała. Zwłaszcza tę część, która pulsowała, unosząc prześcieradło.

To było nierealne. Powinien się teraz z tego śmiać, ale nie mógł. Nawet się nie uśmiechnął. Pamiętał, że Fiona była wściekła. Wpadła w histerię, która przesłoniła fakt, że zdarzył się cud.

- We śnie cię posiadałem, Rosie, i paraliż ustąpił. Myślisz, że to cud? Myślisz, że on to zrobił? Że chciał, by tak się stało? Uważasz, że Seamus ma z tym coś wspólnego? Czy to było jego przesłanie? Chciał mi powiedzieć, że mam wziąć żonę innego mężczyzny?

Zadrzała. - Zimno mi - szepnęła, nie zwracając uwagi na jego pełne gorczy pytania. - Dziękuję, że mnie przyniosłeś na brzeg.

- Niedawno przyjechałaś z Australii - rzucił Adam lekko. - Nie sądziłem, że zamierzasz tam wracać.

-Wybacz, że tak nalegałam, byś mi to opowiedział.

Adam jeszcze mocniej przycisnął czoło do jej czoła. Opasał ją ramionami, ale nie zdołał jej ogrzać. Oboje byli zbyt mokrzy.

Czy miał jej wybaczyć? To było stosunkowo łatwe. Wystarczyło, że poprosiła.

- Nie uważasz, że kłamię?

- Mnie byś nie okłamywał - odparła spokojnie. Ślepo mu ufała. Nie miała najmniejszych wątpliwości. Adam poczuł się podle jak nikczemny łotr. Przecież to on odebrał jej wszystko, co miała, wszystko, co kochała.

Dzieliło ich jedno tabu.

Coś, o czym nigdy jej nie powie.

- Chyba już nie masz zamiaru kąpać się dziś w nocy? - spytał żartobliwie.

Pokręciła głową.

- Odprowadzę cię do namiotu. Przed snem musisz zdjąć te mokre rzeczy - dodał.

Zaśmiała się, wciąż dygocąc z zimna. Ze smutkiem, bez radości, ale zawsze był to jakiś śmiech. O krok dalej od chodzenia po morzu do utraty sił.

- Po ciemku nic nie widzę - powiedział - więc nie musisz się mnie wstydzić.

- Nie mogę spać u ciebie? Drażniła się z nim, musiał więc odpowiedzieć jej tym samym.

-Podobnie jak Fiona, nie mam do siebie pełnego zaufania - oświadczył z udawaną wesołością, choć ani jemu, ani jej nie było do śmiechu.

- Musisz bardziej w siebie wierzyć - szepnęła.

Adam zazgrzytał zębami do wszystkich mocy, które kryły się w ciemności.

- Mama i stryjek Adam kapali się w środku nocy

- oznajmiła wysokim głosem Lily bardzo tym zainteresowanej Fionie, która wyszła im naprzeciw na podwórze. - Jak mama się położyła, w namiocie zrobiło się mokro.

- W dodatku to już było po tym, jak Siobhan poszła spać - drażnił się z siostrą Adam. Udawał tylko ożywienie. Podobnie jak Rosie. Obserwował ją. Była zmęczona.

- Wcześniej twoja córka nie spuszczała z nas oczu

- zapewnił Adam siostrę. - A kapaliśmy się ze wszech miar przyzwoicie. W ubraniach.

- Widzę, że Rosie zniszczyła tę piękną spódnicę - westchnęła Fiona, oglądając zacieki z soli. Nawet je powąchała. - Nie sądziłam, że takie z was dzieci. Rozumiem, że wycieczka się udała?

Adam zerknął na Rożę. Uśmiechnęła się, ale samymi tylko ustami.

- Bardzo - potwierdziła.

Adam nie wiedział, jak inaczej mógłby postąpić poprzedniej nocy. Nie wydawało mu się słuszne położyć Rosie na ziemi w kamiennym kręgu i zrobić z nią to, co we śnie. Zrobić naprawdę. Przez chwilę nawet miał na to ochotę, ale rozsądek zwyciężył.

Nie uważał swojej decyzji za głupią i nie sądził, by Rosie tego oczekiwała. Nie chciała go. Ale coś zrobił nie tak. Dzień wcześniej jej zwątpienie nie było aż tak wyraźne, w oczach pobłyskiwała nadzieja. Teraz sprawiała wrażenie, jakby zrezygnowała ze wszystkiego, a to wcale mu się nie podobało.

Rosie zawsze, z każdej sytuacji, wychodziła zwycięsko. Pragnął, by i teraz tak było. Nie chciał być tym, który zgasi blask w jej oczach.

Siobhan pilnowała cieni w lesie. Gdy tylko mogła się wyrwać, wyruszała na samotne, konne wyprawy. Nikt nie wiedział, że wcale nie jeździła daleko. Rzadko docierała dalej niż do zakola strumienia, gdzie zobaczyła go po raz pierwszy. Nie pojawiał się od wielu dni, ale ona była pewna, że przyjdzie.

Wciąż wracała w znane mu miejsce, tam gdzie mógł ją zastać. Nie przyszło jej do głowy, że Jay może znać wszystkie jej ulubione miejsca. Nie zastanawiała się nad tym, że obserwował ją od miesięcy i że nie miała przed nim tylu tajemnic, jak jej się wydawało. On wprost chłonał wszystko, co miało z nią związek. Był obcy, ale już wiedział o niej więcej niż Tommy. A przecież Tommy Connelly znał ją całe życie.

Po tygodniu wreszcie się pojawił. Czekał na nią. To było nowe doznanie.

Siobhan ruszyła ku niemu tanecznym krokiem; uwiązała Lady Gray w pobliżu zakola, żeby klacz mogła się paść i dosięgnąć wody. Zbliżał się już wieczór. Dopiero teraz dziewczyna była wolna od obowiązków, których na farmie nie brakowało, a nie chciała ich zaniedbywać. Oczekiwano od niej pomocy, a ona starała się zachowywać tak samo jak zawsze. Mimo że Jay wszedł w jej życie.

Być może wydawała się weselsza, ale wszyscy sądzili, że to dlatego, iż wreszcie pogodziła się z Dannym. Rodzina po cichu mówiła, że chłopak mądrze i dojrzałe postąpił, wyjeżdżając z Jeremym do Coro-

mandel. Nikt natomiast nie mówił tak o Jeremym. Siobhan tylko się z tego śmiała. Była szczęśliwa.

A wszystko dzięki niemu.

Dzięki Jayowi.

-Czekałam na ciebie! - powitała go, rzucając mu się w ramiona. Zaskoczyła ją własna śmiałość, a równie nieoczekiwane było to, że on bez wahania ją objął. Gdyby się zastanowiła, zapewne nie zrobiłaby tego z obawy, że Jay ją odtrąci. Przecież do tej pory zachowywał się uprzejmie, lecz z dystansem. Ale Siobhan była niecierpliwa. Chciała wiedzieć, co poczuje, kiedy go obejmuje. I kiedy on obejmie ją. Pragnęła czuć jego ciało przy swoim, dotykać jego skóry dłońmi i tulić policzki do jego policzka. Miała ochotę przeczesać mu palcami włosy i czuć jego pieszczoty. Pragnęła pocałunków i tego, czego jeszcze nie знаła. Chciała wszystkiego.

- Przyszedłem teraz - powiedział, czując, że oszałamia go jej bliskość, chociaż wiedział, że nie wolno mu jej tknąć. Źle by postąpił, ulegając cielesnym żądom. Mógł się w nie wsłuchiwać, cieszyć się, że już teraz są tak silne, ale na razie nie wolno mu było im ulec.

-Nie mogę już przychodzić tak często - oświadczył ze smutkiem, bo taka była prawda. Tylko ona mogła ją zmienić.

Siobhan zeszywniała i przycisnęła policzki do jego ramienia. Żałowała, że nie przyszedł bez koszuli, tak jak poprzednio. Był ubrany jak biały człowiek. Nie przestał jej przez to intrygować, ale chciała mieć pretekst, by dotknąć jego nagiej skóry. Bardzo tego pragnęła. Gdy chodziło o niego, była bezwstydną, ale nawet jej się to podobało. Byle tylko nie minęło za szybko.

- Dlaczego? - spytała szeptem.

Czy to przez jego rodzinę? Czyżby się o niej dowiedzieli i nie chcieli, by poświęcał jej tyle czasu? Siobhan bardzo mało wiedziała o Maorysach; jedynie to, co sam jej opowiedział, no i jeszcze to, co słyszała od wujka Adama. Nie miała więc pojęcia, czy wolno im się żenić z białymi. W Ameryce czarni nie mogli zawierać małżeństw z białymi. Nie wolno im też było razem żyć, mimo że wielu właścicieli plantacji płodziło dzieci ze swoimi niewolnicami.

Może to, co robiła z Jayem było złe? Może samymi tylko spotkaniami łamali jakieś prawa, samym tylko dotykiem?

- Czy my źle robimy? - spytała. Nie zniosłaby, gdyby się okazało, że jej uczucia są zakazane. Umarłaby, gdyby musiała się z nim rozstać.

- Źle? - zdziwił się i wypuścił ją z objęć. Usiadł nad brzegiem strumienia, ale cały czas trzymał ją za rękę. - No, że się spotykamy - wyjaśniła Siobhan. - To chyba nie jest złe, prawda? Nie może być. Maorysi i biali mogą chyba być ze sobą?

Uśmiechnął się i jeszcze wypiękniał. Nie może jej zniknąć. Wolałaby sobie oczy wydrapać, niż go nie widywać! - Maorysi i Pakeha mogą przebywać razem - oświadczył.

Siobhan westchnęła z ulgą.

- A ty tego chcesz? - spytał poważnie. - Chcesz być ze mną?

Potwierdziła z taką samą powagą.

- Wydaje mi się, że cię kocham, Jay - powiedziała.

Zabrzmiało to prawdziwie. I było prawdą, gdy tylko o tym myślała. A teraz nie dało się już przed tym uciec. Cichutki głosik podsunął jej te słowa i dlatego

ośmieliła się wypowiedzieć je na głos. Czuła, że on jej nie wyśmiej.

Odwzajemniał jej uczucia. Tego była pewna. Czuła się przy nim bezpieczna.

- Chcę cię pojąć za żonę - oznajmił Jay Rangitoto.

- Tak - szepnęła.

- Zamierzałem cię prosić o rękę. Zamierzałem odwiedzić dom twojej rodziny i załatwić wszystko, jak należy, Siobhan. Ale boję się, że mnie odrzucą...

On nie może tam przyjść! Nie wolno mu przychodzić do New Favourite! Poszczują go psami! Wujek Adam wyrzuci go za drzwi i zakaże mu wstępu.

Nie pozwolą jej się z nim widywać.

- Mój hapu się przenosi - ciągnął Jay. - Niedobrze nam już w Manukau. Ale mamy krewnych w okolicach Kurriara.

- Gdzie to jest? - spytała, przeczuwając, że zapewne daleko.

- Na Wyspie Południowej.

Serce jej zamarło. A więc nie ma już nadziei. Widać nie dane jej będzie kochać.

- Wciąż będę mógł cię odwiedzać - szepnął, spuszczać głowę. - Kilka razy w roku.

To było gorsze niż nic. Siobhan nie zależało na ukradkowych spotkaniach kilka razy w roku. Miała gorącą krew i pragnęła mieć wszystko.

- Przyszedłeś się pożegnać? - zapytała. - Jeszcze nie.

- Kochasz mnie?

- Kocham cię, Siobhan - odpowiedział i naprawdę tak myślał. Właśnie tak należało się zalecać do kobiet Pakeha. Było to dziwne, ale nietrudne, bo rzeczywiście czuł tak, jak mówił. Niczego sobie nie wmawiał.

Pragnął jej. Miał dla niej wiele ciepłych uczuć. Pragnął się nią zajmować, opiekować się nią i dać jej dziecko.

- No to zabierz mnie ze sobą!

- Chcę cię pojąć za żonę, Siobhan. Ale to nie może się stać wbrew twojej woli.

-Ja tego chcę!

- Będą nas ścigać.

-Ale nie pozwolisz mnie sobie odebrać, prawda

Jay?

Pokręcił głową.

- Potrafisz mnie ukryć tak, żeby nas nie znaleźli?

- Jeśli zrobisz to, co ci powiem.

- Zrobię wszystko, co mi powiesz, Jay. Wszystko!

Rozdział 12

- Musimy ratować winogrona!

Jared liczył, że deszcze i tym razem ich ominą. Ryzykowali tak już od kilku tygodni. Zachodni wiatr był nieprzewidywalny. Chmury płynące z zachodu niemal zawsze przynosiły deszcze, i to często ulewne. Czasami jednak wiatr był tak silny, że te najcięższe wylewały z siebie wodę, jeszcze zanim nadpłynęły na zachodnie wybrzeże. A kiedy wiało bardziej z południa, deszczowe chmury płynęły na północ. Niekiedy zatrzymywały się nad Morzem Tasmanskim i nakrywały je grubą kołdrą. Ale zdarzało się, że nadciągały bezpośrednio nad ląd i zrzucały swoje brzemie na nich, na ich winnice.

Na razie mieli dużo szczęścia. Zaczęli już zbierać dojrzałe grona z tych winorośli, które dostały dostatecznie dużo słońca i wody. Tam, gdzie wykopali rowy. Ziemia była tam gorsza, przemieszana ze żwirem, bo winorośl w tej okolicy nie powinna mieć zbyt dobrej ziemi. W żyznej glebie rośliny rodzą więcej owoców, które dłużej dojrzewają. Winorośl hodowana w Waimauku nie mogła dojrzewać późno. Z powodu częstych deszczów. Niebo na zachodzie niosło największe niebezpieczeństwa dla winnicy.

- Od zachodu idzie czarna ściana - dodał Adam, który już podjął decyzję.

- Nie pierwszy raz tej jesieni.

- Ja zabieram swoich ludzi i rozpoczynam zbiory.

- Straty pokryjesz ze swoich udziałów - upierał się Jared.

- Jeżeli zaczną padać i będą straty, bo nie zacząłeś w porę ratować zbiorów, to ty je pokryjesz. Długo na siebie patrzyli, mierzyli siły. W końcu Jared kiwnął głową.

Uścisnęli sobie dłonie i Adam pobiegł przez podwórze. Tommy z dziećmi czekali na niego na schodach. Kobiety poszły już w stronę winnicy. Wcześniej zauważyły zbliżającą się nawałnicę. Adam wstrzymywał się możliwie najdłużej, z nadzieją, że Jared się z nim zgodzi, ale się mylił. Fiona to przewidziała. Uznała, że nie zaszkodzi zebrać owoce z najbardziej zagrożonych rzędów, i zaraz po śniadaniu zabrała Siobhan i Rosie do winnicy. Rosie wzięła ze sobą Jordy'ego. Nietrudno było mieć go na oku w niekończących się rzędach winorośli.

- Ruszamy! - zawołał Adam, poganiając przed sobą swoją gromadkę. Osiodłali konie zaprzęgnięte do wozu, który wiózł do winnicy zbieraczy i kosze. Tommy rozpiął nad nim

kawałek brezentu. Widocznie większego kawałka nie znalazł, ale i taka ochrona się przyda, jeśli będzie tak źle, jak przewidywał Adam.

Miał nadzieję, że się myli.

Colum i Sean zjawili się chwilę później. Widzieli wyjeżdżający wóz i biegli tak szybko, że go dogonili. Adam nie pytał siostrzeńców, czy ojczym próbował ich zatrzymać. Nie chciał siać niezgody w rodzinie Jareda.

Zdążyli prawie zappełnić wóz, gdy z nieba spadły pierwsze krople. Ręce zaczęły się poruszać jeszcze szybciej. Nikt nie mówił, że musi wracać do domu. Pracowali z coraz większym zacięciem. Zbierali owoce, nie zważając, że pot miesza się z deszczem, że cali lepią się od soku. Zappełniali kolejne kosze. Wysypywali je na wóz i biegli nappełnić je od nowa.

Jared przyszedł, kiedy chmury stanęły wprost nad nimi.

Adam tego nie skomentował. Jaredowi towarzyszyła dwójka najstarszych dzieci, prawie sześćioletni Jasper i Samantha, rówieśnica Lily i Mikey'a. Dodatkowe ręce do pracy.

Kiedy niebo naprawdę otworzyło śluzy, Adam podniósł Jordy'ego z błota między rzędami. Chłopiec świetnie się tam bawił, ale to już nie było miejsce dla małego dziecka.

- Zabierz dzieciaka do domu! - przykazał Rozie. -Aidan i Tommy akurat wracają opróżnić wóz.

- Potrzebujesz mnie tutaj.

Mało brakowało, a nawrzeszczałby na nią.

- Lily i Sammie poradzą sobie z Jordym - uznała Roza. Przywołała dziewczynki, córkę własną i Jareda.

- Zaprowadzimy go do mojej mamy - obiecała Sammie. - A potem wrócimy. My też musimy zbierać!

- My też musimy zbierać - zawtórowała jej Lily. Adam pomyślał, że niedaleko pada jabłko od jabłoni, przynajmniej od niektórych.

- Równie dobrze możesz zrobić to sama - zwrócił się do Rozy. - Colleen się nim zajmie.

Roza dłużej nie dyskutowała. Zabrała się wozem do domu i wróciła już opróżnionym.

Walczyli z pogodą aż do wieczora. Zbierali winogrona w ciężkim, zimnym deszczu, który wydawał się nigdy nie skończyć. Mieli wrażenie, jakby wszystkie chmury płynące od zachodu zatrzymały się dokładnie nad nimi. Jakby się uwzięły, żeby nie ocalało im nic, co urosło latem.

Wieczór pod zachmurzonym niebem zapadł wcześniej niż zwykle. Musieli się poddać, kiedy nie było już widać winogron. Nie pozostało im nic innego, jak zaciągnąć kosze do wozu, przysiąść na nim i jechać do domu.

- Wykapiemy się w sadzawce! - zawołał Aidan i wszystkie dzieci pobiegły za nim. Nie uważały, że jest za zimno na kąpiel. Rozebrały się przy stajni, nagie pomknęły z krzykiem do zagrody dla koni i wskoczyły do płytkiej sadzawki. Przez chwilę wydawało się, że więcej w niej dzieci niż wody.

- Zaraz nagrzeję wody dla nas - jęknęła Fiona, przerzucając winogrona do prasy. - Chyba nie zgniją przez noc, prawda?

W tych słowach kryło się błaganie.

- Dzisiaj nie będziemy tłoczyć soku - odparł Adam.

- Dzięki Bogu! - westchnęła Fiona. - Dziś już bym chyba tego nie wytrzymała.

-Ale jutro trzeba wcześniej wstać - dodał brat. -Lepiej, żebyśmy wszyscy jak najszybciej się położyli.

- Dobrze, ale po kąpieli. Mam sok winogronowy nawet w uszach.

-Jutro też będziesz miała. - Adam uśmiechnął się, mimo wszystko zadowolony. Na szczęście nie stracili całych zbiorów.

- Więc i jutro się wykapię.

- Możesz się pomodlić o ciepłą noc - powiedział Adam. - Wy, kobiety, idźcie już do domu. My sobie tutaj poradzimy.

Roza ruszyła za Fioną.

-A co, jeśli noc będzie zimna?

- Owoce są tak mokre, że mogą zmarznąć. Albo pokryją się rosą, której słońce nie zdoła osuszyć -westchnęła Fiona. - Tak czy owak, jutro znów czeka nas winobranie. I tłoczenie soku.

Siobhan powiedziała, że woli się wykąpać w strumieniu. Śmiała się z protestów matki, która mówiła, że przecież jest ciemno i wciąż pada.

- Nie pójdę do sadzawki razem ze smarkaczami! -oświadczyła dziewczyna. - A do zakola trafię na ślepo. I nie zamierzam czekać na ciepłą wodę, jeśli tak ci się wydaje.

Fiona nabrała powietrza, ale nie miała już argumentów.

- Może jeszcze poprosisz Tommy'ego, żeby ze mną poszedł? - rzuciła złośliwie matce na odchodnym i puściła się biegiem. Nie musiała brać konia. Bez trudu odnalazła ścieżkę.

Jay czekał. Skrył się przed deszczem pod wielkimi paprociami. Był prawie suchy.

- Nie mogłam przyjść wcześniej - szepnęła i już była przy nim, w jego objęciach.
- Wiem - odparł. - Widziałem was. Żałowałem, że nie mogę wam pomóc.
- Cieszę się, że tego nie zrobiłeś.

Dotknął dłońmi jej policzków. W ciemności próbował odszukać jej spojrzenie.

- Wciąż możesz zmienić zdanie, Siobhan. Pokręciła głową.

Podjęła decyzję raz na zawsze. Nie musiała się już zastanawiać. Musi być tak, jak postanowili.

- Nie zmienię zdania - oświadczyła z mocą.
- Kocham cię - powiedział Jay i przycisnął wargi do jej czoła.

Wciąż jeszcze jej nie pocałował. Nigdy nie uczynił nic zdrożnego. Siobhan pragnęła, żeby był bardziej zdecydowany, a zarazem podobało jej się to, że jest mniej bezpośredni od białych chłopców, i za nic nie chciała, by się zmienił.

-Muszę się wykapać - rzuciła szybko. - Po to tu przyszłam. Nie mogę być za długo, bo mama zacznie się niepokoić. I bardzo się zdziwi, jeśli nie wrócę czysta.

Puścił ją i powiedział, żeby się nie wstydziała. Ale ona wcale nie czuła wstydu. Zdjęła ubranie i weszła do chłodnej wody. Jay był pierwszym mężczyzną, który zobaczył ją naga, odkąd dorosła.

To wcale nie było dziwne uczucie. Wydawało się jak najbardziej naturalne.

Jay nie wszedł za nią do wody. Nie odwrócił się, ale i nie pożerał jej wzrokiem. Po prostu patrzył. Nie dotknął jej, kiedy wróciła na brzeg. Siobhan lekko drżała w chłodnym powietrzu. Deszcz jakby ustawał, a ona chyba zmyła z siebie cały lepki, winogronowy sok. Nawet włosy miała splukane.

Wzięła ze sobą czystą sukienkę, lecz zapomniała o bieliznie. Wciągnięta przez głowę sukienka lepiła się do ciała. Po powrocie do domu znów będzie musiała się przebrać. Tu w niczym jej to nie przeszkadzało. Jay się na nią nie rzucił, on nie był taki. Zresztą w domu jest tylko Tommy, który także jej nie zaatakuję.

- Odprowadzę cię - powiedział Jay.

- Nie. Wrócę sama. To niedaleko. - Jesteś pewna?

- Jestem pewna.

- Będę czekał - obiecał. - A ja przyjdę.

Po kąpieli Adam poczuł się rozluźniony i rozleniwiony. Wszedł do balii po Rozie. Woda wciąż była gorąca, więc ją chyba musiała parzyć. Cieszył się, że nie wlała do balii żadnych pachnideł; nie miał ochoty pachnieć jak różany ogród. Ale czuł na skórze jej zapach, a to było przyjemne.

Cieszył się, że przestawało padać. Teraz przydałby się lekki wiatr, skręcający bardziej na wschód. Przyniosłby ciepło znad Oceanu Spokojnego, które usunęłoby wilgoć z gron.

- Siedzisz tu i się modlisz? - spytała Roza, która zastała go siedzącego na schodach ze złożonymi rękami. Dolne stopnie wciąż były mokre, ale górne daszek uchronił od deszczu.

- O dobrą pogodę - przyznał. - Myślisz, że ten, który jest tam w górze, wysłucha takich jak ja?

- A dlaczego miałby nie wysłuchać?

Adam wzruszył ramionami. Rosie nie była księdzem, któremu powinien wyznać swoje grzechy. Gdyby chciał ulżyć swemu sercu, musiałby wyspo-

wiadać się komuś innemu. Komuś, kto mógłby udzielić mu rozgrzeszenia za to, czego nie dało się wybaczyć.

- Wytwarzanie wina jest najwyraźniej bardzo emocjonujące.

- Męczące - poprawił ją. - Mówisz o tym tak, jakby to była przygoda, a to nieprawda.

- Jesteś zadowolony? - spytała. - Winnice, konie, to... Chcesz, by tak wyglądało twoje życie, Adamie? Jesteś z niego zadowolony?

- Tutaj się osiedliłem - powiedział i zaśmiał się na wspomnienie. - To ty wybrałaś dla mnie to miejsce, nie pamiętasz? Ta twoja przepowiednia. Znałaś nawet nazwę. Kiedy więc znalazłem okolicę o tej właśnie nazwie, co innego mogłem zrobić, niż tu osiaść?

- Jeremy uważa, że wschodnie wybrzeże byłoby o wiele lepsze dla winorośli.

Adam kiwnął głową. To samo Jeremy mówił jemu, a on byłby teraz skłonny przyznać mu rację. Na wschodnim wybrzeżu z pewnością znalazłoby się osłonięte tereny, o wiele lepsze niż w Waimauku. Ale on mieszkał właśnie tutaj.

- Nie mogę do końca życia być na twoim utrzymaniu - powiedziała.

- Jesteś tu dopiero od kilku tygodni – odparł i wzruszył ramionami. - Ani od tego nie zbiednieję, ani się nie wzbogacę.

- Muszę mieć coś swojego.

- I zastanawiasz się nad wschodnim wybrzeżem? - spytał, natychmiast czujny. - Chcesz nam robić konkurencję? Zamierzasz uprawiać winorośl? Przecież ty się na tym nie znasz, Rosie.

Roza wzięła głęboki wdech.

- Ale ty się znasz. Na wszystkim.

- Gorzej niż Jeremy - przyznał szczerze. Pokręciła głową.

- Nie mogę rozdzielić Mikey'a i Lily. I nie wiem, czy powinnam rozdzielać go z tobą. Adam się zaniepokoił. Roza pytała go ogródkami, czy byłby gotów porzucić wszystko, co miał tutaj, i przenieść się razem z nią na wschód.

- Ja tu mieszkam - powtórzył. - To miejsce nazywam swoim domem. Tutaj jest pochowana Deidre. I mnie też tu pochowają. Niewiele rzeczy wiem na pewno, Rosie, ale dokładnie wiem, gdzie spocznę, kiedy już nie będzie we mnie życia.

- A czy jest do kupienia jakaś ziemia w sąsiedztwie New Favourite?

- Należysz do naszej rodziny - oświadczył Adam surowo. - Nie musisz kupować ziemi. Nie musisz nawet budować nowego domu. Mój dom jest twoim domem. Fiona powiedziała by to samo, gdybyś ją spytała.

- Twój dom to twój dom, Adamie. A ja muszę mieć własny. Muszę mieć coś, o co mogłabym się troszczyć. Nie chcę spać na pieniądzach. Nie po to Joe mi je dał. Mogłabym zostać współwłaścicielką i gospodarować razem z wami. Moglibyśmy powiększyć pola, rozbudować stajnie, rozłożyć ryzyko.

- Mówisz jak Joe - zachichotał. - Wszędzie dookoła jest las.

- Las można wyciąć - zauważyła praktycznie. - Ludzie potrzebują drewna i płacą za nie. A te wspaniałe, olbrzymie drzewa o prostych pniach, które rosną do samego nieba, dadzą dużo drewna.

- To kauri - wyjaśnił Adam. - Dają drewno i żywicę, skarbie.

- I można z nich zbudować dom?

- A jak myślisz, z czego zbudowaliśmy nasze domy?

- Pomógłbyś mi, Adamie?

- Nie powinnaś spytać o to raczej Jeremy'ego? -Jeremy szuka złota na półwyspie Coromandel.

Tu nie chodzi o jego dom, jego pieniądze czy jego ziemię, ale o moje.

Adam przytrzymał ją wzrokiem.

- O jednej rzeczy zapominasz, Rosie. -Pomyślałam o wszystkim - zapewniła go, a on uwierzył, że przynajmniej próbowała.

- Dopóki jesteś żoną Jeremy'ego, niczego nie posiadasz. Wszystko, co twoje, należy do niego. To nie byłby twój dom ani twoja ziemia, Rosie. Nie mogłabyś tego nawet kupić za swoje pieniądze. Wszyscy uważaliby, że to jego własność. Nawet gdybyś się podpisała na dokumentach, uznano by, że to jego podpis.

-Jeremy nic mi nie odbierze - zapewniła.

- Możesz tak myśleć - powiedział, ale sam wcale nie miał takiej pewności. - Mnie nie stać na wiarę i nadzieję. Myślę, że Jared też by się na tym nie opierał. Żaden z nas nie chce mieć niczego do spółki z Jere-mym. Jared obłożył wszystko klauzulami, uniemożliwiającymi Jeremy'emu zastaw albo sprzedaż bodaj piędzi ziemi. Bardzo lubię Jeremy'ego, ale nie chcę z nim prowadzić żadnych interesów.

-Ja mam pieniądze. Nikt nie będzie cię pytał, czy są twoje, jeśli rzucisz je na stół i kupisz ziemię graniczącą z New Favourite.

- To prawda.

- Mógłbyś mi sprzedać tę ziemię na papierze, gdy już się rozwiodę z Jeremym?

- Mógłbym.
- Zrobisz to?
- Aż tak mi ufasz? -Tak.
- Przecież mogę cię oszukać.
- Ale tego nie zrobisz - odparła z niezachwianą pewnością.
- Gdybyś tak się nie pośpieszyła z wyjściem za Jeremy'ego, moglibyśmy to załatwić o wiele prościej -postanowił się z nią podroczyć.
- Chyba nie - odrzekła.
- Nie musiałybyś wtedy budować nowego domu.
- Teraz też nie mogę tego zrobić - zauważyła cierpko. - Dopóki nie przestanę nazywać się panią Jordan. - Może będę mógł ci pomóc - powiedział zamyślony. - Znam kogoś, kto jest w bliskich stosunkach z gubernatorem. Może da się to załatwić polubownie. Zapłacimy, dodam do tego moje dobre imię... Roza się roześmiała.
- Zdajesz sobie sprawę, jakie plotki będą krążyć, jeśli zaczniesz pociągać za sznurki, żeby unieważnić moje małżeństwo?
- Moglibyśmy się później pobrać - zaproponował pół żartem, pół serio. - Wtedy miałabyś swój dom i nie musiałybyś zawracać sobie głowy budowaniem nowego. Tutaj. Ten dom byłby tak samo twój, jak i mój. Moglibyśmy go rozbudować, jeśli uważasz, że jest za mały. Mogłabyś zostać jego panią jeszcze przed zimą.
- Roza w zdenerwowaniu wykręcała palce. To było do niej niepodobne. I to jej milczenie. Adam nie podejrzewał jej o uczucie do Jeremy'ego. Przecież łączyła ich tylko przyjaźń. Po prostu Rosie nie umiała wyrwać się z tego małżeństwa.

-Obawiam się, że jeszcze przez jakiś czas będę zmuszona nadużywać twojej gościnności, Adamie - odezwała się w końcu. - Sądziłam, że do następnego lata będę już pod swoim dachem. Ale dopóki nie będę miała własnego domu, nie zdecyduję się na wyprowadzkę. Nie zamierzam ryzykować.

- A co ja powiedziałem o moim domu? - spytał i delikatnie dotknął jej policzka, lekko musnął wargi. - Uśmiechnij się, Rosie. Świat się jeszcze nie kończy. Dzisiaj trochę popadało, jutro zbierzemy więcej winogron, a mój dom jest twoim domem.

- Chyba lepiej będzie, jak się przeniosę do Fiony

- stwierdziła Roza.

- O co tu, u diabła, chodzi? - zdenerwował się Adam.

- W jednej chwili jesteśmy zgodni, a w następnej mówisz coś zupełnie innego.

- Muszę pozostać żoną Jeremyego do końca następnego lata.

-Tak?

Nie rozumiał kobiet. Miał wrażenie, że Rosie nie mogła się wprost doczekać, kiedy Jeremy wyjedzie. Jordan zresztą też.

- Czy Jeremy o tym wie? Uzgodniliście to ze sobą?

- To nie ma znaczenia. Nieważne, co Jeremy o tym myśli - odparła krótko.

Adamowi rozjaśniło się w głowie. Uśmiechnął się lekko.

-Powinienem był cię wziąć w tym kamiennym kręgu - powiedział. - Wtedy nie miałabyś pewności. Mogłabyś wątpić. Może o to właśnie chodziło Se-amusowi.

- Nie mam żadnych wątpliwości - oznajmiła

- Kiedy?

- We wrześniu albo w październiku. Moje dziecko musi mieć nazwisko. Ojca. Musi się urodzić w małżeństwie.

- Większość ludzi i tak pomyśli, że jest moje. Przecież wszyscy wiedzą, że tu mieszkasz. Niezależnie od tego, czy w akcie urodzenia będzie złotymi literami wypisane „Jordan”, ludzie i tak będą u tego dziecka szukać moich rysów.

Roza wiedziała, że Adam ma rację. Odkąd zrozumiała, iż jest w ciąży, żałowała, że nie uwiodła go wtedy tam, nad morzem. W tym dziwnym kamiennym kręgu, który miał przypominać Drombeg. To by niczego nie zmieniło, ale przynajmniej, jak zauważył Adam, nie miałyby pewności. Pozostałoby miejsce na malutką wątpliwość. Wolałyby to od świadomości, że nosi pod sercem wnuka Jareda Jor-dana seniora.

-Jeremy uwierzy, że to moje dziecko. - Adam uśmiechnął się bezwstydnie. - Chyba że będzie podobne do niego. Inaczej go nie uzna.

-Dziecko i tak będzie nosić jego nazwisko - zauważyła Roza.

- Nie wolałabyś, żeby nosiło moje? - spytał cicho, ale dobitnie. - Zważywszy wszystko...

Gdyby знаła jego tajemnicę, nie chciałaby nawet z nim rozmawiać, przemknęło mu przez myśl.

- Mógłbym ci załatwić rozwód, Rosie. Uzasadniłbym konieczność dyskrecji i pośpiechu tym, że spodziewasz się dziecka. Wiele osób wyświadczyłoby mi taką przysługę i oczekiwało, że się z tobą ożenię. Taki jest warunek. Zdążylibyśmy to załatwić, zanim będzie po tobie widać, że jesteś w ciąży. Później ludzie na pewno by gadali, ale jakie to ma znaczenie? - Uznałbyś dziecko Jeremy'ego za swoje?

- Inaczej bym ci tego nie proponował.

-Ale może dziecko ma prawo wiedzieć, kto jest jego ojcem?

- To już zależy od ciebie.

Wstał i podał jej rękę. Ujęła ją. Nie zamierzał wykorzystywać sytuacji. Nie był łajdakiem. Ale Rosie stała tak blisko, a jego otaczał jej zapach, odkąd wszedł do balii, z której korzystała przed nim. Był zmęczony i hamulce miał osłabione tak jak ona. Zbliźali się do siebie, odkąd pojawiła się w Waimauku.

Objął ją w pasie, nie do końca świadomy, że to robi. Jego ręce żyły jakby własną wolą. Nachylił się i lekko musnął jej wargi ustami.

Mogła się cofnąć.

Nie zrobiła tego.

Adam rozchylił usta i pocałował ją jeszcze raz. Odpowiedziała mu. Jej usta miały smak winogron i czegoś, co było tylko nią. Smak słodczy. Łatwo było się od niego uzależnić.

Cofał się powoli, aż w końcu przestał ją obejmować. Dopiero wtedy odważył się otworzyć oczy. Widział, że jest równie zaskoczona jak on.

-Ja tego nie planowałem - zapewnił ją. -Ani ja.

-Zrób to, co musisz, skarbie.

-Nie mogę pozwolić, by ta chwila decydowała o moim życiu, Adamie.

Wiedział o tym. Wiedział, że ona musi się namyślić. Rosie miała sumienie. Była dobrym człowiekiem i zamierzała słuchać swojego rozumu. A potem być może pozwoli się uwieść cichemu głosikowi płynącemu z serca. Adam był pewien, że ten głosik przemówi za nim, nie za Jeremym.

- Wszystko zależy od ciebie. Wyłącznie od ciebie, Rosie.

Odchodząc, nie powiedziała mu nawet dobranoc. Adam oparł się o kolumnę podtrzymującą daszek ganku i znów złożył ręce. Tym razem modlił się nie tylko o dobrą pogodę.

Na szczęście przestało padać. Siobhan zabrała nieduży worek, który spakowała wcześniej, i wymknęła się przez okno. Była przygotowana na deszcz; myślała, że będzie musiała udowodnić Jayowi i jego plemieniu, że jest w stanie wytrzymać złą pogodę. Postanowiła, że nie mogą się nią rozczarować. Nie potrafiła jednak powstrzymać westchnienia ulgi, kiedy się przekonała, że już nie leje.

Wciąż czekał na nią przy zakolu strumienia. Usłyszała bicie jego serca, gdy ją obejmował. Wiedziała, że nie miał pewności. Wyczuła jego niepokój.

- Przyszłaś - powiedział.

- Przecież obiecałam.

Wziął jej worek i ujął ją za zimną ręką. Już zaczął wątpić. Długo czekał. Zamierzał czekać do świtu. Gdyby nie przyszła, poszedłby do swoich i już nigdy tu nie wrócił. Nie zapomniaby jej, ale nigdy więcej by do niej nie przyszedł.

- Daleko musimy iść? - spytała.

- Tak - odparł. Bo dla niej to było daleko. Zostawił swoją pirogę tam, gdzie strumień zmieniał się w rzekę. Musieli tam dotrzeć przed świtem. Jemu przebycie tej drogi zajęłoby mniej niż godzinę, ale ona nie umiała biegać. A nie mógł wybierać najłatwiejszych ścieżek. Nie mogli zostawiać śladów.

- Nie będę dla ciebie ciężarem, Jay - obiecała. Podobała mu się jej odwaga. Wola poradzenia sobie z tym, co niemożliwe.

-Nie jesteś żadnym ciężarem - zapewnił. - Kocham cię. Jesteś moją kobietą.

Siobhan promieniała, mimo chłodnej, wilgotnej nocy. Nie żałowała, że dla niego porzuciła wszystko. Nie mogło w tym być nic złego, skoro czuła, że postępuje słusznie.

- Kocham cię, Jay - odparła z uśmiechem. - Zawsze będę cię kochać.

On też się uśmiechnął. Właśnie tak powinno być. Tak sobie to wymyślił, kiedy zobaczył ją pierwszy raz. Niełatwo było ją zdobyć, ale warto było podjąć wysiłek.

Kobieta o włosach jak rozpalona lawa należała do niego.